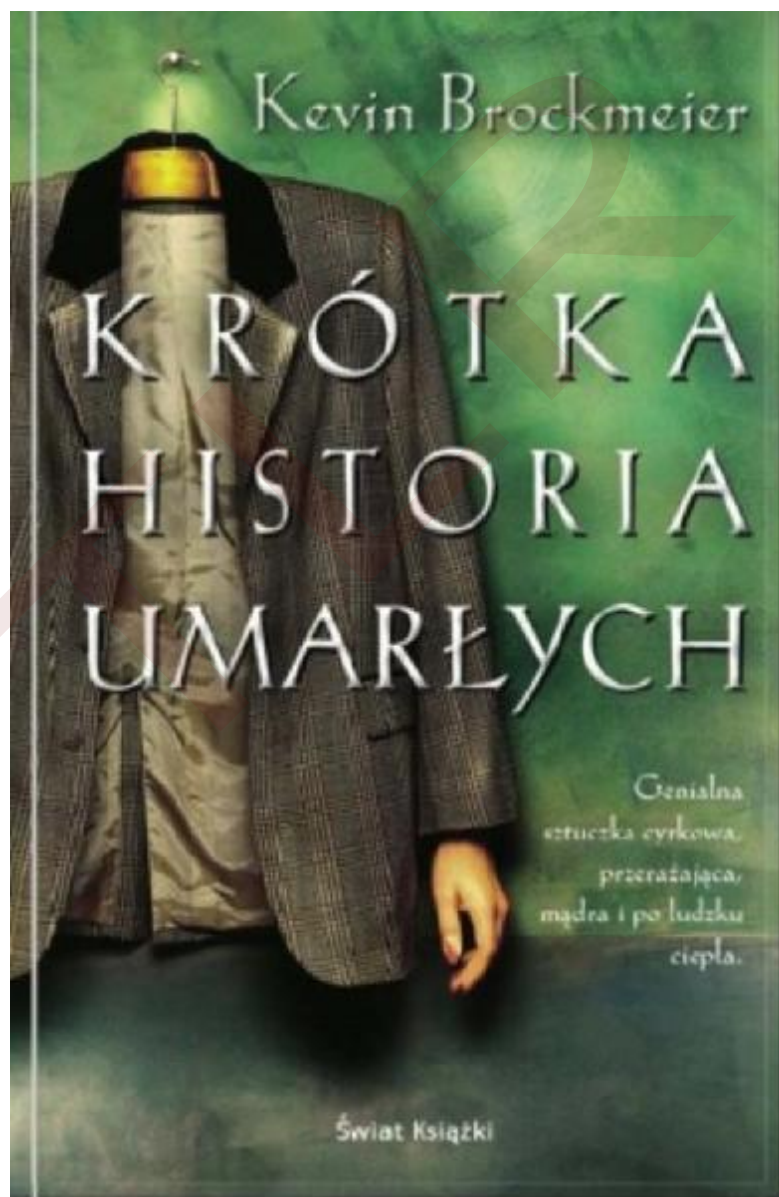


*Przekład, ten poświęcam pamięci
Zbyszka „ Z powrotem ” Batki, wspaniałego pisarza,
tłumacza i przyjaciela - Maciej Świerkocki*



KEVIN BROCKMEIER
KRÓTKA HISTORIA UMARŁYCH

Z angielskiego przełożył Maciej Świerkocki



TLR

MOJEMU OJCU

Wiele plemion afrykańskich dzieli ludzi na trzy kategorie: tych, którzy są wciąż wśród żywych, ludzi „sasza” i ludzi „zamani”. Ci, którzy niedawno odeszli, a za życia mieli kontakt z osobami pozostającymi przy życiu po ich śmierci, zwą się „sasza” - czyli żywe trupy. Nie są oni właściwie całkiem umarli, albowiem żyją nadal w pamięci żyjących, którzy mogą wspominać ludzi „sasza”, kreować ich artystyczne podobizny i przywoływać do życia w anegdotach. Kiedy umiera ostatni człowiek, pamiętający jakiegoś swojego przodka, antenatów opuszcza krąg ludzi „sasza” i przenosi się do królestwa „zamani”, czyli umarłych. Ludzie „zamani” nie są zapomniani jako zbiorowość, albowiem wciąż oddaje się im cześć, a wielu z nich można wspominać też imiennie. Nie są to jednak żywe trupy. Pomiedzy światem „sasza” i światem „zamani” istnieje pewna różnica.

JAMES LOEWEN, LIES MY TEACHER TOLD ME

— ROZDZIAŁ PIERWSZY —

Miasto

Po przybyciu do miasta ślepiec opowiadał, że przebył pustynię ruchomych, żywych piasków. Najpierw, jak oświadczył, umarł, a potem - trzask, prask! - znalazł się na pustyni. Dzielił się tą historią z każdym, kto gotów był jej wysłuchać, i zawsze pochylał głowę, by złowić uchem odgłos kroków potencjalnego słuchacza, a kiedy opowiadał swoją historię, z jego brody sypał się deszcz czerwonego piasku. Twierdził, że pustynia była jałowa, że czuł się na niej samotnie i że posykiwała na niego niczym wąż. Wędrował wiele dni, aż wreszcie wydmy pod jego stopami zaczęły się najpierw rozwiewać, a potem wzdymać i smagać mu twarz piaskiem. Następnie wszystko zamarło i rozległ się odgłos przypominający bicie serca. Słyszał go bardzo wyraźnie. Jak utrzymywał, ostatecznie zdał sobie sprawę z tego, że nie żyje, właśnie dopiero wtedy, gdy poczuł na całym ciele ukłucia milionów ostrych niczym strzały ziarenek piasku.

Jim Singer, który prowadził bar kanapkowy w dzielnicy pomnika, powiedział, że najpierw poczuł mrowienie w palcach, a potem przestał oddychać.

- To było serce - powtarzał, łomocząc pięścią w swoją pierś. - Śmierć zabrała mnie z mojego własnego łóżka.

Zamknął oczy, a kiedy znów je otworzył, siedział w ciuchci, takiej, jaką jeżdżą dzieci w wesołych miasteczkach. Tory prowadziły przez gęsty las złocisto-brązowych drzew, wkrótce okazało się jednak, że są to żyrafy, których długie szyje wznosiły się ku niebu jak gałęzie. Podmuchy wiatru zrywały z grzbietów zwierząt cętki. Unosiły się one nad Jimem, wirując i opa-

dając wokół ciuchci. Minęło sporo czasu, zanim Singer zrozumiał, że pulsujący odgłos to nie jest stukot kół pociągu o szyny.

Dziewczyna, która lubiła podpierać topolę w parku, twierdziła, że po śmierci znalazła się w oceanie koloru suszonych wiśni. Przez jakiś czas unosiła się na powierzchni wody, leżała na plecach i bezsensownie wirowała w kółko, podśpiewując refreny wszystkich piosenek, jakie zdołała sobie przypomnieć, potem jednak rozległ się werbel grzmotu, otworzyły się chmury i wokół zaczął padać deszcz łożysk kulkowych. Były ich dziesiątki tysięcy, a ona, głaszcząc spękany pień topoli, połknęła tyle łożysk, ile tylko mogła, choć nie wiedziała dlaczego, a napełniwszy nimi brzuch, niby płócienny wór, zaczęła powoli opadać na dno. Obok przepływały ławice ryb, a ich niebieskie i żółte łuski były najbardziej połyskliwymi obiektami w wodzie. Wokoło słyszała ten sam odgłos, co wszyscy - czyli miarowe bicie olbrzymiego serca.

Opowieści o przejściu na drugą stronę były równie zróżnicowane i złożone jak dziesięć miliardów żywotów, a zarazem o wiele bardziej szczegółowe niż inne opowiadania tych wszystkich ludzi - a mianowicie, niż opowiadania o ich śmierci. Ostatecznie umrzeć można zaledwie na kilka sposobów: ustaje akcja serca, obumiera mózg albo pada się ofiarą jakiejś nieznannej choroby. W mieście nie było jednak dwojga ludzi, którzy dostaliby się tu w ten sam sposób. Lev Paley powiedział, że widział, jak atomy jego ciała rozsypują się niczym kolorowe kulki, przetaczają się przez cały wszechświat, a potem znów zbijają się do kupy bez żadnego powodu. Hanbing Li utrzymywał, że obudził się jako mszyca i przeżył całe życie w miększu brzoskwini. Graciella Cavazos opowiadała, że zaczęła opadać na ziemię pod postacią płatków śniegu - wypowiedziała zaledwie osiem słów - a potem już tylko uśmiechała się nieśmiało, kiedy ktoś prosił ją o więcej szczegółów.

W tej kwestii nie było więc dwóch identycznie brzmiących opowieści. A jednak wszyscy słyszeli ów przypominający dudnienie bębna odgłos.

Niektórzy się upierali, że dźwięk ten nigdy nie ustawał i że jeżeli człowiek odpowiednio się skoncentrował i nie zamykał uszu na ciche dudnienie, można go było usłyszeć w tle wszystkich miejskich odgłosów - w piśku hamulców, jazgocie klaksonów, brzęku dzwonek nad drzwiami prowadzącymi do restauracji, a także w stukocie i szuraniu butów na chodniku. Ludzie zbierali się grupkami w parkach albo na dachach, żeby go posłuchać - siedzieli w milczeniu, zwróceniem plecami do siebie. Bum-bum. Bum-bum. Bum-bum. Przypominało to śledzenie wzrokiem ptaka, który wzbijał się w powietrze, odfruwał coraz dalej i wreszcie stawał się tylko niewyraźną plamką na niebie.

Już w pierwszym tygodniu pobytu w mieście Luka Sims znalazł gdzieś stary powielacz i postanowił wydawać na nim gazetkę, którą rozdawał przechodniom, stojąc przed kafejką River Road. Jeden z numerów „Dziennika Informacyjnego i Spekulatywnego L. Simsa” - albo „Dziennika Simsa”, jak nazywali go mieszkańcy - poświęcony był właśnie kwestii tego dziwnego dźwięku. Mniej niż dwadzieścia procent ludzi, z którymi Luka rozmawiał, twierdziło, że po przejściu na drugą stronę słyszy ten dźwięk nieustannie, ale niemal wszyscy byli zgodni, że przypomina on najbardziej bicie serca - i że to niemal na pewno nie może być nic innego. Pytanie brzmiało zatem, skąd ten dźwięk pochodzi. Nie mógł być biciem ich własnych serc, ponieważ ich serca przecież już nie biły. Stary Mahmoud Qasim głosił, że to nie bicie serca, tylko pamięć odgłosu rozbrzmiewającego ciągle w jego uszach - bo przedtem też go słyszał, tylko sobie tego nie uświadamiał. Kobieta, która sprzedawała bransoletki nad rzeką, uważała, że jest to bicie serca świata, tkwiącego w jego świetlistym, kipiącym centrum, przez które spadła z wysokości do miasta. „A jeśli chodzi o osobiste zdanie waszego reportera, to zgadzam się z większością moich rozmówców. - Tak kończył się artykuł Luki. - Zawsze podejrzewałem, że ów dudniący dźwięk to bicie serc żywych ludzi, bo żyjący noszą nas w sobie niczym perły, my zaś istniejemy tak długo, dopóki oni nas pamiętają”. Sims wiedział, że to niedoskonała metafora, perła żyje bowiem dłużej niż ostryga, ale zasada numer jeden, którą przyjął jako wydawca, głosiła, że nie można przekra-

czać przyjętych terminów, już dawno zaniechał więc pogoni za doskonałością.

Ludzi w mieście codziennie przybywało, a jednak każdy znajdował tu swoje miejsce. Idąc znaną ci od lat ulicą, mogłeś natknąć się nagle na jakiś nowy budynek albo przecznicę. Carson McCaughrean, kierowca jednej z tych zgrabnych, czarnych taksówek, krążących po ulicach, musiał co tydzień sporządzać nowy plan miasta. Dwadzieścia, trzydzieści albo i pięćdziesiąt razy dziennie trafiali mu się nowo przybyli klienci i kazali się wieźć w jakieś miejsce, o którym on nigdy wcześniej nie słyszał. Pochodzili z Afryki, Azji, Europy i obu Ameryk. Z olbrzymich metropolii albo z niewielkich wysepek, leżących na środku oceanu. Oto, co robili żywi: umierali. Był wśród przybyszów pewien sędziwy grajek uliczny, występujący w dzielnicy czernonoceglastych domów i wydobywający ze swojego akordeonu powolne, smutne westchnienia, a także pewien młody jubiler, który otworzył sklep na rogu Mapie i Christopher Street, gdzie sprzedawał srebrne wisiorki z brylantami. Jessica Auffert prowadziła naprzeciwko własny sklep jubilerski od ponad trzydziestu lat, ale nie zdawała się darzyć konkurenta niechęcią - przeciwnie, codziennie rano przynosiła mu kubek świeżo parzonej czarnej kawy, a potem popijali ją u niego w saloniku i plotkowali. Dziwiło ją tylko, że jest taki młody i że tylu ludzi umiera ostatnio w bardzo młodym wieku. Wielu z nich w gruncie rzeczy było jeszcze dziećmi, które jeździły na klekoczących skateboardach albo przebiegały pod jej oknami w drodze na plac zabaw. Jedno z nich, chłopiec z truskawkowymi przebarwieniami na policzkach, lubił sobie wyobrażać, że konie na biegunach, na których jeździ, są równie prawdziwe jak konie, które szczotkował i karmił na swojej farmie, zanim wszyscy zginęli podczas bombardowania. Inny dzieciak lubił zjeżdżać na zjeżdżalni i zapierać się nogami w piachu, myśląc o swoich rodzicach i dwóch starszych braciach, którzy zostali wśród żywych. Widział, jak wracali do zdrowia po tej samej chorobie, która jemu powoli odbierała siły. Nie lubił o tym mówić.

Działo się to podczas wojny, chociaż nikt z mieszkańców nie pamiętał której.

Zdarzało się, że osoby, które dopiero co znalazły się po drugiej stronie, mylnie uznawały miasto za raj - nie trwały jednak długo w tym błędnym mniemaniu. Bo w jakim to raju rozlega się nad ranem ryk śmieciarek, chodniki lepią się od gumy do żucia, a nad rzeką unosi się zapach gnijących ryb? Z drugiej strony, w jakim piekle istnieją piekarnie, drzewa dereniowe i bezchmurne niebo, tak piękne, że na jego widok człowieka aż przebiega dreszcz po karku? Nie, miasto nie było rajem, piekłem ani zwykłym, realnym światem, z czego wynikało logicznie, że musi być czymś innym. Stopniowo coraz więcej osób przyjmowało pogląd, że miasto jest jak gdyby „wydłużalnią” życia, czymś w rodzaju poczekalni, w której pozostaną tak długo, jak długo zachowają się w pamięci żywych. Sądziło się, że kiedy umrze ostatnia osoba, która ich kiedyś знаła, przeniosą się gdzie indziej. To prawda, że większość mieszkańców zniknęła z miasta po sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu latach, a chociaż nie było to dowodem na słuszność wspomnianej teorii, niewątpliwie przysparzało jej zwolenników. Krążyły także opowieści o ludziach, którzy przebywali w mieście bardzo długo, całe stulecia i dłużej, ale takie historie pojawiają się zawsze, w dowolnym miejscu i czasie, i nigdy nie wiadomo, czy można im dać wiarę.

W każdej dzielnicy było jakieś miejsce, gdzie spotykali się miejscowi, by dzielić się informacjami z tamtego świata. W dzielnicy pomnika były to arkady, w dzielnicy magazynów i hurtowni tawerna Jedna Jedyna, a w centrum dzielnicy ciepłarni ulubionym miejscem spotkań towarzyskich stała się rosyjska herbaciarnia Andrieja Kałatozowa. Parzoną w mosiężnym samowarze herbatę właściciel nalewał do maleńkich porcelanowych filiżanek, które roznosił na tackach z polituowanego drewna. Jego żona i córka umarły kilka tygodni wcześniej od niego - wskutek wypadku, do którego doszło, gdy wykopały minę lądową w przydomowym ogródku. Andriej widział wszystko przez okno. Szpadel jego żony zazgrzytał nagle na wyszczerbionym kawałku żelastwa, tak zardzewiałym po stu latach spoczywania w ziemi, że Kałatozow nie wiedział, co to jest, dopóki nie nastąpiła eksplozja. Dwa tygodnie później, kiedy przyłożył sobie brzytwę do gardła,

uczynił to z nadzieją, że połączy się ze swoją rodziną w niebie. I tak się też stało - bo oto teraz jego żona i córka, uśmiechając się, odbierały wierzchnie okrycia gości na progu herbaciarni, a Kałatozow przyglądał się im, krojąc cytrynę w ćwiartki i układając na spodeczku. Był najszcześniejszym człowiekiem na sali - ba, najszcześniejszym człowiekiem w mieście. Nie było ono może faktycznie rajem, ale Andriej czuł się tu jak w niebie. Od rana do wieczora słuchał swoich klientów, wymieniających najnowsze wieści o wojnie. Znowu doszło do konfliktu między Amerykanami i krajami Bliskiego Wschodu, a w działania zbrojne zaangażowały się także Chiny, Hiszpania, Australia i Holandia. Podobno Brazylia pracowała nad kolejnym mutagenicznym wirusem, zdolnym oprzeć się najnowszym antytoksynom - chociaż może chodziło o Włochy albo Indonezję. Krążyło na ten temat tyle plotek, że w tej materii nikt nie był niczego pewien.

Od czasu do czasu komuś, kto umarł przed zaledwie dwoma albo trzema dniami, zdarzyło się zabłąkać do jednego z ulubionych miejsc spotkań mieszkańców - do tawerny, herbaciarni, na nadrzeczne targowisko albo pod arkady - a wtedy przybysza otaczały całe legiony zmarłych, poszturchując go i szarpiąc, żeby wydobyć od niego informacje. Pytania zawsze były takie same: „Gdzie mieszkałeś? Czy wiesz coś o sytuacji w Ameryce Środkowej?” albo: „Czy to prawda, co się mówi o lodowcach na biegunie?”. „Próbuję dowiedzieć się czegoś o moim kuzynie. Mieszkał w Arizonie. Nazywał się Lewis Zeigler, przeliteruję ci to: L-e-w-i-s...”. „Co się dzieje na wybrzeżu Afryki? Wiesz? No wiesz?”. „Powiedz nam wszystko, co wiesz, absolutnie wszystko”.

Kiran Patel przez prawie sto lat sprzedawała turystom paciorki w hotelowej dzielnicy Bombaju. Mówiła, że w jej części świata jest dzisiaj coraz mniej turystów, ale że to nie ma większego znaczenia, bo tam, skąd pochodzi, jest także coraz mniej do obejrzenia. Paciorki z kości słoniowej, którymi handlowała jako młoda kobieta, będące najpierw rzadkością, a potem wielką rzadkością, w końcu stały się nieosiągalne. Wszystkie pozostałe jeszcze przy życiu słonie mieszkają w ogrodach zoologicznych w obcych krajach. Już na kilka lat przed śmiercią Kiran „paciorki z prawdziwej kości

słoniowej" były jedynie plastikowymi koralikami w kolorze śmietanowym, produkowanymi masowo w koreańskich fabrykach. To także nie miało jednak większego znaczenia, bo turyści, którzy odwiedzali jej kiosk, nie potrafili odróżnić kościanych paciorków od plastikowych.

Szesnastoletni Jeffrey Fallon z Park Falls w stanie Wisconsin powiedział, że walki nie przeniosły się jeszcze z wybrzeża w głąb kraju, ale zarazki i owszem, czego był żywym dowodem.

- No może niezupełnie żywym, ale jednak dowodem - poprawił się. Wrogami Amerykanów byli najpierw Pakistańczycy, potem Argentyńczycy i Turcy, a potem Jeffrey już nie wiedział kto.

- Co mogę wam jeszcze powiedzieć? - zapytał, wzruszając ramionami.
- Przede wszystkim tęsknię za swoją dziewczyną.

Nazywała się Tracey Tipton i potrafiła go ugryźć swoimi wyszczerbionymi zębami w płatek ucha tak, że chłopak napinał się cały i napręzał niby struna gitarowa. Nigdy nie interesował się wcześniej płatkami swoich uszu, dopóki Tracey nie wzięła ich do ust, a odkąd umarł, nie myślał o niczym innym. Jak to możliwe?

Mężczyzna, który całymi godzinami jeździł w górę i w dół ruchomymi schodami w centrum handlowym przy Ginza Street, nie chciał nikomu powiedzieć, jak się nazywa. Kiedy pytano go, co zapamiętał z chwili swojej śmierci, nie odpowiadał, tylko gwałtownie kiwał głową, klaska! w dłonie i mówił: „Bum!", a potem rozczapierał palce i unosił ręce, jakby chciał rozsypać wokół płatki konfetti.

Stojące w sercu miasta wielkie gmaszyska z polimerowych tworzyw sztucznych i stali, o błyszczących oknach, w których odbijały się wszystkie odstępy pomiędzy chmurami na niebie, ustępowały kilkaset przecznic dalej budynkom z kamienia, cegieł i drewna. Zmiana pejzażu dokonywała się jednak płynnie, a na ulicach panował taki ruch, że człowiek mógł wędrować całymi godzinami, zanim zdał sobie sprawę, że zmieniła się otaczająca go architektura. Wokół było pełno kin, sal gimnastycznych, siłowni, skle-

pów z artykułami żelaznymi, barów karaoke, boisk do koszykówki i budek z falafelami, a tu i ówdzie widać było także biblioteki, sklepy tytoniowe, bielizniarskie i pralnie chemiczne. W mieście, a ściślej biorąc w każdej jego dzielnicy, były również setki świątyń: pagody, meczety, kaplice i synagogi. Stały wtłoczone między targi warzywne i wypożyczalnie kaset wideo, górując wysoko nad nimi licznymi krzyżami, kopułami i minaretami. Wprawdzie niektórzy zmarli odrzucali swoje dawne wyznanie, dogłębnie rozczarowani tym, że życie w zaświatach, w tak zwanym królestwie zmarłych, nie wygląda tak, jak to odmalowywały ich religie, ale na każdą osobę, która traciła wiarę, znajdował się ktoś, kto ją zachowywał, jak również ktoś nowo nawrócony, kto daną religię przyjmował. Prosta prawda wyglądała tak, że ludzie nie wiedzieli, co z nimi będzie, kiedy ich czas w mieście dobiegnie końca, a tylko dlatego, że człowiek nie staje przed obliczem Boga natychmiast po śmierci, nie można mieć pewności, że w końcu do tego nie dojdzie.

Takiemu pogładowi hołdował między innymi Jose Tamayo, który raz w tygodniu pełnił na ochotnika obowiązki kościelnego w kościele Świętego Serca. Co niedziela czekał pod zachodnim portalem, aż skończy się popołudniowa msza i powracający do miasta tłum się rozejdzie, a potem zamiatał kafelkową posadzkę, przecierał klęczniki oraz ołtarz i czyścił odkuraczem poduszki przy barierce, przy której wierni przyjmowali komunię. Skończywszy pracę, schodził ostrożnie po siedemnastu stopniach na ulicę, gdzie ślepiec opowiadał o swojej wędrowce przez pustynię, i przechodził na drugą stronę ulicy, gdzie mieszkał. Kiedyś podczas gry w piłkę nożną odniósł kontuzję kolana i od tamtej pory - ilekroć wyciągał nogę - odczuwał ostrą eksplozję maleńkiej gwiazdki bólu nad stawem kolanowym. Ból ten nie ustępował nawet po śmierci, więc Tamayo nie lubił chodzić daleko i nadwierać kontuzjowanej nogi. Dlatego właśnie zdecydował się pracować dla kościoła Świętego Serca, który leżał najbliżej jego miejsca zamieszkania. Prawdę mówiąc, urodził się w rodzinie metodystów, tworzących jedyną niekatolicką kongregację w Juan Tuła. Często wspominał dzień, w którym wraz z kolegami ze szkoły niedzielnej ukradł z kościelne-

go magazynku sześć puszek wody sodowej. Usłyszeli, że idzie nauczyciel, i zamknęli drzwi, a przez szparę wpadł do środka ukośny, wąski promień światła, oświetlający rączkę palety, pełnej składanych krzeseł - było ich czterdzieści albo pięćdziesiąt, ułożonych ciasno w stos, przypominający grzebień. Jose wspominał często, jak patrzył na tę paletę i nasłuchiwał kroków nauczyciela, czując na języku podrygi bąbelków wody, które pękały i kłuły go w podniebienie.

Zmarłych często zaskakiwały tego rodzaju wspomnienia. Zdarzało się, że całymi tygodniami i miesiącami nie myśleli o swoich domach, o okolicy, w której się wychowali, o swoich zwyczajach i haniebnych porażkach, o kolejnych posadach, na których pracowali, czy wreszcie o zwyczajach i zainteresowaniach, na których powoli schodziło im życie - a tu tymczasem jakieś zupełnie błahe, nieistotne zdarzenie z przeszłości powracało w ich pamięci setki razy dziennie, tłukąc się im po głowach niczym ryba uderzająca ogonem o powierzchnię jeziora. Na przykład staruszka, żebrząca na stacji metra, wspominała dzień, w którym zajadała krabowe placuszki z chrzanem na nabrzeżu zatoki Chesapeake. Mężczyzna, który zapalał lampy gazowe w dzielnicach kin i teatrów, wspominał, jak wyciągnął kiedyś puszkę fasoli ze środka piramidy, ustawionej w supermarkecie, i odczuł ukłucie dumy, a następnie zdumienia, bo piramida nie rozsypała się po całym sklepie. Andreas Andreopoulos, który przez całe czterdzieści lat swojego dorosłego życia pisał programy gier komputerowych, wspominał, jak pewnego razu podskoczył, by zerwać listek z drzewa, jak otwierał kolorowe pisma o modzie, żeby wachać perfumowane wkładki, i jak napisał palcem swoje nazwisko na spotniałej szklance piwa. Te amorficzne, nieomal sekretne wspomnienia nie dawały mu spokoju. Nie przypuszczał, że okażą się tak ciężkim brzemieniem, jak gdyby w nich właśnie krył się sens jego życia. Czasami myślał o tym, żeby na ich podstawie napisać autobiografię, złożoną z takich maleńkich niczym zabawki wspomnień, które zastąpiłyby pamięć o jego pracy i rodzinie, i nie zamieszczać w niej niczego więcej. Postanowił pisać odręcznie na kartkach nieliniowanego papieru i przyrzekł sobie, że nigdy już nie dotknie komputera.

Były też takie miejsca w mieście, gdzie zbierały się prawdziwe tłumy i które nie można było przejść, żeby nie otrzeć się o cudze ramiona, biodra albo brzuch. W miarę jak przybywało zmarłych, liczba takich miejsc rosła. Nie chodzi o to, że miasto nie mogło wszystkich pomieścić - po prostu ludzie postanawiali spotykać się w jego konkretnych punktach, a w miarę jak zwiększała się liczba ludności, robiło się w tych miejscach coraz tłoczniej. Ci, którzy lepiej czuli się w samotności, nauczyli się ich unikać. Chcąc odwiedzić plac w dzielnicy pomnika albo fontanny w dzielnicy neonów, musieli zazwyczaj czekać, aż liczba ludności spadnie, co zawsze w końcu następowało w czasie jakiejś wojny, zarazy albo klęski głodu.

Park nad rzeką, gdzie ciągnął się szereg białych pawilonów i trawnik, był najbardziej ruchliwym miejscem w mieście. W alejkach roiło się tu od sprzedawców latawców i budek z napojami chłodzącymi, a kliny skał dzieliły powierzchnię wody na dziesiątki łagodnie zaokrąglonych zatoczek. Pewnego dnia z jednego z pawilonów wyszedł chwiejnym krokiem jakiś mężczyzna o gęstej, siwej brodzie i długich, gęstych włosach, który zataczał się i potraçał przechodniów. Najwyraźniej nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje, więc przechodnie byli pewni, że dopiero co przeszedł na drugą stronę. Nieznajomy twierdził, że jest wirusologiem, a ostatnie pięć dni spędził w gałęziach olbrzymiego klonu i dlatego ubranie miał umazane lepka żywicą. Zdawał się sądzić, że wszyscy obecni w parku siedzieli z nim na tym drzewie. Kiedy ktoś zapytał go, jak umarł, odetchnął głęboko i odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

- Owszem, umarłem, to prawda. Muszę o tym pamiętać. Te skurwysyny wreszcie dopięły swego i udało im się powalić mój klon. - Tu wirusolog wyciągnął z brody kuleczkę żywicy. - Hej, czy nikt z was nie słyszał dudnienia w pniu?

Niedługo potem miasto zaczęło pustoszeć. :

Redakcja „Dziennika Informacyjnego i Spekulatywnego L. Simsa” zajmowała pokój w jednym z najstarszych budynków w mieście, zbudowanym z czekoladowych cegieł i potężnych płyt srebrzystego granitu. Z gór-

nych piętér spływały po ścianach w dół bladożółte serpentyny pnączy, sięgające framugi drzwi wejściowych. Luka Sims każdego ranka obracał korbą staromodnego powielacza, a promienie słońca, przefiltrowane przez pnącza za szybą, wypełniały pokój ciepłym światłem w kolorze maślanym. Bywały takie dni, że Luka nie mógł wyglądać przez okno, nie wyobrażając sobie, że patrzy na umierający las.

Około siódmej wieczorem miał już gotowych kilka tysięcy egzemplarzy gazetki, po czym szedł do kafejki River Road i rozdawał je przechodniom przed wejściem. Lubił myśleć, że jeden czytelnik po lekturze przekazuje gazetę drugiemu, a drugi trzeciemu i tak dalej, wiedział jednak, że tak nie jest, bo zawsze, wracając do domu, zauważał w koszu na śmieci przynajmniej kilka egzemplarzy „Dziennika”, którego zmarszczki powoli wygładzało słońce. Ale zdarzało się też całkiem często, że widział w kawiarni dwadzieścia albo trzydzieści głów, pochylonych nad najnowszym wydaniem swojej gazetki. Ostatnio nieco rzadziej pisywał o mieście, a częściej o świecie żywych. Teksty te powstawały na podstawie wywiadów z niedawno zmarłymi, w większości ofiarami tak zwanej epidemii. Luka zauważył, że ludzie ci na ogół nerwowo trzepotali powiekami, mrużyli i tarli oczy, zainteresowało go więc, czy miało to jakiś związek z zabójczym dla nich wirusem.

Za szybą kafejki widział codziennie te same twarze. „Wirus zaatakował setki osób w Tokio. Nowe epicentra epidemii w Johannesburgu, Kopenhadze i Perth”. Ellison Brown, który piekł ciasta i przygotowywał desery w kuchni, zawsze czekał, aż Luka sobie pójdzie, i dopiero potem przeglądał nagłówki. Jego żona, poetka, lubiła stać nad nim z zatroskaną miną, kiedy czytał to, co napisała w ciągu dnia, choć jego nic na świecie nie denerwowało tak bardzo jak świadomość, że ktoś go obserwuje. „Czas inkubacji wynosi mniej niż pięć godzin. Infekcja w południe, o północy śmierć”. Charlotte Sylvain popijała kawę, przeglądając „Dziennik” w poszukiwaniu informacji o Paryżu. Wciąż uważała Paryż za swoje rodzinne miasto, chociaż nie była tam od pięćdziesięciu lat. Pewnego razu zauważyła słowo „Sekwana” w pierwszym akapicie jakiegoś artykułu i odruchowo za-

cisnęła palce na stronie, ale okazało się, że był to błąd drukarski, a słowo powinno poprawnie brzmieć „Siekana”. Charlotte nie miała już nigdy zobaczyć Paryża. „Wirus przenosi się drogą powietrzną i wodną. Dwa miliardy ofiar śmiertelnych w Azji i Europie Wschodniej”. Z kolei Mie Matsuda Ryu, będąca amatorką gry słów, lubiła czytać gazetę Simsa dwukrotnie każdego ranka: najpierw dla informacji, a potem w poszukiwaniu wszelkich ukrytych gier słownych: palindromów, anagramów i tych wszystkich wyrazów, w których kryły się litery składające się na jej nazwisko. Zawsze udawało się jej je odnaleźć. „»Wirus dwudziestoczterogodzinny« przekracza Atlantyk. Śmiertelność sięga stu procent”.

Ludzie, którzy wędrowali po mieście, pukając od drzwi do drzwi, zaczęli powoli dostrzegać coś niezwykłego. Kaznodzieje, komiwojażerowie, ankieterzy, autorzy rozmaitych petycji - wszyscy mówili to samo: liczba zmarłych topniała. W pustych budynkach stały puste pokoje, w których zaledwie kilka tygodni wcześniej dosłownie roiło się od ludzi. Na ulicach nie widziało się już takich tłumów jak dawniej, lecz nie dlatego, że ludzie przestali umierać. Przeciwnie, umierali teraz liczniej niż zwykle. Przybywali tysiącami i setkami tysięcy, w każdej minucie i godzinie, całymi domami, szkołami i dzielnicami. Ale na każdą osobę, która pojawiała się w mieście, dwie albo trzy znikwały. Russell Henley, sprzedawca mioteł, które wyrabiał z gałęzi cedrowych i włókien sztucznych, zauważył, że miasto przypomina dziurawy garnek.

- Którego w żaden sposób nie da się napęlić, bo woda ciągle wycieka.

Russell miał w dzielnicy pomnika stragan z miotłami i zachwalał je w parku przechodniom, których w tych czasach można było liczyć najwyżej na setki. Jeśli ich życie było darem pamięci ludzi żyjących po tamtej stronie, jak mniemał, to co się stanie, kiedy do miasta przybędą stamtąd wszyscy? „Co będzie - myślał Russell - kiedy ten drugi pokój, ten większy świat, nagle się wyludni?”.

Niewątpliwie miasto się zmieniało. Ludzie zmarli podczas epidemii przybywali i odchodzili bardzo szybko, czasem w ciągu kilku godzin, jak to

bywa z wiosennym śniegiem, który pokrywa ziemię w nocy i topnieje natychmiast po wschodzie słońca. W dzielnicy sosnowej pojawił się pewnego ranka mężczyzna, który znalazł jakiś pusty sklep, kolorowym mydłem napisał na szybie „Naprawa zegarów u Shermana, szybko i sprawnie. Otwarcie wkrótce”, a potem zamknął drzwi na klucz, odszedł ciężkim krokiem i nigdy już nie wrócił. Inny mężczyzna powiedział kobiecie, z którą spędził noc, że idzie do kuchni napić się wody, a kiedy zawołała go kilka minut później, nie było odpowiedzi. Zaczęła go szukać po całym mieszkaniu. Okno, pod którym stał jej stolik nocny, było otwarte, co sugerowało, że wyszedł na balkon, tymczasem on po prostu zniknął. Pewnego słonecznego, wietrznego popołudnia w mieście zjawiła się cała ludność pewnej niewielkiej wysepki na Pacyfiku -wszyscy zebrali się na najwyższej kondygnacji kilkupiętrowego parkingu i zniknęli już pod koniec dnia.

Ale zmiany najdotkliwiej odczuwali najstarsi mieszkańcy, chociaż nikt z nich nie wiedział - ani teraz, ani dawniej - ile czasu spędzi w mieście i kiedy dobiegnie końca jego pobyt tutaj, bo wyznaczał go zazwyczaj szczególny rytm oczekiwanych, swojskich zachowań i zdarzeń. Po przejściu na drugą stronę człowiek zwykle znajdował bowiem mieszkanie, pracę, przyjaciół i żył jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat, a choć nie mógł założyć rodziny w sensie biologicznym, ponieważ w mieście nikt się nie starzał, łatwo było tu otoczyć się rodziną.

Mariama Ekwensi - na przykład - mieszkała na parterze domku w dzielnicy białej cegły przez blisko trzydzieści lat. Była wysoką, długonogą kobietą, która nigdy nie straciła wyglądu dorastającego dziewczęcia, jakim kiedyś była, dziewczęcia oszołomionego i zakłopotanego dojrzewaniem własnego ciała. Nosiła batikowe, bawełniane tkaniny w takim kolorze, w jakim dzieci malują na ogół słońce, dlatego sąsiedzi z łatwością dostrzegali ją już z daleka, gdy wracała do domu. Mariama pracowała w jednym z wielu miejskich sierocińców. Uważała się za dobrą nauczycielkę, która jednakże nie bardzo potrafiła zaprowadzić dyscyplinę wśród dzieci - i miała rację, ponieważ często musiała powierzać je opiece innej osoby dorosłej, by udać się na poszukiwanie takiego czy innego malca, który rzucił się biegiem do

ucieczki. Młodszym dzieciom czytała na głos - głównie książki o dalekich podróżach albo o zwierzętach, potrafiących zmieniać wygląd - a starsze zabierała do parków oraz muzeów i pomagała im odrabiać lekcje. Wiele starszych dzieci było niegrzecznych i posługiwało się tak wulgarnym językiem, że Mariama oblewała się rumieńcem, nie umiała jednak radzić sobie z takimi problemami. Choć czasem udawała, że się gniewa, bystre dzieciaki dobrze wiedziały, że w głębi duszy mimo wszystko je lubi. Było to dla niej istne utrapienie. Szczególnie jeden chłopiec, Philip Walker, przy każdej nadarzającej się okazji uciekał do dzielnicy handlowej. Bawiło go to, że słyszy, jak nauczycielka biegnie za nim, dysząc i tupiąc, Mariama jednak nigdy nie zdołała go dogonić, dopóki chłopak nie przysiadł na jakimś stopniu czy ławce, dusząc się ze śmiechu. Pewnego dnia zapędziła Philipa w jakiś pasaż, z którego nie wybiegła już jednak z drugiej strony. Dzieciak wrócił do sierocińca pół godziny później, ale nie umiał powiedzieć, co się z nią stało.

Ville Tolvanen grał co wieczór w bilard w barze na rogu Ósmej i Vine, a wszystkich swoich barowych przyjaciół poznał jeszcze za życia. Dawniej, gdy szli się gdzieś napić w Oulu, żegnali się pewnym powiedzonkiem, będącym, ściśle biorąc, słowami piosenki: „Kiedy umrę, spotkamy się w barze na rogu Ósmej i Vine”. I stało się tak, że po śmierci wszyscy kolejno trafiali właśnie na róg Ósmej i Vine, ostrożnie i z rezerwą wchodzili do baru, po czym dostrzegali swoich przyjaciół przy stołach bilardowych, aż wreszcie odnalazła się tam cała paczka. Ostatnim zmarłym z tej grupy był właśnie Ville, który, spotkawszy wszystkich swoich przyjaciół w barze, poczuł się równie wspaniale jak w latach młodości. Uściskał ich, a oni poklepywali go po plecach. Uparł się też, że postawi im drinki. - Już nigdy. .. - powiedział, a chociaż nie mógł dokończyć zdania, wszyscy wiedzieli, o co mu chodzi. Uśmiechał się szeroko, żeby powstrzymać łzy. Potem ktoś rzucił w niego łupinką orzeszka ziemnego, a Ville odrzucił ją i wkrótce gdziekolwiek się stąpnęło, rozlegał się chrzęst łupinek. Przez kilka miesięcy po swojej śmierci Tolvanen grał w bilard bez wyjątku każdego wieczoru, toteż kiedy pewnego dnia nie pojawił się jak zwykle w barze, przyjaciele zaczęli

go szukać. Poszli prosto do kawalerki, którą wynajmował nad sklepem żelaznym niedaleko na tej samej ulicy. Zaczęli dobijać się do drzwi, a następnie otworzyli je za pomocą kilku zwykłych kart do gry. Znaleźli w pokoju buty, zegarek i marynarkę, ale Villego nie było.

Ethan Hass, ten wirusolog, w ogóle nie pił w barach, tylko z małej metalowej piersiówki, którą nosił przytroczoną do pasa niczym skaut manierkę. Śledził dokonania naukowe w swojej dyscyplinie przez okrągłe trzydzieści lat, aż do dnia śmierci - czytywał fachowe pisma, słuchał nowinek na różnych konferencjach i czasami wydawało mu się, że wszystkie rządy, grupy nacisku i frakcje polityczne na całym świecie poszukują tylko jednej rzeczy: wirusa doskonałego, który każdy żywy organizm uczyniłby swoim nosicielem i rozprzestrzeniałby się wśród ludzkiej populacji niby krąg, wzbudzony w kałuży przez kroplę deszczu. Był przekonany, że teraz wreszcie udało się go wyhodować. Ale, na Boga, w jaki sposób ten wirus się rozprzestrzenił? Tego Ethan nie wiedział. Informacje od niedawno zmarłych były nieliczne i zawsze nieprecyzyjne. Któregoś dnia Hass zamknął się w toalecie w muzeum sztuki na High Street i wybuchnął niepohamowanym płaczem, bełkocząc coś na temat powietrza, wody i zapasów żywności. Wezwano ochroniarza.

- Facet, uspokój się. Mamy mnóstwo wody i powietrza, więc może po prostu otworzysz nam te drzwi?

Ochroniarz mówił powoli i kojąco, ale Ethan tylko krzychał: „Wszystkich! Wszystko!”, i odkręcał krany nad kolejnymi umywalkami. Nie chciał powiedzieć nic innego, a kiedy kilka minut później ochroniarz wyważył drzwi, toaleta okazała się pusta.

Można było odnieść wrażenie, że otwarto jakąś bramę albo zburzono mur i że dlatego zmarli tłumnie opuszczają wreszcie miasto i wychodzą na wołność. Parki, bary i centra handlowe opustoszały wkrótce całkowicie.

Pewnego dnia, niedługo po zaniknięciu ostatniej restauracji w dzielnicy, ślepiec stał na schodach przed kościołem, czekając na kogoś, kto ze-

chciałby wysłuchać jego opowieści. Przez cały dzień nie spotkał żywej duszy i zaczął się zastanawiać, czy wreszcie nie nadszedł ostateczny koniec. Może stało się to, kiedy spał albo wczesnie rano, gdy przez pół minuty wydawało mu się, że czuje zapach przypalonego miodu. Słyszał też klaksony kilku samochodów, rozbrzmiewające w różnych dzielnicach miasta, a po jakichś dwudziestu minutach dobiegł go jeszcze pisk hamulców pociągu metra, zaciskających się na szynach - później jednak już nic nie było słychać, tylko coraz słabszy szept wiatru między budynkami, który w końcu też ucichł całkowicie. Ślepiec wyteżał słuch, pragnąc usłyszeć czyjś głos albo kroki, ale nie dobiegał go żaden odgłos życia.

Złożył dłonie w trąbkę przy ustach i zawołał:

- Halo? Halo?

Nikt mu nie odpowiedział.

Kiedy położył rękę na swojej piersi, ogarnął go dziwny niepokój: przestraszył się, że regularne dudnienie, które słyszy, to bicie jego własnego serca.

— ROZDZIAŁ DRUGI —

Schronienie

Wiatr wiał już od dwudziestu trzech dni, najpierw ze wschodu, potem z południa, i w odpowietrznikach rozlegały się jakby przeciągłe, agonalne jęki. Od czasu do czasu przez rury i otwory wentylacyjne domku przeciskał się jakiś lodowaty powiew, a wtedy do pokoju wpadały setki przezroczystych, szarych kryształków, sypiących się na biurko i na podłogę. Laura bez względu na to, czym była akurat zajęta, robiła sobie wtedy przerwę i patrzyła, jak się rozpuszczają. Martwiło ją, że ten proces trwa tak długo. Panelowe grzejniki najwyraźniej nie funkcjonowały należycie, a może nawet były już całkiem nie do naprawienia. W następnej kolejności wysiadzie światło, a potem, jeśli jeszcze pozostanie przy życiu, zabraknie jej żywności. Psiakrew, przecież to totalna katastrofa.

Kłopoty zaczęły się blisko miesiąc wcześniej, kiedy złamała się jedna z anten układu komunikacyjnego. Laura, Puckett i Joyce stawali na głowie, żeby dojść do tego, jak to się stało. Antena była smukłym aluminiowym prętem, zamontowanym na potężnym talerzu satelitarnym, na którym nagromadziła się gruba warstwa śniegu i lodu. Wiatr - ten sam szalony wiatr, który powoli topił lodowy szelf pod ich domkiem - na kilka dni podniósł temperaturę powyżej zera, a wtedy wielka góra śniegu i lodu zsunęła się z talerza, zrywając z niego antenę.

Ot, i wszystko. Nie stało się nic więcej. Cała ta historia była po prostu niewiarygodnie głupia.

Dlaczego talerz nie był podgrzewany? I skoro już nikt o tym nie pomyślał, to czemu nie ustawiono go pod takim kątem, by nie gromadził się w

nim śnieg? Albo dlaczego nie wyposażono ich przynajmniej w odpowiednie narzędzia, żeby mogli naprawić uszkodzenie? Cała ekspedycja została przygotowana tak niedbale, że Laurze wydawało się chwilami, że zorganizowały ją małpy, a nie ludzie. Ale nie. Wyprawę zaplanowało przecież i od początku do końca sfinansowało konsorcjum Coca-Coli, w celach reklamowych albo badawczych, w zależności od tego, gdzie się o niej czytało: w wewnętrznych dokumentach firmy czy też w komunikatach przeznaczonych dla prasy.

Pomysł polegał na tym, aby wysłać na Antarktydę kilka osób, mających zbadać możliwości wykorzystania lodu polarnego do produkcji napojów chłodzących. W końcu pokrywa lodowa już się topiła, spływając do oceanu całymi cysternami, więc czemu firma nie miałyby na niej zarobić, póki jeszcze było to możliwe? Tak wyglądało ich rozumowanie. Dział reklamowy opracował nawet nowy slogan: „Coca-Cola - napój na bazie najświeższej wody na Ziemi”, który - gdyby chwycił - planowano zmodyfikować za rok albo dwa na: „Coca-Cola - nie ma nic świeższego!”.

Ekspedycja miała potrwać pół roku. Komisja planowania postanowiła, że na wyprawę pojedzie Michael Puckett, polarnik, Robert Joyce, specjalista od napojów chłodzących, i ona, czyli Laura, specjalistka od „dzikiej przyrody”. Toczyły się spory o to, czy nie należałoby raczej nazwać jej po prostu przyrodniczką - bo czy przyroda Antarktydy pozostawała w stanie równie dzikim, jak, powiedzmy, Amazonia w poprzednim stuleciu? - ale ostatecznie konflikt został zażegnany, gdy ktoś zaproponował, żeby w odniesieniu do natury komisja rozumiała słowo „dziki” w jego pierwotnym sensie, to znaczy jako „nieдоступny, nietknięty ręką ludzką, niezbadany”. Potem we wszystkich gazetach opublikowano zdjęcie, którego Laura bardzo się wstydziła, przedstawiające ją, jak wpycha bieliznę osobistą do drelichowego, marynarskiego worka, i opatrzone podpisem: „Laura Ptack, specjalistka od dzikiej przyrody, przygotowuje się do długiej zimy”. Jej pierwszym kochankiem był pewien profesor dziennikarstwa i stąd dziewczyna doskonale wiedziała, że redaktorzy gazet i czasopism chętnie drwią

sobie z tekstów, które uważają za absurdalne. Nawet teraz, gdy mróz zaciśka! się wokół domku jak palce dusiciela, czuła, że rumieni się ze wstydu.

Zdjęcia. Dzika przyroda. Małpy.

Czy w telewizji nie emitowano kiedyś reklamy, w której małpia rodzi-
na dzieli się na Boże Narodzenie butelką co- ca-coli? Laura była prawie
pewna, że widziała coś takiego, kiedy była mała.

W każdym razie niedługo po tym, jak z talerza satelitarnego odpadła
antena - dokładnie dwa dni później - radio wydało z siebie kilka ostatnich
trzasków i pojedynczych głosek, po czym umilkło. Dlaczego nie mogła
przestać o tym myśleć? Kiedy nadbiornik odmówił posłuszeństwa, wszyst-
kie połączenia internetowe i telefoniczne zostały zerwane i od tej chwili
Laura, Puckett i Joyce nie mieli już żadnej możliwości skontaktowania się z
firmą i wezwania pomocy. Puckett upierał się, że powinni poszukać części
zapasowych, których mogliby użyć do naprawy radia albo nadbiornika.
Mieli do dyspozycji tylko dwa pomieszczenia - sypialnię i „salonik” - ale
poszukiwania zajęły im pół dnia. Znaleźli kilkaset torebek pemikanu i su-
szonej wołowiny, słoje z dziesięcioma tysiącami tabletek witaminy C, pęk
koców elektrycznych, przewiązany elastycznym sznurem, dwie lampy naf-
towe, sześć puszek liofilizowanej kawy, kuchenkę typu „prymus”, dwa za-
pasowe namioty, a nawet skrzynkę narzędziową, ale nic z tego nie mogło
im się przydać ani do naprawy radia, ani anteny.

W ten sposób stało się jasne, jakim sprzętem dysponują, bo Laura wie-
działa, że nic więcej nie znajdą.

Gdyby choć jeden kanał łączności wciąż działał, mogliby poprosić o
potrzebne materiały i oprzyrządowanie, żeby naprawić pozostałe, ponieważ
jednak awarii uległy wszystkie, nie pozostało im już ani jedno koło ratun-
kowe.

Ludzie z Coca-Coli wiedzieli wszystko, co tylko można wiedzieć o re-
klamie, badaniach rynkowych i targacie produktu, ale - jak się okazało - nie
znali się zbyt dobrze na polarnictwie.

Laura, Puckett i Joyce czekali blisko tydzień, w nadziei, że firma jakoś nawiąże z nimi kontakt. Puckett wciąż pobierał próbki lodu, Joyce badał wodę, sprawdzając, czy spełnia firmowe wymogi czystości, a Laura przesyłała okolicę w poszukiwaniu choćby najskromniejszych śladów życia. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ich praca to czysta strata czasu, bo dzięki dziesiątkom testów symulacyjnych firma wie już wszystko, co chciała wiedzieć o tym kontynencie. Czy gdyby ekspedycja miała stanowić poważne przedsięwzięcie naukowe, nie będąc wyłącznie sposobem na rozbudzenie zainteresowania najnowszą propozycją Coca-Coli, szefostwo nie wysłałoby na tę wyprawę więcej niż troje ludzi? I czy nie poddałoby jej uczestników bardziej rygorystycznemu szkoleniu? Nie, ta wyprawa była wyłącznie chwytem reklamowym, niczym więcej, i wszyscy już zdawali sobie z tego sprawę. Mimo to pracowali, oczekując na pomoc. Wydawało im się, że to najlepszy sposób na zabicie czasu. W końcu nie była to epoka Shackletona i Scotta, gdy mijały niekiedy całe lata, zanim świat dowiadywał się, że na polarnych pustkowiach zaginął jakiś podróżnik. Regulamin ekspedycji nakazywał Laurze, Joyce'owi i Puckettowi przesyłanie do firmy raportów służbowych co najmniej raz w ciągu doby, o godzinie trzeciej czasu amerykańskiego, i dopóki nie zepsuło się radio, zawsze dopełniali tego obowiązku. Oczywiście tak daleko na południu, gdzie słońce mogło snuć się po niebie całymi miesiącami, trudno było odróżnić trzecią rano od trzeciej po południu, było więc możliwe, że od czasu do czasu mylili pory dnia. Istniała jednak zasadnicza różnica pomiędzy opóźnieniem wynoszącym kilka godzin a opóźnieniem rzędu czterech, pięciu, sześciu albo siedmiu dni, teraz więc firma musiała już się zorientować, że stało się coś złego.

Dlatego wkrótce ktoś z pewnością przedrze się przez wiatr i śnieg, żeby ich uratować. Laura nawet z otwartymi oczami potrafiła sobie wyobrazić wybawców. Tnąc płozami lód, nadjadą sanie i wysiądzie z nich zespół ratowników, którzy dostarczą im żywność i niezbędny sprzęt pod same drzwi. Albo z góry nadleci z warkotem śmigieł helikopter, zostawi im nowy

nadbiornik, po czym wzbije się ponownie w powietrze, pochylając się na wicherze nieco ku dołowi, jak ważka.

Tymczasem jednak dziewczyna mogła jedynie grać w karty z Pucketem i Joyce'em, a w trakcie tej czynności wszyscy przyglądali się wzmocnionym sklepieniom wnętrza ich domku. Od czasu do czasu któreś z nich opierało się dłonią o drzwi, żeby poczuć mróz, wciskający się do wnętrza przez blachę. Mieli mnóstwo czasu. Zaczęli słyszeć jakieś przyzywające ich głosy, szczekanie psów i głuchy odgłos silników - dźwięki, które wiatr skrywał niczym ziarno tkwiącą w nim roślinkę. W końcu jednak zdali sobie sprawę, że to tylko złudzenia. Nikt po nich nie przyjedzie. Nikt o nich już nie pamięta.

Laura zrozumiała tę prawdę ostatnia z całej trójki i dostała wtedy zawrotów głowy, a przed jej oczami zatańczyły tysiące świetlnych plamek, wybuchających niczym odległe gwiazdy. Pomyślała, że zemdleje, a potem wymamrotała, że zabrakło im szczęścia, na co Puckett zauważył, że właściwie nigdy nie wolno tak mówić, bo przecież zawsze może być zarówno gorzej, jak i lepiej. Zasoby szczęścia, jeśli traktować je na podobieństwo surowców naturalnych, nie są ograniczone, więc nie ma sensu ich mierzyć. Joyce odpowiedział na to, że istnieje przecież mnóstwo opowieści o ludziach, którym zabrakło szczęścia: na przykład historia przykutego do skały Prometeusza, któremu przez całą wieczność orzeł miał szarpać wątrobę. O kimś takim z pewnością można powiedzieć, że zapasy jego szczęścia zostały wyczerpane. Puckett z kolei odrzekł, że może nie należy uważać szczęścia za coś, co można „mieć” czy „posiadać”, bo świat przebiegają najprawdopodobniej zarówno podskórne prądy szczęścia, jak i pecha, i dlatego unosi nas czasem pierwszy, a kiedy indziej drugi z nich, ale przecież my sami nie jesteśmy zbudowani z wody, tylko usiłujemy utrzymać się na jej powierzchni. Na te słowa Joyce odparł:

- Jeżeli nigdy nie czuleś, że sprzyja ci szczęście, czyli jeżeli naprawdę nie czuleś go w głębi serca, Puckett, to twój głos w tej kwestii nie jest wiarygodny.

Laura miała już wówczas dość rozmowy, będącej jedną z tych ospałych dyskusji, które mężczyźni potrafią toczyć czasem całymi godzinami tylko dla zabawy. Niejeden raz groziła, że jeśli nie przestaną, wyjdzie przed siebie w śnieg na spotkanie śmierci - teraz jednak dałaby wszystko za to, żeby jeszcze raz usłyszeć ich głosy. A nawet jakikolwiek inny ludzki głos.

Puckett i Joyce wyjechali prawie trzy tygodnie temu. Gdy stało się jasne, że firma nie zamierza przysłać im żadnej pomocy, załadowali sanie i wyruszyli w stronę zachodniego wybrzeża Morza Rossa, gdzie podobno znajdowała się stacja polarna, w której naukowcy zajmowali się badaniem migracyjnych zwyczajów pingwinów cesarskich. Puckett i Joyce zamierzali nawiązać kontakt z Coca-Colą, wyjaśnić, co się stało, a potem, jeśli byłoby to możliwe, wypożyczyć od naukowców radio wraz z zapasowym nadbiornikiem i wrócić do domku. Ich sanie napędzane były bateriami najnowszej generacji, które po naładowaniu mogły pracować bez przerwy przez sześćdziesiąt dni. Nawet gdyby przyszła odwilż albo gdyby musieli przedzierać się przez góry, dotarliby do stacji najdalej po tygodniu, a powrót nie powinien zająć im więcej niż kilka dni, Laura powoli przyzwyczajała się więc do myśli, że Puckett i Joyce nie wrócą. Siedziała sama w domku i bała się.

Wiatr gwizdał na dworze wśród kabli. Wędrujący dźwięk pulsował z wolna na zmiennej częstotliwości, po czym zamierał, przekroczywszy próg słyszalności dla ludzkiego ucha. Przypominał jej dzwony z wakacyjnego obozu z czasów dzieciństwa. Wisiały na dwóch przeciwległych krańcach obozowiska, a Laura znalazła niedaleko portu jeden maleńki punkt, wielkości ludzkiego ciała, w którym dźwięki obu dzwonów znosiły się nawzajem. Lubiła stać w tym jakby pęczniejącym gnieździe ciszy i słuchać świerszczy oraz przelewających się na brzegu fal, i teraz krążyła po swoim ciasnym domku, próbując zlokalizować takie właśnie miejsce, w nadziei, że znajdzie je w kącie ponad stanowiskiem komputerowym albo pod łóżkiem. Potem poddała się, usiadła na krześle przy drzwiach i nalała sobie kieliszek wina. Było to merlot, rocznik 27 - ich jedyna butelka. Miało wspaniały smak.

Niedźwiedzie polarne. W reklamie coca-coli występowały białe misie, nie małpy.

Cztery dni później w szafce Joyce'a znalazła cyfrowy odtwarzacz. Myła właśnie twarz w przeciwległym kącie pokoju, kiedy zamek w drzwiczkach szafki otworzył się nagle z trzaskiem przypominającym wystrzał. Nie mogła się oprzeć, żeby nie zajrzeć do środka. Joyce zabrał swój dziennik, przybory toaletowe i większość garderoby, ale zostawił stertę starannie ułożonych kalesonów i kieszonkowy odtwarzacz marki Bertelsmann z paroma setkami nagrań. Laura włączyła urządzenie i przez następne trzy tygodnie, aż do pogodnego, mroźnego, bezwietrznego i śnieżnego dnia, kiedy pod wieczór ośmieliła się wyjść na dwór, jej domek rozbrzmiewał muzyką Beethovena, Link Springs, Handla, Schoenberga i Charliego Parkera.

Codziennie czytała, gimnastykowała się i gotowała posiłki, a poza tym lubiła całymi godzinami przesiadywać na krześle i słuchać muzyki, którą otulała się jak płaszczem. Po lunchu przez godzinę próbowała uzupełniać swój dziennik o jedną czy dwie stroniczki, analizując skutki, jakie miałyby metody produkcji coca-coli na miejscową faunę i florę, bo takie było jej oficjalne zadanie podczas wyprawy - tym trudniejsze i absurdalniejsze, że w okolicy brakowało zarówno roślin, jak i zwierząt. Foki i pingwiny żerowały tu wyłącznie na skraju szelfu, gdzie pęknięcia i szczeliny w pokrywie lodowej ułatwiały im dostęp do oceanu, w którym skupiało się także życie roślinne w postaci różnych alg i wodorostów. Od czasu do czasu dziewczyna kręciła też gałkami radia w nadziei, że mimo wszystko złapie jakiś sygnał i zdoła nawiązać kontakt z firmą, a pewnego razu przez niecałą minutę z głośnika dobiegały przypominające krzyki delfinów piski, trzaski i pogwizdywania, po chwili jednak odbiornik znowu zamilkł i Laura już nigdy nie wydobyła z niego żadnego dźwięku. Od czasu do czasu stawiała sobie pasjanse, ale nieodmiennie rezygnowała z gry, gdy docierało do niej, że tylko machinalnie tasuje karty i wcale ich nie rozkłada. Niekiedy krążyła między łóżkiem i drzwiami, licząc własne kroki. „Cztery, pięć, sześć, sie-

dem". Starła się sypiać co najmniej osiem godzin, ale często budziła się zaledwie po trzech lub czterech, bo zepsute grzejniki emitowały coraz mniej ciepła i często łapały ją skurcze zziębniętych łydek. Każdego ranka sprawdzała temperaturę, która co noc obniżała się w domku mniej więcej o dwa stopnie. Wkrótce spadnie poniżej zera i Laura będzie musiała się przebijać przez skorupę lodu, by napić się wody. Już widziała, jak jej oddech zastyga w powietrzu w maleńkie, znikające po krótkiej chwili kleksy. A w jakiej temperaturze zaczną jej zagrażać odmrożenia?

Pewnego wieczoru zaraz po obiedzie ogarnął ją straszliwy smutek, chociaż mogła przysiąc, że nie myślała nie tylko o niczym przygnębiającym, ale w ogóle o niczym. Bolało ją całe ciało, jak gdyby za chwilę miała się rozsypać na kawałki. Zastanawiała się, co się z nią dzieje, i nie umiała zlokalizować źródła tego smutku. Najpierw podeszła do zepsutego nadbiornika, słuchając jakiegoś nagrania Szostakowicza i w zamyśleniu dyrygując palcem, a potem usiadła na brzegu łóżka i drząc na całym ciele, wybuchnęła płaczem. Płakała, dopóki żołądek nie podszedł jej do gardła, a potem zgięła się w pół i wsunęła głowę między kolana, z trudem chwytając powietrze. Zaczęła normalnie oddychać dopiero po dłuższej chwili. Od tej pory powtarzało się to już co wieczór - najpierw wstrząsał nią nieopanowany płacz, a potem nudności, które sprawiały, że zapominała o całym świecie.

Brakowało jej rozmów, śmiechu i zwyczajnego kontaktu z innymi ludźmi. Usiłowała przypomnieć sobie osoby, z którymi kiedyś choć raz rozmawiała, ludzi, którzy dotykali jej kolan i pochylali się, by szepnąć jej coś do ucha, albo tych, którzy krzyczeli na nią w szkole i na spotkaniach komisji planowania. Jeżeli nie potrafiła ich sobie przypomnieć, wymyślała nowych, bo przecież lepszy wyimaginowany rozmówca niż żaden. Tęskniła za Puckettem i Joyce'em, za idiotycznymi kłótniami swoich współtowarzyszy, a nawet za odgłosem ich oddechów. Coraz bardziej utwierdzała się w podejrzeniach, że zaginęli gdzieś w drodze między domkiem a stacją badawczą nad Morzem Rossa albo że udało im się dotrzeć do stacji, ale postanowili nie ryzykować powrotu. Ponadto tęskniła też za rodzicami i przy-

jaciółmi oraz sąsiadami z apartamentowca, w którym kiedyś mieszkała. Czasami myślała o nich wszystkich tak intensywnie, że słyszała ich głosy.

- Chodź, kochanie, czas spać - słyszała najpierw ojca, a potem miało piętnaście lat i w myślach Laury odzywał się głos jej współlokatorki z akademika: - Zostaję u Kyle'a na weekend, więc będziesz miała cały pokój dla siebie. - Następnie miało dalsze dziesięć lat i Laura słyszała, jak szef stuka do drzwi jej pokoju i mówi: - Rzucę tylko jedno słowo, a ty mi odpowiesz, co o tym myślisz: „Antarktyka”.

- Rok wcześniej ówczesny chłopak Laury oświadczył. - Piękna szminka. Od dzisiaj powinnaś używać szminki właśnie w tym kolorze. Mój Boże, mam ochotę odgryźć ci usta, kiedy na ciebie patrzę. - Później z kolei odezwał się inny głos, który Laura usłyszała pierwszy raz zaledwie na tydzień przed wyjazdem na biegun z Puckettem i Joyce'em: - Co, nie masz dla mnie nawet pieprzonego dolara? Bo nosisz nowe buty i szpanerski pasek do kompletu? Bo jesteś zbyt zajęta, żeby zainteresować się kimkolwiek poza sobą? - Były to słowa żebraka, stojącego przed budynkiem Coca-Coli.

Słuchała tych głosów, dopóki nie zagłuszył ich wiatr, a wtedy wracała z cudownego pleneru wspomnień pod szare sklepienie domku i znów siedziała w nim i spacerowała tam i z powrotem bez końca.

Poszukiwała sposobów na urozmaicenie tego monotonnego trybu życia, rozplątując jego nitki i podążając za każdą z nich do końca, bez względu na to, jak były wątle i cienkie. Postanowiła, że nie popadnie w obłęd. Rankiem gimnastykowała się przez całą godzinę, nie przez piętnaście minut, jak dawniej, i uprawiała bieg w miejscu, w kurtce i rękawiczkach. Czytała książki, które zmuszały ją do koncentrowania się na każdym kolejnym słowie. Zaczęła przygotowywać coraz bardziej pracochłonne posiłki: duże pieczenie, gulasze i potrawy, które trzeba było gotować pół dnia i które pochłonęły prawie cały zapas warzyw. Korzystała z każdej okazji, by zająć się czymś innym, na przykład wygładzić fałdę na spódnicy albo zmieść śnieg z podłogi. Nic jednak nie pomagało, prawda bowiem wyglądała tak, że bez względu na to, ile razy podrywała się z krzesła, próbując

udawać, że ma do zrobienia coś pilnego, w istocie przecież nigdzie się nie śpieszyła. Nie mogła się ruszyć z domku i dobrze o tym wiedziała.

Pewnego ranka naprawiała drobną usterkę w piecu kuchennym i o mały włos nie odrąbała sobie lewej ręki. Było to tak: usłyszała, że pod palnikiem grzechocze obluzowana śruba, nie mogła jej jednak dosięgnąć i dokręcić, więc weszła na piec, próbując dostać się do niej od góry, skąd doskonale widziała szparę między kuchenką a ścianą, od której oderwała się jakaś blaszana listwa. Listwa ta drżała, podskakiwała i ocierała się o piec za każdym razem, gdy domkiem targał wiatr, okazało się więc, że niepokojący odgłos pochodzi właśnie stąd, a śruba wcale się nie obluzowała. Dziewczyna wiedziała jednak, że ten dźwięk doprowadzi ją do szału, jeśli natychmiast nie zlikwiduje jego przyczyny, spróbowała więc wcisnąć listwę na miejsce. Kiedy jej się to nie udało, sięgnęła po scyzoryk, żeby ją odciąć. I tym razem jednak jej wysiłki spełzły na niczym, postanowiła zatem odrąbać pas blachy toporkiem, który znalazła w skrzynce narzędziowej. Oparła się o kuchenkę lewą ręką, a prawą, w której trzymała toporek, wzięła szeroki zamach... i wtedy straciła nagle równowagę.

Rękę miała tak zeszywniałą z zimna, że nawet nie poczuła, że wypuściła siekierkę, która o centymetry minęła jej głowę i uderzyła w piec. Rozległ się przeciągły odgłos, przypominający bicie dzwonu, a potem toporek zsunął się na podłogę.

Laura spojrzała w dół - na powierzchni kuchenki widniała srebrzysta, zwężająca się ku dołowi rysa, przypominająca żyłę zmrożonej ziemi. Biegła niemal na wysokości jej palców i wydawało się nawet, że dziewczyna ją nimi wskazuje. W tym momencie zdała sobie sprawę, jak bardzo jest samotna. Gdyby toporek spadł trochę dalej na lewo, wykrwawiłaby się na śmierć, zanim ktoś by ją znalazł - kilka tygodni albo nawet lat później, co odważnie sobie wyobrażała. Od tej pory będzie musiała bardziej uważać.

Zaczęła przypominać sobie z wprost zdumiewającą wyrazistością pewne zdarzenia z przeszłości: spotkania, rozmowy i różne inne historie. Pewnego razu za studenckich czasów spędziła cały dzień w chicagowskim

ogrodzie zoologicznym i przyglądała się małej żyrafce - już ostatniej, jaką oglądał świat - która pobrzękiwała żelaznym łańcuchem, oblizując go długim, czarnym jęzorem. W dniu, kiedy podjęła swoją pierwszą pracę za ladą w pralni chemicznej, jakiś klient podał jej parę zaplamionych w kroku spodni i zapytał: „Czy z mieszanki poliestru i sztucznego jedwabiu da się sprać plamę po płynie 44-D?”. Potem przypomniała sobie, jak matka zabrała ją na urodziny do swojej dawnej koleżanki szkolnej, a później zbeształa za to, że zaledwie czteroletnia wówczas Laura podśpiewywała ciągle „Do domu, do domu!” na melodię „Sto lat”...

Przyszło jej na myśl, czy nie przypomina sobie czasami całego życia jak człowiek umierający, tylko znacznie, znacznie wolniej.

„Laura Ptack, specjalistka od dzikiej przyrody, przygotowuje się do długiej zimy”.

Poza tym ciągle płakała, a mimo to za każdym razem ataki płaczu ją zaskakiwały. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie umie przewidzieć ich nadejścia. Może ten płacz przypominał jej bóle porodowe, męczarnie zwielokrotnionych skurczów i napięć mięśniowych, podczas których nie można myśleć o niczym, a może miał raczej coś wspólnego z wezbraną rzeką wspomnień, niosącą dziewczynę przeszłość, która obejmowała ją i wyprzedzała, gdy terażniejszość stawała się coraz mniej wyraźna, przyszłość zaś rysowała się już tylko w postaci bezkształtnej mgły? Może ten płacz był częścią jej innego, prawdziwego życia, tego, które stawało jej właśnie przed oczami, i może była w nim tylko gościem?

Któregoś dnia, zanim jeszcze zepsuł się termometr, zorientowała się, że ucichł szumiący odgłos, który do tej pory bez przerwy jej towarzyszył. Szum stanowił produkt uboczny konwersji drgań atomów domku w ciepło i dochodził z wnętrza jego ścian, a był tak niski i monotony, że właściwie ledwie go słyszała. Nie zauważyłaby wcale, że umilkł, gdyby wiatr nie ustał na krótką chwilę i gdyby w powietrzu nie zapanowała niemal zupełna cisza. Ściągnęła rękawiczkę, dotknęła grzejnika i poczuła kłapiący w gołe palce chłód. Gdy zdjęła obudowę zewnętrzną i odkręciła osłonę, okazało

się, że spirala przybrała kolor bladej, matowej szarości. Zbadła pozostałe grzejniki i wszędzie znalazła to samo: dziesiątki wygasłych spirali grzewczych, przypominających martwe robale. Od początku wiedziała, że do tego dojdzie, i nie myliła się. Grzejniki odmówiły w końcu posłuszeństwa.

W magazynku znalazła dwa namioty (pozostałe zabrali Puckett i Joyce), jeden z nich rozstawiła pośrodku pokoju. Postanowiła w nim spać. Był wyjątkowo dobrze izolowany, a przy tym miał własny system grzewczy najnowszej generacji, tak zwane miękkie spirale, i Laura wkrótce zaczęła spędzać w nim właściwie całe dni. Światło przesączające się do środka przez ścianki nadawało wnętrzu mlecznoróżowy kolor, a kopulasty daszek opadał i wznosił się lekko, kiedy w domku zmieniało się ciśnienie. Miała idiotyczne poczucie - a właściwie wyobrażała sobie - że tkwi we wnętrzu meduzy. Wczesnym rankiem zaraz po przebudzeniu, jeszcze półprzytomna, leżała w śpiworze, nasłuchując przypominających pluskanie podmuchów wiatru, i myślała, że sunie powoli tuż nad dnem oceanu pośród milionów żółtych okrzemków. Fantazjować było jej jakoś łatwiej, niż przeraźliwie krzyczeć, krzyczeć było łatwiej, niż się martwić, a martwić się łatwiej, niż płakać, więc dobrze wiedziała, jak to się wszystko skończy, jeśli nie weźmie się w garść.

Codziennie wychodziła z namiotu: rano, żeby przygotować śniadanie i pogimnastykować się, potem kilka razy skorzystać z toalety, i jeszcze raz pod wieczór, by ugotować obiad. W domku utrzymywało się wciąż trochę ciepła, zmagazynowanego przez ostatnie sześć miesięcy, poza tym trochę nagrzewała go kuchenka, ale i tak musiała wkładać kurtkę i rękawiczki za każdym razem, gdy opuszczała namiot. Nie wiedziała, co zrobi, kiedy zabraknie w końcu elektryczności. Przed paroma dniami światło migotało i kilkakrotnie gasło - wprawdzie w końcu znów się zapalało, ale z niepewnym drżeniem. Kiedy liczyła wtedy sekundy, dzielące kolejne erupcje światła i ciemności, żołądek podchodził jej do gardła. Tymczasem jednak ciągle miała prąd.

Prąd płynie. Wiatr wieje. Śnieg pada.

Leżąc w namiocie w półśnie, często bawiła się w skojarzenia słowne. Odkryła tę zabawę jeszcze w podstawówce, próbując zabić czas dzielący przerwę na lunch i koniec lekcji.

Śnieg. Bałwan. Kula śnieżna. Łóżysko kulkowe. Ciasnota. Cieśnina Beringa. Podróżnik. Światowiec.

„Światowiec”. Nie minął miesiąc, odkąd Laura zaczęła pracować dla Coca-Coli, gdy firma zainicjowała kampanię reklamową nazwaną kampanią „na światowca”. Było to w czasie ostatniej fali strachu, wywołanego rozpowszechnianymi przez prasę i telewizyjne tokszoły informacjami, jakoby terroryści zamierzali zatruć zasoby wody pitnej w całym kraju. Na takie wieści firma natychmiast wynajęła dziesięć tysięcy przystojnych mężczyzn i urodziwych kobiet, których gościła na swój koszt w restauracjach w Nowym Jorku, Los Angeles i kilku innych miastach, oni zaś widząc, że jakiś gość na sali zamawia szklanekę wody, pytali: „Czy nie czułby się pan pewniej, pijąc coca-colę?”. Po trzech tygodniach kampanii sprzedaż coca-coli na rynku krajowym wzrosła o czterdzieści procent, a po pięciu o kolejne dwadzieścia. Jej pomysłodawcą był Joyce, któremu ten sukces zapewnił szybki awans, ostatecznie prowadzący go na Antarktydę i - jak podejrzewała teraz Laura - jeszcze dalej, na dno jakiejś lodowej rozpadliny. Puckett został wybrany z uwagi na znajomość geografii i topografii rejonów polarnych (choć, prawdę mówiąc, zajmował się polarnictwem jedynie hobbyistycznie), a Laura dlatego, że z kilkunastu specjalistów od ochrony środowiska w swoim dziale jedynie ona piastowała dość wysokie stanowisko, żeby wziąć udział w wyprawie - a zarazem zbyt niskie, żeby odmówić wykonania tego polecenia. Decyzje w podobnych sprawach zawsze zapadały w firmie w taki sposób.

Cztery dni po pierwszej awarii zasilania znowu zgasło światło, tym razem definitywnie, z cichym trzaskiem, więc Laura od razu się domyśliła, że to już koniec. W domku rozszedł się zapach kordytu - chociaż oczywiście nie mógł to być kordyt - a odtwarzacz umilkł w połowie piosenki Etty James. Gdyby Laura знаła choć trochę budowę generatora, może potrafiłaby

go naprawić, ale elektromechanika była dla niej właściwie czarną magią, nie licząc strzępów teorii zapamiętanej z pierwszego roku studiów. Zapaliła latarkę, schowaną w kieszeni namiotu. Powietrze ciągle odznaczało się różowym zabarwieniem, ale teraz, gdy światło odbijało się niejako samo od siebie, a nie wsączało z zewnątrz, blask był dwukrotnie silniejszy. Kontur} 'wszystkich przedmiotów w namiocie zdawały się lśnić z niezwykłą wprost ostrością. W schowku przed wejściem Laura znalazła pudełko batonów zbożowych. Rozpakowała jeden i zjadła. Zdumiewały ją indywidualne kształty poszczególnych ziaren, scementowanych karmelem. Przypominały jakby maleńkie puzzle. Wiedziała, że od tej chwili będzie się żywić wyłącznie suchym prowiantem: pemikanem, sucharami, suszoną wołowiną i właśnie batonami zbożowymi, czyli prowiantem, który mógłby przetrwać nawet apokalipsę. Mogła oczywiście rozpać kuchenkę albo nawet ognisko, ale przypuszczała, że tak czy owak zapasy wyczerpią się za niecały miesiąc. Wyprawa powinna była się skończyć kilka tygodni temu, a rezerwy żywności od początku mieli dosyć skąpe.

Oto w jakiej sytuacji się znalazła: nie miała ogrzewania ani prądu, a wkrótce miało zabraknąć też prowiantu.

Wiedziała, co musi zrobić - prawdę mówiąc, odpowiedź przyszła jej do głowy tak błyskawicznie, że zdała sobie sprawę, że musiała zastanawiać się nad nią już od dawna.

Jej jedyną szansą było załadować zapasy na drugie sanie, opuścić domek i wyruszyć śladem Pucketta i Joyce'a. Gdyby zdołała dotrzeć na zachodnie wybrzeże Morza Rossa, znalazłaby żywność, dach nad głową i towarzystwo ludzi - a jeśli nie, jej sytuacja nie byłaby gorsza niż teraz. Nie chciała wyjeżdżać. Przerazała ją myśl, że będzie musiała zagłębić się w tę mroźną, lodową pustynię zupełnie sama - ale nie miała przecież innego wyjścia.

Pół następnego dnia poświęciła na pakowanie niezbędnych zapasów: puszek ze skondensowaną i suszoną żywnością, słoja multiwitamin, kilku puszek kawy, dwunastu rolek papieru toaletowego, zapasowego ubrania,

namiotu, śpiwora, podkładu termalnego, apteczki, flakonika płynu zabezpieczającego przed działaniem promieni ultrafioletowych, zwoju alpejskiej liny, kilku pudełek wodoodpornych zapalek, prymusa wraz z kilkoma puszkami paliwa, pęku świec, zapasowego namiotu, małego kompasu magnetycznego (sanie były wyposażone w GPS, ale chciała być przygotowana na każdą ewentualność), latarki, zapasowych baterii, skrzynki narzędziowej, garnka, drugiego garnka, w którym zamierzała rozpuszczać lód, kilku kawałków sklejki, czekana, kilofa, szpadla, scyzoryka, a wreszcie uprząży oraz nart i kijków na wypadek, gdyby silnik sań uległ jakiejś awarii i przyszło jej ciągnąć je po lodzie siłą własnych mięśni. Poświęciła ponad godzinę na poszukiwania zapasowego akumulatora, którego nie znalazła, co oznaczało, że albo nikt w firmie nie pomyślał, by wyposażyć członków ekspedycji w zapasowy akumulator, albo zabrali go Puckett i Joyce. Tak czy owak, musiała się obejść bez niego.

Była tak pochłonięta selekcjonowaniem i pakowaniem ekwipunku, że dopiero kiedy otworzyła drzwi domku, by patrzeć w blednące niebo i na nieruchome pole śniegu, zauważyła, że wichura ustała. Wyszła przed drzwi, wsuwając dłonie pod pachy. Powietrza nie poruszał nawet najłżejszy powiew. Nie dostrzegła ani jednej chmurki, chociaż padał rzadki, drobny jak mąka śnieg.

Był to jeden z tych niezwykłych, jak jej się wydawało, zachodów słońca, kiedy niebo na długie godziny zasnuwało się różowozłotymi kłębami światła. Na horyzoncie pojawiły się właśnie pojedyncze piegi gwiazd i Laura zaczęła je liczyć. Im dłużej wpatrywała się w firmament, tym więcej ich przybywało, wkrótce więc dała spokój.

Kucnęła, żeby przyjrzeć się pokrywie lodowej. Od drzwi domku aż po horyzont ciągnęły się tysiące równoległych bruzd, zwanych „sastrugi”, a wyłobionych w śniegu przez południowy wiatr. Lód jednak nie był szczególnie kruchy i wilgotny ani zbyt twardy i suchy, toteż uznała, że będzie się po nim dobrze podróżować.

Oстрым концем килфа zaczęła kruszyć lód pokrywający sanie. Przypominało to nadawanie kształtu kamiennej rzeźbie, a kiedy lodowe okruchy gęsto sypały się jej pod nogi, zaczęła myśleć o czekającej ją dalekiej podróży, a także o wytrwałości i łucie szczęścia - niezbędnych, by dotrzeć do celu.

TLR

— ROZDZIAŁ TRZECI —

Spotkanie

W redakcji panował upał - straszliwe, piekielne gorąco, unoszące zapach farby z powielacza i nasycające jej wonią cały pokój. Luka przez dłuższy czas siedział za biurkiem i wachlował się, żeby rozwiać opary, a potem otworzył okno i rozsunał pnącza, czekając, aż do środka wpadnie powiew wiatru. Cisza na zewnątrz była niemal transcendentalna. Na skrzyżowaniu nie stał na czerwonym świetle żaden samochód i nie było widać ani jednego dzieciaka, przebiegającego pod domem z balonikiem w rękę. W ogóle nikogo nie było widać, a powietrze miało smak granitu i nadrzecznej trzciny. Luka kilka razy odetchnął głęboko i wrócił do swojej makiety.

Pracował nad najnowszym wydaniem „Dziennika Simsa”. Nagłówek brzmiał „Sam w mieście”, a złożony nieco mniejszą czcionką lid: „Redaktor stawia pytanie, czy w mieście jeszcze ktoś jest?”. To było wszystko, co dotychczas zrobił.

Większą część poranka spędził na posterunku przed kafejką River Road z całym nakładem porannego wydania gazety w rękach. Stał na ulicy od siódmej do jedenastej trzydzieści, zupełnie sam, czytając w kółko nagłówek: „Wielki exodus trwa”. Przez cztery i pół godziny czekał na przechodniów przed witryną kawiarni, w której siedziało zwykle kilkudziesięciu gości, wierząc się na rozklekotanych, drewnianych stołkach i centymetr po centymetrze przesuując filiżanki z kawą nieco w lewo, podczas gdy na niebie powoli wschodziło słońce. Przez cztery i pół godziny liczył ptaki na parapetach i papierki, które wiatr rozwiewał na ulicy. Przez cztery i pół godziny! I nie zobaczył nikogo, nawet spośród swoich stałych czytelników, jak kobieta w białym berecie, chudzielec w wygniecionym garniturze albo

ten kucharz, specjalizujący się w deserach, który zawsze wyglądał na ulicę, kiedy Luka pakował swój majdan i zbierał się do odejścia.

Mieszkał tu od lat, ale coś takiego stało się po raz pierwszy. Nie wiedział, dlaczego miasto opustoszało i kto lub co odpowiada za zniknięcie mieszkańców, dręczyło go jednak zupełnie inne pytanie: a mianowicie, dlaczego nie zniknął i on? Odczekał jeszcze kilka minut w nadziei, że może nadciągną jakieś niedobitki, a wreszcie dał sobie spokój i wrócił do domu. Po drodze wyrzucił do kosza wszystkie gazety. Po namyśle wyciągnął je z powrotem, po czym zreflektował się raz jeszcze i znów wyrzucił cały nakład do śmietnika, zachowując jednak na pamiątkę jeden egzemplarz, który przypiął do ściany za swoim biurkiem. Miał mu o czymś przypominać - być może o dniu, w którym stracił wszelką nadzieję.

Dlaczego w ogóle wydawał jeszcze gazetę? Nie wiedział. Podejrzewał, że z przyzwyczajenia - chciał po prostu zająć czymś ręce i umysł. Wyczuwał jednak już teraz, jak to się skończy: będzie się staczał coraz niżej, niżej i niżej, aż wreszcie spadnie na dno najbardziej żenującej formy solipsyzmu.

Wcale nie cieszyła go taka perspektywa. Zawsze był jedynym autorem, a teraz stał się także jedynym czytelnikiem swojej gazety. Jeżeli nie będzie uważał, wkrótce zacznie pisać o własnej perystalicy.

„Dziennik Informacyjny i Spekulatywny L. Simsa: cały Sims, o którym warto pisać”.

Albo jeszcze lepiej: „Cały Sims, Sims i tylko Sims”.

Do redakcji wpadł łagodny, pieszczotliwy podmuch wiatru. Luka usłyszał, że pnącza znowu osunęły się na okno i szeleszczą, ocierając się o ceglany mur. Pochylił się nad biurkiem i zaczął tekst na jedynkę: „Dzisiaj około godziny jedenastej trzydzieści redaktor niniejszej gazety doszedł do wniosku, że jest ostatnim człowiekiem w naszym mieście. A nawet więcej: że, nie licząc ptaków, być może jest tu nawet ostatnim żywym stworze-

niem". Czy nie powinien jednak zastąpić kropki przecinkiem przed „A”? Albo myślnikiem? A może umieścić to drugie zdanie w nawiasie? Pięć czy sześć lat przed śmiercią, jako trzydziesto- parolatek, prowadził na uniwersytecie Columbia zajęcia zatytułowane „Wstęp do dziennikarstwa” i ze zdumieniem zauważył wówczas, że większość jego studentów - nawiasem mówiąc, najlepszych studentów w mieście - nie wiedziała, jak dobrze zacząć artykuł. Powiedzieć, że mordowali lidy, to mało: studenci palili je, ćwiartowali i kastrowali. Był to jeden z dowcipów, które najbardziej lubił opowiadać na zajęciach, ale nikt nigdy się z nich nie śmiał, czemu zresztą trudno się dziwić. Ostatecznie przetrwał na uczelni trzy semestry - a ściślej mówiąc, trzy semestry, dwustu studentów i jeden romans - po czym postanowił wrócić do zawodu i żyć z pisania do gazet. Bardzo nie lubił mówić, że miał dziennikarstwo we krwi, ale ten zawód zdawał się zapewniać Luce coś, czego nie dawało mu żadne inne zajęcie: upojenie, wynikające ze znajomości niezliczonych faktów. Pracując nad tekstem, czuł się jak paleontolog, poszukujący kości prehistorycznego zwierzęcia i przekopujący świat dopóty, dopóki nie natrafi na mały, twardy przedmiot, który można skatalogować i wziąć do ręki, jak na przykład czaszka albo mostek. Właśnie dlatego wciąż robił swoją gazetę - bo nic innego nie umiał.

Oczywiście był głupi i dobrze o tym wiedział. Zrezygnował z rozkoszy rozmowy i przyjaźni - dostępnych każdemu, kto gotów jest choćby tylko wyściubić nos za próg swojego domu - na rzecz nieprzeliczonych godzin, które spędzał samotnie w redakcji, składając gazetę na następny dzień. Uważał za oczywiste, że społeczność umarłych (a przedtem żywych) zawsze będzie go otaczać i czekać na niego przed domem, więc właściwie przestał się nią interesować. Postanowił przyglądać się jej i słuchać z daleka, zamiast pozostać jej aktywnym członkiem. Już dawno powinien był odłożyć notes, pójść do baru i znaleźć jakichś kumpli od kieliszka. Powinien był się w kimś zakochać albo chociaż spróbować kogoś sobie znaleźć.

Powinien był zrobić mnóstwo różnych rzeczy, których jednak nie zrobił, a teraz było już za późno.

Zdecydował, że zamieni kropkę przed „A” na przecinek, po czym zaczął pracować nad następnym zdaniem i wkrótce tekst pochłonął go całkowicie.

Pisał przez pół godziny, zanim wreszcie coś zwróciło jego uwagę. Podniósł głowę.

Był absolutnie pewien, że przez krótką chwilę słyszał jakieś stukanie. Zapomniał o gazecie i wyteńczył słuch.

Znowu usłyszał stukanie, jakby gałęzi drzewa, uderzającej o znak drogowy pod naporem wiatru. Wydawało mu się, że dźwięk dochodzi z ulicy, ale kiedy podszedł do okna, ujrzał już tylko znikającą za rogim połę płaszcza. „Rany, rany, rany”, powtarzał najpierw w myślach, a potem już głośno. Był to urwany w połowie okrzyk zdumienia, zupełnie mimowolny, bo właściwie nie zdawał sobie sprawy, że krzyczy, dopóki nie usłyszał w końcu własnego głosu.

Wypadł z redakcji jak bomba i galopem zbiegł po schodach. Na ulicy przed wejściem nikogo nie było, ale Luka pamiętał, gdzie zniknął płaszcz, ruszył więc jego śladem. Poczłł wysoki przyptyw adrenaliny, jak kiedy był chłopcem, który czasem po prostu musiał pobiec za dom, na pole, by z całej siły rzucić przed siebie piłkę tenisową albo softballową, a potem gonić ją po trawie ile sił w nogach. Skręcając za róg, Luka ręką trzepnął w biegu parkometr. Na końcu ulicy zobaczył w oddali płaszcz, znikający za lśnią-cym srebrzystym oknem jakiegoś budynku, i błysk wypolerowanego czarnego obcasa. Podwoił szybkość.

- Zaczekaj! - krzyknął. - Stój!

Pokonał połowę drogi, kiedy postać w płaszczu znowu się pojawiła, odsuwając się na odległość dwóch kroków od narożnika budynku. Owiewany leniwym wiatrem nieznamy stał teraz nieruchomo i spokojnie niczym znak drogowy. Wyciągnął rękę w stronę ceglanej ściany jak podtrzymujący linę nurek, i na ten widok Luka pomyślał, że mężczyzna jest ślepy, chociaż nie nosi ciemnych okularów i nie ma laski. Dźwięk, który

wpadł przez okno do redakcji, z pewnością był postukiwaniem jego butów na chodniku.

Luka zwolnił i podbiegł bliżej już truchtem.

- Hej. - Wciąż ciężko dyszał, zmęczony biegiem po schodach. - Hej, jestem... - Zabrakło mu tchu. - Jestem Luka... - I znowu stracił oddech. - Luka Sims.

Ślepiec przechylił głowę na bok.

- Doprawdy? To znaczy, chciałem zapytać, czy ty naprawdę istniejesz?

Luka tak się ucieszył, że wreszcie z kimś rozmawia, że nie wytrzymał i parsknął szczerym śmiechem.

- A ty? - zapytał.

Twarz ślepeca stężała.

- Już od dawna nie jestem tego pewien.

_ Proszę - zaproponował Luka. - Weź mnie za rękę.

Ślepiec wyciągnął do niego suchą dłoń, pokrytą stwardniałą skórą, zwłaszcza na czubkach palców, które zdrżały, gdy Luka je uściskał.

- Proszę bardzo - powiedział Luka. - Jeżeli taki dowód wystarczy, to chyba istnieję, chociaż niczego nie mogę zagwarantować.

Ślepiec skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „Może być”, a potem cofnął dłoń.

- Nie przypuszczałem, że jest tu ktoś jeszcze oprócz mnie - przyznał Luka, chociaż te słowa zabrzmiały teraz nieco idiotycznie. Przypominały zły sen, który stracił całą swoją moc natychmiast po wschodzie słońca.

Po chwili ślepiec zapytał:

- Czy wiesz, co tu się stało?

- Mogę przedstawić tylko pewną hipotezę na ten temat. - Luka przybrał dziennikarski ton. - Otóż wygląda na to, że świat, choć może powinienem raczej powiedzieć „tamten świat”, się kończy. Z tego, co mi wiadomo, ludzi zaatakował jakiś wirus, który wykosił większość populacji Ziemi, a może nawet całą, tego nie wiem. A kiedy oni odchodzą, odchodzimy i my. Zdaje się, że tak to właśnie jest. Proszę jednak pamiętać, że to jedynie moja hipoteza, która w dodatku nie tłumaczy, jak to się stało, że pozostaliśmy w mieście tylko ty i ja.

- Dotarłem tu przez pustynię - odpowiedział ślepiec.

Wieczorem, przycupnąwszy na miękkiej kanapie Luki

(delikatnie, niczym skierowany pod wiatr papierowy latawiec), ślepiec wciąż opowiadał swoją historię. Dopił czerwone wino, zjadł resztki makaronu fettuccine, który przygotował Luka, a potem zaczął drzeć papierową serwetkę na maleńkie kawałki i zbierać je w dłoni.

- Z początku myślałem, że to tylko wiatr. Dopiero po chwili usłyszałem coś przypominającego rytmiczne pulsowanie.

Ślepiec przytaczał wszystkie szczegóły słowo w słowo już po raz szósty albo siódmy, a mimo to Luka znów chrząknął zachęcająco. Nie chciał pozwolić ślepcowi odejść, nie chciał zostawić go samego nawet na kilka chwil, które zajęłoby mu zmycie naczyń albo schowanie resztek pozostałych po posiłku, bo bał się, że w tym czasie gość zniknie.

- Dookoła mnie był tylko piasek, który nieustannie się poruszał - oświadczył ślepiec, a kiedy złączył dłonie, strzępy serwetki sfrunęły na podłogę niczym płatki konfetti.

Siedzieli, rozmawiając, jeszcze długo po zachodzie słońca. Potem Luka zaproponował ślepcowi, żeby spał na kanapie, a ten, ponieważ było już późno i wino wciąż szumiało mu w głowie, przyjął zaproszenie.

Luka nie spał pół nocy - tylko leżał i nasłuchiwał oddechu ślepca.

Rankiem zobaczył go siedzącego na kanapie i gładzącego deseczkę w kształcie skrzydła, którą Luka wyłowił kiedyś z rzeki. Otrzymany od gospodarza koc ślepiec złożył w idealnie równą kostkę i położył na środku poduszki. Kiedy usłyszał, że Luka wchodzi do pokoju, odezwał się:

- Myślę, że musi nas być tu więcej.

- Więcej?

- Że w mieście zostało nas więcej.

- Dlaczego tak sądzisz?

Ślepiec milczał dłuższą chwilę.

- To tylko instynkt.

Luka nie wiedział dlaczego, ale był skłonny zgodzić się ze swym gościem. Odkąd usłyszał postukiwanie za oknem, zaczął zwracać uwagę na każdy niezwykły dźwięk: na odgłos żołędzia spadającego z dębu, albo szum swojej lodówki, w której znów mroziła się woda na lód. Pozwalał tym dźwiękom unosić się po morzu swojej krótkotrwałej pamięci, aż wreszcie nabierał pewności, że rozpoznaje ich źródło. Następnie wstawał i podchodził do okna albo szedł do kuchni, żeby sprawdzić, czy się nie myli. Wydawało mu się, że każdy dźwięk, którego źródłem nie jest wiatr, ptak albo rzeka, musi być, logicznie rzecz biorąc, wytworem człowieka. Wyobrażał sobie ludzi w całym mieście, setki ludzi na wszystkie sposoby usiłujących przebić się przez ściany swojej samotności, chociaż nie mieli pewności, czy poza nimi ktoś pozostał w mieście. Widział setki twarzy za setkami okien. Setki płaszczy, sunących po setkach ulic. I postanowił, że nie przestanie szukać, dopóki nie znajdzie ich wszystkich, do ostatniego.

Luka i ślepiec przez cały dzień szukali ewentualnych współtowarzyszy. Luka zaproponował, żeby wziął go pod rękę, ale ślepiec odmówił.

- Człowiek, który przebył taką drogę jak ja, nie potrzebuje pomocy - oświadczył.

Zamiast więc skorzystać z pomocy Luki, szedł, wodząc dłonią po ścianach mijanych budynków i nasłuchując echa twardych podeszew swoich butów, które donośnie postukiwały o bruk.

Zaczęli od apartamentowca Luki i posuwali się coraz dalej, zataczając przecinające się brzegowo kręgi.

- Powinniśmy siedzieć w jednym miejscu - skonstatował ślepiec. - Bo inni mieszkańcy też mogli wyruszyć na poszukiwania.

Miał sporo racji - ktoś mógł pojawić się przecież pod apartamentowcem podczas ich nieobecności - ale Luka był zbyt podekscytowany, żeby siedzieć beczynnie. Wolał zaryzykować i zagłębić się w miasto.

Wędrowali kolejnymi ulicami - i co dziesięć albo dwadzieścia kroków ślepiec krzyczał: „Halo!”, a Luka: „Jest tam kto?”.

- Halo! Jest tam kto? Halo! Jest tam kto?

Mijali ławeczki na przystankach autobusowych, puste witryny sklepowe i setki porzuconych samochodów, niektóre na środku ulicy. Na chodnikach leżały otwarte książki, torebki, do jakich w chińskich restauracjach pakuje się jedzenie na wynos, a od czasu do czasu nawet pojedyncze teczki albo plecaki. Znaleźli skateboard, kołyszący się pod naporem wiatru w studziennie odpływowej, nie dostrzegli jednak nikogo. Luce przyszło do głowy, że po raz pierwszy od lat nie przygotował tego ranka kolejnej edycji „Dziennika Simsa”. I chociaż było faktem, że jedynym czytelnikiem, którego udało mu się tymczasem znaleźć, okazał się ślepiec, a zatem ktoś, kogo właściwie trudno nazwać czytelnikiem, przez chwilę czuł się jak dzieciak, który zapomniał odrobić pracę domową. Dobrze znał samego siebie i od dawna wiedział, że jest w nim również coś z belfra.

Wraz z upływem dnia Luka i ślepiec coraz bardziej oddalali się od punktu wyjścia po szerokiej spirali, wiodącej z jednej strony nad rzekę, z drugiej zaś na obrzeża dzielnicy cieplarni, aż wreszcie łagodne, białoniebieskie niebo zaczęło ciemnieć niczym siniak i wtedy zawrócili w stronę apar-

tamentowca Luki. Nie trzeba było nic mówić, żeby wiedzieć, że ślepiec zostanie u niego na kolejną noc. Albo dwie. Albo trzy. Zostanie u niego tak długo, jak będzie trzeba, żeby znaleźli trzeciego współmieszkańca - albo żeby ktoś ich znalazł.

Luka nie wiedział, gdzie ślepiec mieszkał na co dzień. Nie wyglądał na człowieka, który mógł mieć jakieś zwierzę domowe albo znaczący dobytek ruchomy. Nie zdziwiłby się, gdyby jego gość co noc sypiał gdzie indziej, na pierwszej lepszej kanapie, łóżku albo dywanie, jakie udawało mu się znaleźć.

Następnego dnia, rano, po przebudzeniu Luka poczuł zapach przygotowywanego śniadania i zajrzał do kuchni.

Ślepiec znalazł w lodówce słój rzadkiego, surowego ciasta i teraz formował z niego gofry w żelaznej gofrownicy, czyli w dwóch metalowych płytach, połączonych z jednej strony zawiasem. Luka widział, jak ciasto się ścina, ciemnieje i ścieka z płyt grzewczych.

- Czy wiesz, że mówisz przez sen? - zapytał ślepiec.

Luka sądził, że wszedł do kuchni bezszelestnie.

- Naprawdę? A co mówiłem?

- „Oni wciąż gdzieś tam są”. „Nigdy nie zrobiłem nic lepszego”. Tego rodzaju rzeczy.

Luka zastanawiał się przez chwilę nad jego słowami.

- Nie mam zielonego pojęcia, co by to miało znaczyć.

Zjadł kopiały talerz gofrów, ku jego zdumieniu dobrze upieczonych - były idealnie kruche i rumiane na brzegach, ale w środku miękkie. Potem obaj udali się znów do miasta. Przeszukiwali ten sam teren co wczoraj, tym razem jednak wędrując po linii prostej, nie po spirali, by mieć pewność, że nikogo nie przeoczą. Musieli się schronić pod markizą sklepu monopolo-

wego podczas jednej z gwałtownych burz, jakie często się zdarzały w mieście, ale padało tylko kilka minut, więc zaraz ruszyli dalej.

Dopiero późnym popołudniem znaleźli jeszcze jednego ocalańca.

Dziewczyna nazywała się Minny Rings - zauważyli ją przez szybę, kiedy przymierzała rękawiczki w jakimś dyskoncie odzieżowym. Drgnęła przestraszona i chwyciła się za pierś, gdy Luka zastukał w szybę, a potem wypadła na ulicę, krzycząc: „Dzięki Bogu! Dzięki Bogu!”. Wyglądała tak, jakby chciała rzucić się im na szyję, ale nie zrobiła tego, tylko przez chwilę gładziła mankiety rękawów ich marynarek. Powiedziała, że od dnia jej śmierci nie minął nawet tydzień, kiedy jedyni pozostali mieszkańcy domu, Rosjanie, matka-starowinka i jej syn, opuścili budynek przez kanał wentylacyjny. Od tamtej pory nikogo już nie widziała. Przez kilka ostatnich dni chodziła po okolicy, przypatrując się ptakom, przelatującym z jednego dachu na drugi, i naciskając klamki, żeby sprawdzić, czy drzwi są otwarte. Odwiedziła dziesiątki pustych sklepów i mieszkań, przeglądając stosy ubrań, sterty zabytkowych map i szklane gabloty, pełne biżuterii. W jakiejś malowanej drewnianej skrzyni znalazła duży zbiór książek i dwie ostatnie noce spędziła na lekturze jednej z nich.

- Co czytałaś? - zapytał Luka.

- *Mistrza i Małgorzatę*.

- Michaiła Bułhakowa. Uwielbiam tę powieść.

- Ja też - odpowiedziała Minny, a Luka patrzył, jak dziewczyna kciukiem i palcem wskazującym dotyka kącika swoich warg. Wyglądało to tak, jakby usiłowała ściągnąć z nich swój uśmiech i zasznurować usta w złowrogim grymasie. Luka pomyślał, że to pewnie jakiś tik nerwowy. Oparty o ścianę ślepiec zdjął but i zaczął nim tłuc o chodnik, dopóki ze środka nie wyleciał kamyczek, a następnie włożył but znowu na nogę.

- Robi się coraz zimniej - powiedział niespodziewanie. I rzeczywiście, słońce już zachodziło. Wierzchołki

drzew wciąż były skąpane w jasności, ale pnie i rusztowanie niższych konarów przecinały ostre cienie pobliskich budynków, więc kiedy oczy Lukiego zaszyły nagle mgłą, zobaczył już tylko najwyższe gałęzie, wyglądające jak unoszące się swobodnie na niebie ozdobne esy-floresy. Minny dotknęła jego ramienia.

- Nic ci nie jest?

- Dlaczego pytasz?

- Wydawało mi się, że zaraz zemdlejesz.

- Naprawdę? Wiesz, trochę się dzisiaj nachodziliśmy

po prostu jestem chyba zmęczony. Zmęczony i głodny. Od rana nie mieliśmy nic w ustach.

- Mm... Hmm... Słuchajcie, a może poszlibyście do mnie? Nie chciałabym być zbyt... Jak mam to powiedzieć? Obcesowa? Natarczywa? Ale na razie wolałabym się z wami nie rozstawać. Mieszkam tuż za rogiem - powiedziała z nadzieją i wskazała im kierunek palcem.

Luka i ślepiec poszli więc do Minny. Okazało się, że dziewczyna zajmuje małe mieszkanko o jednej sypialni na parterze domu, przebudowanego ze szkoły na apartamentowiec. Mebli miała niewiele, zaledwie kilka składanych krzesełek i stolik. Zaparzyła im kawę, a potem, kiedy już zjedli i wstawiła naczynia do zlewu, stopniowo skierowała rozmowę na przejście na drugą stronę i życie pozagrobowe. Chciała się dowiedzieć, jak Luka i ślepiec umarli.

- Ja zginąłem w wypadku samochodowym - odpowiedział Luka. - Zawsze wiedziałem, że stracę życie w wypadku, i właśnie tak się stało. Jechałem autostradą i uderzyłem czołowo w dziób jednej z tych betonowych barier, dzielących dwie nitki drogi. Mój samochód rozleciał się w drobny mak. Miałem takie wrażenie, jakby moje ciało przestało działać, ale reszta mnie funkcjonowała nadal. To było prawie jak sen. A wtedy nawet nie padało. Po prostu straciłem kontrolę nad kierownicą.

- A ty? - Minny zwróciła się do ślepcy.

- Umarłem ze starości - odpowiedział po krótkiej chwili ciszy, która, jak zawsze u niego, mogła być wynikiem zamyślenia albo luką w pamięci, Sims nie był tego pewien. - Ze starości i osamotnienia.

Noc za oknami zrobiła się jeszcze czarniejsza i teraz lampy w mieszkaniu Minny, które mniej więcej przed godziną wydawały się bardzo słabe, pojaśniały niczym miniaturowe, rozżarzone słoneczka.

- A jak było z tobą? - Luka zwrócił się do Minny.

- Tak jak ze wszystkimi - odparła. - Dopadł mnie wirus. „Mrugała”.

Nie chciała powiedzieć nic więcej, a Luka nie naciskał.

I tak wiedział już sporo o tej chorobie. Postępowała szybko, a zaczynała się od swędzenia oczu. Ludzie uciekali z terenów nadmorskich i miast. Dochodziło do grabieży mienia i aktów wandalizmu. Desperacja, bestialstwo. Luka przeprowadził chyba ze sto wywiadów podczas ostatnich kilku tygodni istnienia swojej gazety i wszyscy zawsze mówili to samo.

Rozmowa powoli wygasła i teraz siedzieli we troje w milczeniu, słuchając, jak z kuchennego kranu kapie do zlewu woda. Co jakiś czas jej krople spadały na brzeg metalowej patelni, a wtedy rozlegał się jakby cichy szept, przypominający szmer szczoteczki ocierającej się o talerz perkusyjny. Potem patelnia przechylała się i wtedy krople kranówki spadały znów wprost do wody, nieco spienionej od płynu do mycia naczyń.

Po chwili Minny przeprosiła ich i wyszła do sypialni. Chciała skończyć czytać książkę.

- Zostało mi najwyżej dwadzieścia stron. To nie potrwa długo. Chyba nie macie nic przeciwko temu, prawda?

- Nie krępuj się.

- Fantastycznie.

Wróciła po pół godzinie, ubrana już w piżamę, i wsunęła książkę na małą drewnianą półkę, wiszącą we wnęce. Stała przy niej przez chwilę, wsparłszy się pod boki.

- Próbuję sobie przypomnieć, co jeszcze miałam zrobić - powiedziała do siebie. A po kilku sekundach dodała: - Ach, trudno. W końcu sobie przypomnę.

Siedzieli razem jeszcze mniej więcej godzinę, snując plany na następny dzień. Chociaż Minny właściwie nie знаła miasta, nie licząc kilku ulic w swojej dzielnicy, chciała przyłączyć się do nich i razem ruszyć na poszukiwanie pozostałych w mieście współmieszkańców. Postanowili, że kiedy wstanie dzień, a okaże się, że żadne z nich nie zniknęło i że są nadal we troje, przeszukają razem dalej dzielnicę ciepłarni. Luka podejrzewał, że tam, gdzie są trzy osoby, znajdzie się jeszcze jedna, a gdzie jest czworo ludzi, musi być i pięcioro.

- Ale co do sześciorga i siedmiorga już nie jestem pewien - oznajmił. Spróbował zachichotać, zaśmiać się półgębkiem ze swojego wątpliwego dowcipu, ale był zbyt zmęczony i udało mu się tylko ziewnąć.

Ślepiec tymczasem zasnął już na krześle. Luka stłumił kolejne ziewnięcie i wtedy Minny wzięła go za rękę.

- Słuchaj, mam tylko to jedno łóżko, ale jeśli chcesz, możesz położyć się ze mną.

- Na pewno?

- Mm... Hmm... Dzięki temu będzie mi się lepiej spało.

- No dobrze, zgoda - odpowiedział Luka.

Umył zęby palcem, a twarz kawałkiem mydła w kształcie muszelki, które znalazł w łazience na brzegu umywalki. Gdy skończył, Minny zgasiła już światło w sypialni, ale na tyle dobrze widział w ciemności, że obszedł łóżko z drugiej strony. Przez chwilę stał pochylony nad dziewczyną, usiłując

jąc się oswoić z myślą, że będzie spał z obcym człowiekiem. Wydawało się, że świat zakreślił się niczym karuzela i dał mu kolejną szansę.

- Chyba powinnam dokończyć tę historię - powiedziała Minny.

- Bułhakowa? Myślałem, że już skończyłaś.

- Nie, nie to mam na myśli. Chodzi o moją historię.

Luka odrzucił koc i wślizgnął się do łóżka.

- No to już, dawaj.

- Kiedy zaatakował wirus, byłam poza miastem. To bardzo ważny szczegół.

Mówiła powoli i z namysłem, jak gdyby jej opowieść stanowiła skomplikowany labirynt pokoi, który usiłowała przemierzyć po raz pierwszy w życiu.

- Wyjechałam na zjazd handlowców do Tucson w Arizonie. Artykuły biurowe. Sprzedawałam je kiedyś szpitalom i różnym agencjom rządowym. W hotelu mieszkało nas około pięciuset osób z całego kraju. Kiedy dowiedzieliśmy się o wirusie, wszyscy rzuciliśmy się do naszych wynajętych samochodów. Myślałam tylko o tym, że chcę jeszcze raz zobaczyć ojca. Czy to nie dziwne? Nie mogłam tego zrozumieć. Nie rozmawiałam z ojcem, odkąd przestałam być dzieckiem, zresztą ojciec już nie żył, ale myślałam tylko o nim, nie o mamie ani o chłopaku. Wyłącznie o tacie. Jednak kierownictwo hotelu ogłosiło kwarantannę na terenie całego obiektu wraz z parkingiem, więc nie pozwolono nam wyjechać. Obawiali się chyba, że ktoś z nas mógłby przenieść wirusa poza granice stanu, nie wiem. Udało mi się kupić kilka ostatnich puszek coca-coli w stojącym w recepcji automacie, a potem wróciłam na górę do swojego pokoju. Większość stacji telewizyjnych przerwała nadawanie, ale na kilku kanałach można było jeszcze obejrzeć relację ze spustoszenia, jakie poczynił wirus w Wielkiej Brytanii. To było straszne. Trupy leżały na trawie i wsparte o pnie drzew. Masz szczęście, że nie musiałeś tego oglądać. - Przebiegł ją dreszcz. - Mówię, jak by-

ło. W jednym takim materiale z Londynu pokazali na przykład setki butów, porozrzucanych na płaskim odcinku jakiejś autostrady. Nic, tylko buty. Widocznie ludzie zrzucili je podczas ucieczki. Ale przed czym? Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie włączyć co jakiś czas telewizora i nie sprawdzać, czy nie podadzą jakichś nowych informacji, ale nie podali. Pod koniec dnia wszystkie stacje emitowały już tylko kaszę i szum, wyjąwszy jeden plotkarski kanał, na którym szedł jakiś reportaż o ślubach gwiazd hollywoodzkich. Była to, ma się rozumieć, powtórka, bo dzisiaj w Hollywood nie odbywają się już żadne śluby. Wydaje mi się, że następnego ranka źle się poczułam. Poszłam do łazienki, żeby napić się wody, ale nie bardzo pamiętam, co było potem.

W tym miejscu Minny urwała na chwilę, a wspomnieniowy ton jej opowieści już więcej nie powrócił.

- To chyba wszystko. Przepraszam cię. Po prostu musiałam komuś o tym opowiedzieć.

- Mogę o coś zapytać? - odezwał się Luka.

- Pytaj.

- A później... ? Ile czasu minęło, zanim umarłaś?

- Właściwie nie wiem - odpowiedziała. - Wydaje mi się, że nie doczekałam następnego wieczora.

Leżała na boku, skulona i odwrócona do niego plecami. Przez cały czas zataczała nogami pod kocem leniwe półkola, trąc przy tym stopą o stopę, co przypominało mu fale nakładające się na siebie przy brzegu. Pomyślał, że mógłby słuchać tego odgłosu przez całą wieczność. Nim zasnął, usłyszał, jak Minny mruczy: „Naczynia”, a kiedy się obudził, był już ranek.

Ślepiec i tym razem wstał wcześniej od niego. Pomagał Minny w kuchni. Wlewał właśnie wodę do ekspresu do kawy, a dziewczyna włączała toster do kontaktu. Wszyscy razem zjedli lekkie śniadanie - angielskie bułeczki z galaretką truskawkową - i wyruszyli do miasta.

Na ulicach było jeszcze bardziej pusto niż przedtem. Większość śmieci, jak opakowania po hamburgerach, zużyte bilety komunikacji miejskiej i plastikowe kubki wiatr albo zaniósł nad rzekę, albo powciskał w wąskie przesmyki licznych bocznych uliczek i zaułków. Pozostałe w niewielkiej ilości śmieci i rupiecie, na przykład mechaniczny budzik, gumowy odbijak do drzwi albo płyta kompaktowa, były za ciężkie albo miały za mało aerodynamiczne kształty, by wiatr mógł je unieść. Przypominały elementy jakiejś gigantycznej, obejmującej całe miasto instalacji artystycznej, zatytułowanej Rzeczy, które zostawiliśmy po drodze.

Na ścianie jednego z budynków powiewał rozciągnięty między dwoma drzewcami transparent, wzdymający się i wiotczący niczym żagiel na łagodnym wietrze, ale na dole nic się nie poruszało. Luka wypatrywał śladów ludzkiej obecności i dostosował tempo marszu do możliwości Minny. Ślepiec szedł kilka kroków przed nimi, wodząc ręką po ścianach i witrynach sklepowych. Schodząc z chodnika na jezdnię na skrzyżowaniach opustoszałych ulic, nie potknął się ani razu.

Luka zamierzał wrócić do redakcji przed zapadnięciem zmroku. Bał się, że zapomniał zamknąć okno, a bez względu na to, czy kogoś znajdą, czy nie, nie chciał wystawiać redakcyjnego sprzętu na deszcz. Zwłaszcza powielacz sprawiał mu kłopoty, bo i tak właściwie zawsze się psuł: zacinała się korba, obluzowywał się bęben albo farba tworzyła kleksy na papierze. Strach pomyśleć, co by się mogło stać dzisiaj, gdyby do powielacza dostało się kilka galonów deszczówki.

Zatrzymali się na kilka chwil w małym, ogrodzonym parku na rogu Siedemnastej i Margaret Street, gdzie przysiedli na jednej z żeliwnych ławeczek, by dać odpocząć nogom. Minny zdjęła buty i zaczęła masować podeszwy stóp, ugniatając je najpierw kciukami, a potem także kłykciami wszystkich palców.

- Oto skutki jeżdżenia wszędzie samochodem, nawet, żeby wrzucić list do skrzynki - powiedziała z wyrzutem. - Mam delikatne stopki, jak mała dziewczynka.

Pod ogrodzeniem z drucianej plecionki tkwiły nieruchomo dwie piłki do koszykówki. Co jakiś czas rozdzielał je powiew wiatru, a wtedy toczyły się w przeciwnych kierunkach, żeby po chwili znów zderzyć się z dziwnie donośnym, głuchym odgłosem. Minny z powrotem wsunęła nogi w buty, Luka poklepał ślepcę po ramieniu, po czym wszyscy troje ruszyli w stronę cieplarni.

Było jeszcze wcześniej, kiedy ślepiec wyciągnął lewą rękę i zatrzymał swoich towarzyszy.

- Słyszeliście? - zapytał.

Luka, podobnie jak Minny, nic nie słyszał.

- Wydawało mi się, że słyszałem strzał - powiedział ślepiec. - Padł kilka kilometrów stąd.

Przechylił głowę na bok i wskazał kierunek palcem.

- O! Znowu!

W jednej chwili i już bez słowa ruszył przed siebie żwawym krokiem, a Luka i Minny nie mieli innego wyboru, jak podążyć za nim. Ślepiec sprawia! wrażenie, że wie, dokąd idzie. Skręcił w prawo w Trzecią Aleję, obchodząc samochód zaparkowany przednimi kołami na chodniku, a potem w lewo, przy centrum handlowym na Ginza Street. Ani razu nie wszedł w ślepy zaułek czy podwórko - ba, nawet się nie zatrzymał. Luka nie miał pojęcia, jak on to robił. Może kierował się wiatrem, niosącym różne dźwięki, które zlewały się albo kontrastowały w jego uszach. A może miał taki zmysł równowagi, który prowadził go równie precyzyjnie jak kompas. Luka postanowił zapytać o to swojego towarzysza, kiedy już dotrą na miejsce.

Ślepiec wciąż prowadził. Przeszli koło biblioteki i sali gimnastycznej - cztery przecznice, osiem, dziesięć - zdążając szybko ku rzece i dzielnicy pomnika. Następny strzał brzmiał już zupełnie wyraźnie.

- Niech mnie szlag trafi, jeśli go nie słyszę - powiedział Luka.

- To sygnał. - Ślepiec, posapując, przecisnął się koło drewnianej beczki. - Ktoś usiłuje zwrócić naszą uwagę.

- Ciekawe, dlaczego nam nie przyszło do głowy, żeby zasygnalizować jakoś swoją obecność? - zapytał Luka.

- Owszem, myślałem o tym - odparł ślepiec. - Nie przypuszczałem jednak, że któreś z was może mieć broń.

Minęli jeszcze dwa skrzyżowania, nim opuścili gęstwinę potężnych gmaszysk. Okrążyli betonową ścianę wielopoziomowego parkingu, zrobili kilka kroków w górę po podjeździe dla niepełnosprawnych i zobaczyli rozciągający się przed nimi w dole szeroki, trawiasty placyk w centrum dzielnicy pomnika, którym był wypolerowany, marmurowy obelisk, stojący na wąskim piedestale, od którego rozchodziły się promieniście ścieżki spacerowe. Pod pomnikiem stał jakiś człowiek z pistoletem w rękę i strzelał w powietrze.

Wokół uzbrojonego mężczyzny kłębił się tłum złożony co najmniej z dwustu osób, dyskutujących podniesionymi głosami. Z drugiej strony placu nadciągało paru kolejnych mieszkańców, zwabionych odgłosem strzału.

Minny zabrakło tchu - cofnęła się o krok i całym ciałem zatoczyła na Lukę.

- Przepraszam - zaczęła. - Ja po prostu... Ja po prostu... - Przełknęła ślinę i powoli potrząsnęła głową. - Ja po prostu nie myślałam, że kiedyś zobaczę jeszcze tylu ludzi.

- To wielkie miasto - odrzekł Luka, który chciał przez to powiedzieć: „Ja też nie”. Potem bez namysłu wziął dziewczynę za rękę i przygarnął do piersi. Po chwili oboje ruszyli w ślad za ślepcem, wyszli ze swego ukrycia i zmieszali się z tłumem.

—ROZDZIAŁ CZWARTY—

Kilometr za kilometrem

Pierwsze dwa dni podróży minęły bez problemów. Siedząc w swoich saniach na fotelu kierowcy, Laura trzymała kurs na północny zachód, korzystając z urządzenia GPS i pokładowego sprzętu nawigacyjnego, dzięki któremu wytyczyła trasę do stacji badawczej. Nigdy przedtem nie kierowała saniami, ale wszystkie kontrolki i urządzenia sterownicze okazały się zdumiewająco łatwe w obsłudze. Pogoda była dobra, a powietrze przezroczyste jak szkło, więc nie musiała się zatrzymywać na dłużej niż kilka minut. Płozy - podgrzewane, żeby zmniejszyć tarcie - unosiły ją bez trudu nad wszystkimi szczelinami i rozpadlinami lodowymi, wyjąwszy te największe, a trasę zmieniła dotąd tylko raz, kiedy na drodze wyrósł jakiś skalny czy może lodowy garb, który musiała objechać. Parła więc wciąż naprzód, korzystając z długiego dnia polarnej jesieni, odpoczywając tylko, gdy słońce wznosiło się na tyle wysoko, że odbijało się od śniegu i lodu, oślepiając ją oszałamiającym blaskiem. Potem jechała dalej, aż wreszcie kończył się dzień i wieczór gasł na niebie.

O zachodzie słońca, kiedy zatrzymywała się na odpoczynek, musiała rozpakowywać cały sprzęt. Postawienie namiotu nie sprawiało jej żadnych trudności, był bowiem wyposażony w ozdobny sznur, po którego pociągnięciu wyskakiwał z pokrowca i rozkładał się automatycznie na pełną wysokość i szerokość, niczym gumowa szalupa. Następnie Laura obchodziła go dookoła, wbijając śledzie w ziemię, a umocowawszy konstrukcję linkami, wciągała do środka śpiwór i kuchenkę, i zaczynała szykować się do snu. To wszystko, cały ten proces, nie zajmował więcej niż piętnaście minut. Rano, kiedy była gotowa do odjazdu, musiała tylko pociągnąć znów za sznur, a wtedy namiot składał się automatycznie, posykując, więdnąc i przybierając w końcu idealnie sferyczny kształt. Nad wejściem wisiała ta-

bliczka: „Uwaga: spuszczać powietrze, zawsze pozostaw otwarte drzwi do namiotu”. Na widok tego napisu Laura nieodmiennie wyobrażała sobie, jak namiot eksploduje niczym balon, zaciskając się wokół uwięzionego wewnątrz bąbla powietrza, a potem wokoło nad lodową pustynią unoszą się tysiące strzępów różowego materiału. Takie namioty kupują zamożni dyrektorzy dużych firm, planujący pewnego dnia wybrać się na wycieczkę po Górach Skalistych albo Appalachach, ale nigdy nie udaje im się opuścić miasta i w końcu dopiero ich bawiące się w pionierów dzieci rozstawiają te turystyczne domki pośrodku salonu, między kanapą i kominkiem.

Czy zresztą dzieci nie są w pewnym sensie pionierami?

Laura od dzieciństwa czuła się niczym pionierka, wkraczająca na dzikie pustkowia przyszłości. Pamiętała, jak w dniu swoich dwunastych urodzin weszła pod łóżko, wpatrywała się w przypominające sad sprężyny i myślała, że to strasznie dziwne, że nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie zostanie ją następny rok, w dniu jej trzynastych urodzin, i że rok przedtem, kiedy skończyła jedenaście lat, nie wiedziała, co będzie robić dzisiaj, właśnie w tej chwili. Z pewnością nie przyszło jej do głowy, że znajdzie się pod własnym łóżkiem, wpatrując się w jego sprężyny i dumając nad strukturą czasu. Dlaczego wszystko, co zdarzyło się jej w przeszłości, widziała bardzo wyraźnie, a przyszłość rysowała się mgliście i rozwiewała w nicość, gdy tylko zaczynała o niej myśleć? Czy właśnie tym jest życie? Wędrowką z jasno oświetlonego korytarza do mrocznego, przybliżającego się z każdym krokiem pokoju? Czasami sądziła, że tak.

W namiocie było jej ciepło nocą, w każdym razie na tyle, na ile mogła liczyć w tych warunkach. Cichy szum spirali grzewczej dodawał jej dziwnej otuchy, niczym syk opon samochodowych sunących po mokrym asfalcie - dźwięk, który zawsze kojarzył się jej z milionem deszczowych, jesiennych wieczorów, w które nasłuchiwała samochodów przejeżdżających pod oknem sypialni. Szybko stało się jednak jasne, że namiotowy system ogrzewania nie był przystosowany do użytku w warunkach polarnych. Ciepło ze spirali uciekało przez podłogę, a wtedy lód pod spodem się topił.

Woda spływała na brzegi namiotu i zamarzała, tworząc hermetyczne zamknięcie niczym w piecu. Kiedy Laura budziła się rankiem, pod podłogą wyczuwała zawsze płytką kałużę, która przelewała się tam i z powrotem, gdy dziewczyna przekreślała się na bok w śpiworze. Czuła się tak, jakby spała na łóżku wodnym.

Próbowała wytrząsnąć lód z namiotu przed wyciągnięciem kołków, ale nigdy nie mogła wytrzepać go do końca, więc kiedy pociągała za sznurek i namiot zaczynał się składać, lodowe kryształki pękały i wystrzelały w powietrze, przelatując nad grzędami zmarzliny na odległość dwudziestu metrów i więcej. Zazwyczaj udawało się jej załadować sanie i ruszyć ponownie w drogę, gdy słońce nie stało jeszcze wysoko na niebie. Szacowała, że pierwszego dnia podróży pokonała osiemdziesiąt, a drugiego sto kilometrów - i wydawało się jej, że był to lepszy wynik niż ten, który mogli osiągnąć Puckett i Joyce. Niesiony wiatrem śnieg już dawno zasypał ich ślady, ale Laurze pogoda dopisywała, bo ciągle było słonecznie i bezwietrznie. Podróż dobrze jej zrobiła. Napady płaczu, które dręczyły ją w domku, wreszcie ustały. Nie czuła się tak silna od wielu tygodni.

Wkrótce miała zjechać krętą trasą ku strudze lodów i ruszyć dalej przez przybrzeżny przesmyk. Dostanie się z lądu stałego na Lodowiec Szelfowy Rossa i niedługo potem - zapewne za kilka dni - dotrze do stacji badawczej. Ach, z jaką ulgą powita pierwszego człowieka, do którego znów będzie mogła się odezwać...

Trzeciego dnia temperatura jednak spadła, zachmurzyło się, a wiatr zaczął nieść tumany śniegu i lodu. Zanim zorientowała się, co się święci, znalazła się w oku zadymki. Wciąż mogła posuwać się naprzód, ale wiatr wiał jej teraz prosto w oczy, z północnego zachodu, i dlatego sanie poruszały się z trudem i powoli. Niezliczone drobinki zmarzniętego śniegu odbijały się od przedniej szyby, a ich szmer przypominał odgłos trzeszczących w ogniu suchych liści. Światła pojazdu żłobiły wąski tunel w zawiei, śnieg sprawiał jednak, że widoczność spadała i wokół zrobiło się zupełnie białe. Laura co chwila wpatrywała się w inny punkt w przestrzeni, próbując przebić wzro-

kiem burzę, jednak śnieżycą blokowała jej spojrzenie, następnie przenosiła je z powrotem na przednią szybę - i tak raz za razem. Nie minęła godzina, kiedy oczy zaczęły ją boleć i piec, wiedziała jednak, że nie może przestać wypatrywać drogi. Gęsta zamieć maskowała charakterystyczne poprzeczne bruzdy i zapadliny, oznaczające bliskość szczelin lodowych, musiała więc uważnie śledzić wzrokiem trasę, żeby je omijać.

Płozy wyposażone były w okrągłe, płaskie metalowe łopatki - wyobrażała sobie, że są to płetwy - które wysuwały się do przodu i podwijały pod siebie podczas jazdy. Miały zapewniać pojazdowi bezpieczeństwo i były czymś w rodzaju prymitywnej dźwigni, mogącej unieść Laurę nad szczelinami, jakie napotykała w trakcie podróży - ale pod warunkiem, że nie miałyby więcej niż dwa metry szerokości. Już kilka razy czuła, że sanie pochyłają się gwałtownie w przód, a potem unoszą się, odzyskują równowagę i ruszają dalej, co oznaczało, że pokonała właśnie kolejną szczelinę. Miała takie wrażenie, jak gdyby prowadziła samochód po dziurawej drodze. Lód podtrzymujący lodowce erodował od dziesięcioleci, więc rozpadliny głębokie jak wykopy pod pociągi metra mogły powstawać tu w ciągu zaledwie kilku godzin, a potem równie szybko się zasklepiać. Gdyby wpadła w taką rozpadlinę, znaleziono by ją dopiero gdzieś w połowie następnego stulecia, kiedy już cały lód polarny spłynie do oceanu. Lata prowadzenia samochodu w ruchu miejskim nauczyły ją jednak traktować każdy garb i dziurę jako zwyczajne uszkodzenie nawierzchni, więc gdy pochyłała się naprzód na fotelu, a jej ciało przebiegał charakterystyczny dreszcz, uznawała niejako automatycznie, że najechała na wybój. Posiadała coś, co można by chyba nazwać pamięcią mięśniową.

Pamięć mięśniowa. Pamięć baśniowa. Żyję, żyję! Tu jestem!

Zadymka trwała kilka następnych dni. Chcąc utrzymać kurs, Laura musiała zaufać kompasowi i kilku migotliwym światełkom na ekranie GPS. Domyśliła się, że dotarła do strugi lodów, łączącej ląd stały z zatoką, bo na jej drodze pojawiały się już liczne pagórki i bruzdy, a okoliczne zwały lodu

zaczęły przypominać rumowisko, ale nie wiedziała, jak długo zajmie jej podróż przez przesmyk na płaski dalej teren.

Padał gęsty, ciężki śnieg. Laura na ogół nie widziała przeszkód na swojej drodze, dopóki nie zbliżyła się do nich na odległość zaledwie kilku metrów. Musiała jechać bardzo powoli, żeby je omijać. Mogła mówić o szczęściu, jeżeli w ciągu godziny udawało się jej pokonać dwa, trzy kilometry, czyli szesnaście, dwadzieścia kilometrów w ciągu dnia. Płazy sań pochylały się ku przodowi, wznosiły się i ponownie nurkowały w dół, gdy pokonywała kolejne zaspę, a przypominające gwiazdy płatki śniegu oblepiały przednią szybę. Pod koniec dnia, kiedy wchodziła do śpiwora i zamykała oczy, miała wrażenie, że się kołysze na boki, a pod jej powiekami przez cały czas przesuwały się smugi białego światła. Nawet gdy zasypiała, śniło się jej, że podróżuje na saniach poprzez lód i mrok.

Jeszcze nigdy w życiu nie utrudziła się tak mocno i już opadała z sił. Rąbała kiedyś drzewo, mieszała beton, a nawet pracowała w fundacji pod nazwą „Domy Coca-Coli dla Klubów Sąsiedzkich” i pomagała jej budować szeregowce na wzgórzach. Czyściła zbocza z kikutow pni i zarośli, wylewała fundamenty i w ogóle ciężko harowała. Było to jednak nic w porównaniu z wysiłkiem, jakiego wymagało od niej utrzymanie dwutonowych sań na kursie podczas burzy śnieżnej. Ilekroć zatrzymywała się na odpoczynek, nawet na kilka minut, mięśniami jej łydek i ramion targał ostry ból, a ona musiała sobie przypominać, żeby oddychać. Największym problemem nie był jednak właściwie sam długotrwały wysiłek fizyczny, lecz to, że musiała tak długo pozostawać w nieustającym napięciu. Potrzebowała co najmniej godziny odpoczynku w całkowitym bezruchu, by jej mięśnie zwiotczały i dopiero wtedy popadała w kojące odrętwienie, sprawiające, że nabierała ochoty odpłynąć w krainę snu.

Zmęczenie nie pozwalało jej gotować wieczorami. Kusilo ją, żeby zostawiać metalowe naczynia i prymus na saniach, zabierała je jednak do namiotu, by zaparzyć sobie rano kawę. Temperatura spadała czasem do czterdziestu albo pięćdziesięciu stopni poniżej zera, więc zanim w namiocie

wreszcie robiło się ciepło, Laura trzęsła się z zimna co najmniej pół godziny, chociaż siedziała w kurtce i rękawicach. W tym czasie zjadała dwie albo trzy multiwitaminy, garść sucharów, a czasem także baton proteinowy i kawałek czekolady, po czym rozpuszczała na języku kilka wiórków lodu. Następnie rozbierała się do kalesonów, zawiązywała mocno ściągacze spiwora i słuchała, jak ścianki namiotu naprężają się, wiotczeją i ponownie naprężają pod wpływem wiatru, wypełniającego tkaninę jak gdyby to był żagiel.

Ósmego dnia zamieci zjeżdżała w dół po zboczu, gdy nagle spod śniegu wyrósł nieoczekiwanie skalny słup, zasłaniając pole widzenia za szybą. Serce zabiło jej mocniej. Skręciła gwałtownie, żeby ominąć przeszkodę, ale było za późno.

Uderzyła w kamienną kolumnę tylną, boczną częścią pojazdu i w tej samej chwili rozległ się głośny chrzęst rozdieranej blachy. Sanie dwukrotnie określiły się wokół własnej osi, po czym powoli znieruchomiały, a Laura puściła ster. Oblała się potem i poczuła ucisk w żołądku. Jednostajny odgłos silnika sań cichł stopniowo, podczas gdy płozy zapadały się w śnieg. Sprawdziła, czy nie jest ranna. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku - żadnej krwi ani złamań - nie wiedziała jednak, co stało się z saniami. Wysiadła, stąpając po odłamkach kamieni i lodu, które odłupały się od skały w chwili zderzenia.

Ruszyła ku bagażnikowi, trzymając się górnego relingu, bo wokół wirował mglisty całun śniegu. Słyszała opowieści o ludziach, którzy do tego stopnia tracili orientację podczas burz śnieżnych, że nie potrafili trafić do własnych domów, choć znajdowali się zaledwie kilka metrów od nich, i chwiejnym krokiem, potykając się, ruszali z powrotem prosto w oko cyklonu z wyciągniętymi przed siebie rękami, jak zombi. Dobrze wiedziała, że nie może puścić się relingu. Po chwili znalazła uszkodzone miejsce. W burcie z metalu i drewna widniało długie rozdarcie, odsłaniające wnętrze bagażnika. Szczelinę wypełniała niemal w całości jej torba ortalionowa, więc

pustką ziała jedynie wążutka szpara, najeżona ostrymi, drewnianymi zadrami. Słyszała, jak gwiżdże w nich wiatr.

Opadła na kolana, by sprawdzić wokół płóz, czy coś wypadło na zewnątrz. Nic nie znalazła - widocznie wypchana torba uszczelniła rozdarcie bagażnika. Zaryzykowała kilka kroków pod górę, kierując się wprost ku feralnej skale, ale zauważyła pod nią tylko długą, drewnianą drzazgę i czarny odłamek kamienny wielkości ludzkiej dłoni. Uznawszy, że nie znajdzie nic więcej, słaniając się na nogach, zeszła w dół, a potem zawróciła sanie i ruszyła dalej wzdłuż strugi lodów.

Dopiero po miesiącu odkryła, co tego dnia wypadło z sań na zboczu, i zrozumiała wszystkie konsekwencje wypadku.

Wieczorem, gdy zakleiła już rozdarcie w burcie drewnianą listwą, przyłapała się na tym, że odgrywa w wyobraźni Pewne zdarzenie z dzieciństwa, które przypomniała sobie, gdy rozbijała namiot. Wspomnienie krążyło i kondensowało się w pamięci dziewczyny niby maleńka, wyrwana z orbity planeta, i zanim zamknęła wejście do namiotu, stanęły jej przed oczami wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły. Było to zdarzenie nieistotne - właściwie zupełnie nieważne. Ale z drugiej strony, większość wspomnień Laury ze swej natury nie miała żadnego szczególnego znaczenia, bo przecież wspomnienia w ogóle go nie mają, prawda? Co jednak nie przeszkadza, że powracają w naszej pamięci.

Miała wtedy siedem lat. Matka przyjechała do szkoły, żeby zabrać ją do dentysty. Jeszcze tego ranka powtarzała: „Żebyśmy tylko o tym nie zapomniali... Muszę cię odstawić do dentysty na wpół do trzeciej. O której masz wizytę u dentysty?”. Dziewczynka odpowiedziała: „O wpół do trzeciej zero zero”, na co mama odrzekła: „W tym wypadku nie mówi się zero zero, kochanie. Po prostu o wpół do trzeciej”. I właśnie dlatego Laura do dzisiaj dobrze pamiętała, o której miała wtedy umówioną wizytę u dentysty.

Przypięła się pasem na fotelu w samochodzie i czekała, aż mama skończy rozmawiać z kobietą w pomarańczowej kamizelce, która po południu zawsze stała przed szkołą. Laura i jej koledzy wymyślili nawet pewną polegającą na obserwacji zabawę, związaną z pomarańczowymi kamizelkami: zwyciężał w niej ten, komu udało się wypatrzeć ich najwięcej. Zauważyła, że pomarańczowych kamizelek pojawiało się więcej w te dni, kiedy wyły syreny, natomiast kiedy w mieście panowała cisza, było ich mniej.

Dopiero niedawno podrosła na tyle, by móc wyglądać przez okno, nie klękając na fotelu. Gdy matka usiadła wreszcie za kierownicą, a silnik kaszlnął i szarpnął, jak zawsze zaraz po uruchomieniu, Laura zauważyła coś dziwnego. Otóż na dachu domu naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, pojawiło się coś, czego nigdy dotąd nie widziała. Wyglądało to jak wirująca srebrna dynia, uwięziona w metalowej kratownicy.

- Co to takiego? - zapytała matkę.

- Co?

- To coś - odpowiedziała, wskazując paluszkami dom. - Ta srebrna kula na dachu.

- Och. Ostatnio widać je wszędzie. To jest... - Laura przyglądała się grymasom wątpliwości przebiegającym po twarzy matki, która zaczęła odpowiadać na pytanie, a potem zdała sobie sprawę, że brakuje jej słów. - Wiesz co? Nie jestem pewna, jak to się nazywa. Wiem tylko, że to urządzenie jest częścią domowego układu wentylacyjnego.

Wcześniej w tym tygodniu Laura oglądała w telewizji program o ludzkim układzie krążenia i przypomniała sobie człowieka, z którego zdarto skórę, żeby pokazać widzom drogę przepływu krwi - luźną sieć czerwonych i niebieskich żył, otaczających wielkie, pulsujące serce. Jednak związek między domowym układem wentylacyjnym i żyłami nie wydawał się jej całkiem jasny. Już miała zapytać matkę, czy układ wentylacyjny to coś jak układ krążenia, kiedy zza rogu, z parkingu, wypadł jakiś jadący tyłem samochód i uderzył w bok zderzaka ich auta.

Obcy wóz otarł się o drzwi od strony matki i stanął dopiero, kiedy znalazł się dokładnie obok nich, szyba w szybę i lusterko w lusterko, przytulony tak bliziotko, jak gdyby kierowca usiłował zaparkować tyłem na wolnym miejscu. Laura spostrzegła, że za kierownicą siedzi kobieta, która na chwilę zamarła w bezruchu i dopiero po jakimś czasie potrząsnęła głową, zaciągając hamulec ręczny.

- Niech to szlag trafi - powiedziała matka Laury tak cichutko, jakby mówiła o pogodzie. Zwykle, gdy prowadziła, miała dziwną, niemal surową minę, ale teraz, przynajmniej przez chwilę, jej twarz pozostawała zupełnie bez wyrazu. Należała do tych kobiet, które wydawały się naprawdę piękne tylko wtedy, kiedy ich oblicza nie zdradzały żadnych myśli ani emocji, niczym jasne, jednobarwne kwiaty, rozkładające płatki w promieniach słońca. Później, kiedy Laura dorosła i wyprowadziła się z domu, zapamiętała matkę właśnie taką - jako kobietę uchwyconą w cudnej bezmyślności, niczym na fotografii.

- Nic ci się nie stało? - zapytała matka.

Laura odpowiedziała, że nie.

Mama opuściła szybę i pokazała gestem kobiecie siedzącej w samochodzie obok, żeby zrobiła to samo. Szyba auta nieznajomej osunęła się w dół, pociągając za sobą ich mroczne odbicie.

- Mam dzisiaj nieprawdopodobnie pechowy dzień - oświadczyła kobieta.

- Ja też - odparła matka Laury. - A w każdym razie na pewno od tej chwili.

- To wszystko przechodzi po prostu ludzkie pojęcie - dodała kobieta.

Na twarzy matki Laury zagrał jakiś mięsień, ale jej iysy niemal natychmiast znów zobojętniały.

- Proszę posłuchać... Może podjechałaby pani kawałek do przodu, żeby mogła otworzyć swoje drzwi?

- Nic z tego - odparła kobieta. - Ale to tylko jeden z moich problemów.

- Co to ma znaczyć?

- Zepsuł mi się samochód. Biegi nie wskakują, więc mogę jeździć tylko na wstecznym. Jakby tego było mało, moje dziecko zostawiło w domu zeszyty i książki, a sklep papierniczy był zamknięty.

- Skoro nie może pani podjechać do przodu, to proszę cofnąć i pozwolić mi otworzyć drzwi.

- Ach, tak. Oczywiście.

Kobieta zwolniła hamulec ręczny i powolutku cofnęła, ocierając się o bok samochodu matki Lamy, ale w końcu odsunęła się od nich. Wyłączyła silnik i wsparła czoło na miękkim łuku kierownicy, splótłszy palce na karuku. Dopiero wtedy Laura usłyszała jej jęk - niski, cichy, niemal zwierzęcy odgłos, który zdawał się dochodzić jakby z głębokiej studni.

- Krówka robi „muuu!” - powiedziała.

- Bądź cicho, kochanie.

Matka odblokowała drzwi, które skrzypnęły i zgrzytnęły, pokonując opór pogiętej blachy, a wtedy w aucie niemal natychmiast odezwał się brzęczyk ostrzegawczy. Dzwonił zazwyczaj, kiedy drzwi uchylały się choćby odrobinę, ale czasem nie odzywał się wcale. Laura nigdy nie umiała przewidzieć, kiedy to nastąpi.

- Zaczekaj tutaj - powiedziała matka, po czym zamknęła drzwi i podeszła do obcego auta. Przez otwarte okno Laura słyszała, co mówi.

- Chce pani wezwać policję, czy ja mam to zrobić? - Po kilku chwilach powtórzyła pytanie. - Halo! Czy pani wezwie policję, czyja mam to zrobić?

- Nie wolno ruszać rannych, którzy doznali obrażeń. Trzeba poczekać na pogotowie - odpowiedziała kobieta.

- Jest pani ranna?

Nieznajoma potrząsnęła głową.

- Miałam na myśli mój samochód.

- Och, na litość... - Matka zmarszczyła brwi i podniosła rękę. Laura pomyślała, że zamierza wymierzyć kobiecie kuksańca, ale ramię matki nagle zwisło bezwładnie, więc w końcu tylko lekko trzepnęła dłonią w dach wozu. Mimo to uderzenie okazało się na tyle głośne, że nieznajoma aż podskoczyła ze strachu na fotelu.

- Niech pani mnie posłucha: zepsutym wozem w ogóle nie można jeździć.

- Kiedy wyjeżdżałam z domu, wszystko było w porządku. Ponieważ sklep papierniczy okazał się zamknięty, podrzuciłam Erikowi książki do szkoły, a kiedy z niej wyszłam, nagle okazało się, że w moim samochodzie wchodzi tylko wsteczny bieg.

Kobieta pochyliła się, by podnieść z podłogi telefon komórkowy. Przyłożyła go do ucha, a potem wcisnęła kilka przycisków w klawiaturze.

- Na dobitkę wygląda na to, że mój telefon nie działa - dodała po chwili.

- Już ja zadzwonię, gdzie trzeba. Proszę tu na mnie poczekać. Niech pani nigdzie nie próbuje odjeżdżać. Niech > pani po prostu... czeka.

Matka wróciła do samochodu, usiadła i wyciągnęła z torebki telefon. Laura słyszała, jak opowiada dyżurnemu policjantowi o wypadku: kto kogo stuknął, gdzie do tego doszło i ile osób uczestniczyło w kolizji.

- Nie, nikt nie został ranny - powiedziała. - Ale kierująca tamtym samochodem kobieta wydaje mi się trochę... Pomyłona, to chyba właściwe słowo.

Laura obserwowała nieznajomą, która siedziała za kierownicą swojego samochodu, wciąż z telefonem przy uchu. Ścisnęła go tak mocno, że palce zbieleły jej jak woskowe świece.

- Mamo, dlaczego ta pani tak mocno ścisnęła telefon?

Wtedy nieznajoma zaczęła płakać.

Podczas gdy one czekały na policję, przed szkołą zrobiło się gęsto od samochodów rodziców i opiekunów, czekających na ostatni dzwonek o piętnastej piętnaście. Odbite od szyb, felg i zderzaków promienie słońca cięły powietrze jak noże.

Po pewnym czasie Laura poczuła ból mięśni, spowodowany siłą uderzenia auta nieznajomej w ich samochód. Odpięła pas, oparła głowę na matczyne kolana i zapatrzyła się w sufit.

- Coś mi wygląda na to, że twoją wizytę u dentysty będziemy musiały przełożyć na inny termin - powiedziała matka.

- No tak - odparła Laura. - Zupełnie o tym zapomniałam.

Wkrótce wokoło rozległo się wycie syren, ale dziewczynka nie wiedziała, czy są to syreny wjeżdżających na parking radiowozów, czy może raczej syreny ostrzegające mieszkańców przed bombami - syreny pomarańczowych kamizelek.

Podróż przez przesmyk na Lodowiec Szelfowy Rossa zajęła jej jeszcze sześć dni. Sześć dni, które upłynęły pod znakiem nieustających opadów śniegu - kłębowiska, zawiei i smug białych płatków. Sześć dni pod znakiem rozbijania przeszkód z lodu i kamieni, wyrastających w burzy śnieżnej na drodze niczym pułapki z przynętą. Laura bała się, że w ogóle nie zauważy przełęczy, zboczy z trasy i utknie bez wyjścia pod jakąś górską ścianą, ale

pewnego ranka obudziła się w nieoczekiwanej, całkowitej ciszy, a kiedy wyszła z namiotu, ujrzała nieskalaną, białą lodową równinę, rozciągającą się jak okiem sięgnąć. Ogarnęła ją niewysłowiona ulga. Widocznie wypogodziło się, gdy spała. Odwróciła głowę - za jej plecami ciągnęło się pasmo górskie i jezior strugi lodów. Wtedy w jednej chwili pojęła, co się stało: otóż pokonała przełęcz poprzedniego dnia, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

W promieniach wschodzącego słońca szybko załadowała sanie i ruszyła w dalszą drogę. Gdyby podobna aura miała się utrzymać - a w takiej bliskości wybrzeża warunki atmosferyczne stanowiły jedną wielką niewiadomą - miałyby szansę dotrzeć do stacji, zanim jej wyczerpany organizm odmówi wreszcie posłuszeństwa. Pogoda mogła się jednak załamać w każdej chwili, dziewczyna chciała więc przebyć jak najdłuższy dystans, zanim znów zaczniesz padać.

Wkrótce sanie sunęły już tak wartko, że spod płóz tryskały dwie bliźniacze strużki bieli, spadające na ziemię z cichym plaśnięciem. Zbliżało się południe i słońce odbijało się od śniegu niczym od arkusza folii aluminiowej. Pod saniami był lód, a pod lodem ocean, więc Laura dziwiła się, że nie czuje drgań spowodowanych ruchem przewalających się niżej mas wody. Sądziła, że pływ oceanu będzie wyczuwalny, tymczasem lodowiec szelfowy wydawał się równie solidny i nieruchomy jak pokrywa lodowa na stałym lądzie. Oczywiście nie była już tak gruba i masywna, jak jeszcze kilkadziesiąt lat temu, zanim rozpoczęło się wielkie topnienie, a z kilku - naprawdę bardzo nielicznych - znanych Laurze lektur geologicznych wynikało, że nawet skorupa ziemska nie jest wcale tak nieruchoma, jak mogłoby się wydawać. W końcu pod lodowcami spoczywa warstwa skał, a pod skałami magma, toteż bez względu na to, gdzie się człowiek znajduje, właściwie w każdym zakątku kuli ziemskiej pływa i podskakuje niczym korek na wodzie. Ale może Laura po prostu już się do tego zjawiska przyzwyczaiła.

Za każdym razem, gdy wysiadała z sań, i każdego ranka, kiedy opuszczała kieszonkowe ciepło swojego namiotu, siarczysty mróz zapierał jej dech w piersi. Kiedy opuściła domek? Dwa tygodnie temu? Czy może trzy? Robiło się coraz zimniej i nitka łącząca słońce z horyzontem stawała się coraz krótsza. Mogła podróżować już tylko sześć albo siedem godzin dziennie, bo potem nad lodową pustynią zapadał zmrok... No, może osiem, jeżeli nad horyzontem wisiały nisko chmury, odbijające ostatnie promienie słońca. Później dziewczyna rozbijała namiot i kładła się spać. System GPS znów działał sprawnie, więc gdyby chciała, mogłaby podróżować także nocą, śledząc pojawiające się na ekranie kropki w kolorze khaki, na to była jednak zbyt zmęczona. Poza tym bała się. Bała się, że dotrze w okolice stacji badawczej, ale jej nie zauważy.

Często wspominała teraz coś, co przydarzyło się jej niedługo po studiach: wracała kiedyś z jakiejś nocnej imprezy i obudziła się w swoim samochodzie na trawniku przed domem, który dzieliła ze swoim ówczesnym chłopakiem. Przespała całą noc w aucie - akumulator był prawie wyczerpany, ale przednie światła ciągle się paliły. Otaczała ją grupka dzieciaków, które stukwały w szyby. „Ja na twoim miejscu dałbym stąd dyla - powiedział jeden z nich, chłopak z burzą kędzierzawych rudych włosów. - Facet, który mieszka w tym domu, to kompletny dupek”. Jak się później okazało, rudzielec miał rację. Przez kilka następnych tygodni Laura próbowała odtworzyć tamto zdarzenie. Pamiętała jedynie, że walcząc ze snem, skrzyła w swoją ulicę z uczuciem ogromnej ulgi, a potem już nic. Nie mogła zrozumieć, jak udało się jej nie uderzyć w drzewo, latarnię, przyczepę kempingową, huśtawkę na trawniku albo nie wjechać do salonu sąsiadów. Wynikało z tego, że poruszając się na oślep, człowiekowi udaje się czasami znaleźć to, czego szuka, ale równie dobrze można popełnić błąd i znaleźć się w poważnym niebezpieczeństwie. Ostatecznie zdołała zatrzymać się w porę na trawniku przed swoim domem zapewne tylko dlatego, że sprzyjało jej szczęście.

W trakcie podróży przez lodowiec szelfowy niebo pokrywały niekiedy szare chmury i zaczynał padać śnieg, ale zła pogoda nie utrzymywała się

długo. Wprawdzie czasami rano ślady płóz pokrywał świeży puch, lecz równie często wschodzące słońce oświetlało je z ostrością brzytwy i Laura widziała, jak ciągną się w dal niczym kreseczki na glinianej tabliczce.

Pewnego razu, gdy w nocy wiał łagodny, choć uporczywy wiatr, zauważyła przed wejściem do namiotu tysiące kulek lodu wielkości przepiórczych jaj. Leżały szeregiem wzdłuż osłoniętych od wiatru ścianek śnieżnych bruzd i były tak delikatne, że rozsypywały się w stosiki kryształków od najłżejszego dotknięcia. Nigdy wcześniej nie widziała nic podobnego. Przekonała się, że wystarczyły wywołane jej krokami wibracje, by kulki się rozpadały, próbowała więc nie przechodzić w ich bezpośredniej bliskości.

Starła się ich nie zabijać - tak o tym myślała. Podczas kilku ostatnich tygodni, odkąd Puckett i Joyce wyjechali, wszystko dookoła niej zdawało się niejako ulegać antropomorfizacji.

Kiedy załadowała już sanie, wiatr zmienił nieco kierunek i wymiół z bruzd lodowe kulki, ścigając je po lśniącym polu niczym spłoszone myszy. Dziewczyna uruchomiła silnik i ruszyła na północny zachód.

Wiedziała, że coraz bardziej zbliża się do granicy szelfu. Szczeliny i rozpadliny stawały się coraz większe i występowały coraz częściej. Na widok szczeliny lodowej zawsze zwalniała, przejeżdżając przez nią bardzo ostrożnie i przyspieszając dopiero, kiedy „płetwy” sięgały drugiego brzegu i była już pewna, że może jechać dalej. Raz czy dwa sanie zaczęły tracić równowagę, więc Laura musiała się cofnąć i zmienić kurs, żeby znaleźć zwięźenie.

Na dnie jednej z rozpadlin zauważyła ciemną nitkę wody, a kilka minut później natrafiła na jajowaty otwór w skorupie lodowej i wysiadła, żeby do niego zajrzeć. W głębi dostrzegła lustro wody, otoczone ścianami lodowego tunelu. Widziała, jak woda wznosi się i opada, zamierając w bezruchu na kilka sekund to z jednej, to z drugiej strony, niczym mięśnie piersiowe jakiegoś śpiącego olbrzyma. Laura nie miała wątpliwości, że widzi ocean.

Znajdowała się na skraju miejsca, gdzie lód szelfowy zaczynał pękać i dzielić się na kawałki długości nawet ponad półtora kilometra, które wpadały na siebie, niesione zmiennymi prądami. A zatem od stacji badawczej dzieliły ją najwyżej dwa dni podróży.

Ruszyła w dalszą drogę ze zdwojoną energią. Kilka chmur wiszących o świcie na niebie zniknęło, widoczność była znakomita, a powietrze stało się tak przejrzyste, że chwilami traciła wycucie odległości. Późnym popołudniem zobaczyła jakąś odległą, niewysoką, zadaszoną budowlę o kwadratowych ścianach i serce zabiło jej mocniej. Przyspieszyła, kierując się w stronę domku, który jednak nagle zniknął jej z oczu. Włączyła funkcję powiększania obrazu, w jaką wyposażona była przednia szyba, ale bezskutecznie. Zatrzymała się i wysiadła, żeby się rozejrzeć. Po chwili po lewej stronie, nieco z tyłu sań, zauważyła przedmiot, który wzięła za stację. Był to wielki karton po soku owocowym. Karton po soku owocowym, przypominający niski, zadaszony budynek stacji o kwadratowych ścianach. Jego przód zdobiła znajoma czerwono-biała fala Coca-Coli, a pod spodem widniał slogan reklamowy soków tej firmy: „Znajdziesz wspaniały smak coli... W soku owocowym!”. Widocznie ktoś wyrzucił to pudło podczas podróży przez szelf. Może któryś z uczonych, a może Puckett albo Joyce.

Przez chwilę myślała, żeby zabrać karton i wrzucić go na sanie, ale potem ogarnęła ją złość, cofnęła się więc i wzięła rozbieg. Pudło wydało cudowny, głuchy odgłos, kiedy je kopnęła, a potem poszybowało nad lodem daleko, po linii prostej.

Wsiadła z powrotem do sań. Ten incydent przypomniawszy jej historię o pewnej dziewczynce, wychowanej w pokoju pozbawionym jakichkolwiek linii poziomych. Nie mogła sobie przypomnieć, czy chodziło o wydarzenie prawdziwe, czy może tylko o eksperyment myślowy, ale tamten pokój, tak jak go pamiętała, zdobiły szeregi czarnych pionowych pasów na ścianach, a podłoga i sufit były wklęsłe, by stworzyć wrażenie, że wertykalne smugi ciągną się w nieskończoność. Podobno w pierwsze urodziny dziewczynki zabrano ją z tego pokoju. Umiała rozpoznawać tylko linie wertykalne, ho-

ryzontalnych natomiast już nie, więc kiedy sadzano ją na stole albo na jakimkolwiek podwyższeniu, natychmiast wypełzała poza granice danej poziomej powierzchni, ale nie zapędzała się nigdy w kąt pokoju i nie wpadała na przykład na nogi od krzeseł. Ostatecznie korekta zmysłu wzroku dziecka nastąpiła dopiero po miesiącu.

Podobno ten eksperyment miał być jakimś dowodem w badaniach nad rozwojem naszej percepcji wzrokowej, chociaż Laura za Boga nie mogła sobie przypomnieć, o co dokładnie chodziło.

Jej zdaniem doświadczenie to dowodziło jedynie, że dziecko można oszukać, ale taki wniosek chyba nie mógłby nikogo zdziwić.

Tego samego dnia, kiedy ostatnia skibka światła zapadała za lodowy krąg, Laura zauważyła przed sobą inny kształt - był to jakiś przysadzisty obiekt, ledwo mający z boku na horyzoncie. Połyskiwał dziwnie w blednym świetle, na przemian zapalając się i gasnąc, gdy sanie podskakiwały na lodowych bruzdach. Z początku myślała, że to jedynie miraż, albo, co gorsza, jeszcze jeden karton.

Potem zauważyła jednak łukowe reflektory, stojące z obu stron obiektu - dwa oślepiające panele ostrego, białego światła, oświetlające budynek ze wszystkich stron. Tym razem nie mogło być żadnych wątpliwości. Dotarła wreszcie do stacji.

— ROZDZIAŁ PIĄTY —

Powrót do domu

Marion Ptack zmieniła się po śmierci. Za życia zawsze czuła się zmęczona: zmęczona rozmawianiem, jedzeniem, myśleniem, pamiętaniem, pożądaniem i oczekiwaniem, zwłaszcza na naturalny koniec swojego żywota. Czuła się tak, jak gdyby przez ostatnie dziesięć lat życia dźwigała na barkach olbrzymi bezkształtny kamień. Wysilek, jakiego wymagało od niej chodzenie na wyprostowanych nogach z takim ciężarem na barkach, omal nie uczynił jej kaleką. Nie wiedziała, jak zrzucić ten ciężar, ani nawet skąd się wziął - wiedziała tylko, że musi go dźwigać dalej.

Potem jednak pojawił się wirus, Marion umarła i wtedy nagle wszystko się zmieniło.

Zaczęła doceniać to, czym - jak sądziła - zapomniała się cieszyć: muzykę, taniec i dotyk wiatru, który czuła na karku, upinając włosy. Jej napięte mięśnie powoli się rozluźniały i z przyjemnością czekała na przebudzenie każdego kolejnego ranka.

Poza tym była jeszcze kwestia jej męża: bo Marion wydawało się oczywiste, że skoro przeszła już taką przemianę, to znowu go pokocha.

Słyszała, jak opłukuje brzytwę, a potem postukuje ostrzem o brzeg porcelitowej umywalki - stuk, stuk, stuk. Wiedziała, że następnie odchrząknie, wytrze twarz, wydmucha nos w jednorazową chusteczkę higieniczną, starannie odwiesi ręcznik na wieszak i dopiero wtedy ją zawoła, zadając takie albo inne pytanie. Cały ten niezmienny ceremoniał napełniał ją rozpaczą, ale ostatnio wydawał się jej uroczy.

- Są jakieś wieści od Laury? - zawołał, a ona odpowiedziała:

- Żadnych. Ale może czegoś się dzisiaj dowiemy, Philipie. Musimy po prostu poczekać.

Codziennie to samo.

Laura była ich jedynym dzieckiem. Kiedy uderzył wirus, bawiła akurat w dłuższej podróży służbowej i prowadziła jakieś badania przyrodnicze na drugim końcu świata. Nie wiedzieli, co się z nią teraz dzieje. Właściwie nie mieli okazji się z nią pożegnać ani nawet czasu, żeby do niej zadzwonić albo wysłać e-mail. Laura liczyła zaledwie trzydzieści dwa lata - jeszcze nie wyszła za mąż i na razie nie była zmęczona życiem. W jej wieku Marion miała już za sobą porzucone studia doktoranckie, zdążyła się kilka razy zakochać i odkochać, poznać Phillipa i dojść do wniosku, że pewna epoka w jej życiu już się skończyła. Raz poroniła - córkę - ale potem urodziła drugie dziecko, też dziewczynkę, której dali na imię Laura na cześć Laury Ingalls Wilder*¹. Marion wychowywała ją sama w domu do piątego roku życia, a potem wysłała córeczkę do przedszkola i wróciła do pracy na pół etatu jako sekretarka. Wyobrażała sobie wtedy, że jest prawdziwą kobietą, i prawdę mówiąc, nawet teraz, z perspektywy czasu, wspominając siebie z dawnych lat, wspominała kobietę w pełni dojrzałą intelektualnie i emocjonalnie. Dlaczego zatem, myśląc o Laurze, nie potrafiła przedstawić jej sobie inaczej niż jako małą dziewczynkę?

- Myślałem, że pójdziemy dzisiaj do Bristowa - rzucił Phillip z łazienki.
- Rano czy po południu? - zapytała Marion.
- Chciałem iść rano, ale jeżeli wolisz jeszcze zaczekać. ...
- Nie, może być rano. Wybiorę sobie tylko jakieś ładne buty.

Przedtem nie była tego świadoma, jak bardzo lubi buty. Tymczasem po śmierci zgromadziła już prawie dwadzieścia par, w tym piękne, skórzane, sznurowane trzewiki i szpilki, zapinane na wąskie, zielone paski, wijące się wokół jej kostek niczym gałązki jaśminu. Dzięki butom - a nie biżuterii,

¹ *Laura Ingalls Wilder (1867-1957) - amerykańska pisarka, autorka min. sfilmowanego na potrzeby TV Domku na prerii (przyp. tłum.).

ciemnym okularom czy innym akcesoriom kobiecej mody - zrozumiała, dlaczego ludzie farbują włosy albo się tatuują. Z tego samego powodu, z którego ptaki wplatają w swoje gniazda nitki albo paski folii: po prostu dla ozdoby. Kiedy wybrała już buty - wygodne, ale i ładne ciemnoniebieskie espadryle - chwyciła torebkę i wróciła do salonu. Phillip ciągle okupował łazienkę, więc Marion przejrzała się w lustrze wiszącym przy drzwiach wejściowych i starła spod oczu palcami resztki oliwki. Ze wszystkich sił usiłowała zachować obojętną minę. Nie cierpiała widoku swojej uśmiechniętej, rozjarzonej, zarumienionej albo marsowej twarzy. Prawdę mówiąc, nigdy nie lubiła żadnych przejawów ekspresji. Uważała, że miny zmieniają jej twarz w coś w rodzaju masek na Halloween. Czasami, kiedy nie przyglądała się swojemu odbiciu, lecz pogrążała się w zadumie albo gawędziła z przyjaciółkami, nagle zdawała sobie sprawę, że jej twarz pokrywa kamuflaż takiego czy innego uczucia, a wtedy jej oblicze wykrzywiały mały grymas zakłopotania. Nigdy nie była wtedy pewna, czy nie pęka jej skóra na twarzy, tak była zażenowana – choć może zażenowanie ogarniało ją właśnie dlatego, że myślała, że pęka jej skóra na twarzy.

Wkrótce Phillip był gotowy do drogi. Zjechali windą do recepcji apartamentowca i wyszli na ulicę. Placyk po drugiej stronie lśnił w promieniach słońca, a przecinające go ścieżki spacerowe przypominały szprychy wielkiego koła. Phillip i Marion wprowadzili się do tego mieszkania w centrum dzielnicy pomnika niecały tydzień po przybyciu do miasta, podobnie jak wszyscy, którzy słyszeli strzały. Z początku było ich tu tylko kilkaset, ale po paru dniach już kilka tysięcy, i wkrótce nikt dokładnie nie wiedział, ile osób mieszka w okolicy. Padła propozycja, żeby ktoś przeprowadził wreszcie spis ludności, jak na razie nie zgłosił się jednak nikt chętny. Kilkoro starszych stażem mieszkańców opowiedziało Marion i Phillipowi o ewakuacji (zwanej niekiedy „odejściem”), podczas której miasto nagle opustoszało, nikt jednak nie potrafił im wyjaśnić, jak to się stało, że znalazły się osoby, które pozostały na miejscu. Sugerowano tylko, że widocznie żyje jeszcze ktoś, kto o nich pamięta. Marion, która widziała działanie „Mrugały” na własne oczy, uważała jednak tę teorię za mało prawdopodobną. Z całą

pewnością osobiście nie znała nikogo, komu udałoby się oprzeć wirusowi. A kiedy uświadomiła sobie, że musiałby to być ktoś, kogo znał także Phillip - i nie tylko on, lecz także sprzedawca kwiatów, gazeciarz, żebrak na rogu ulicy, dzieciak, który się bawił, lejąc wodę z dzbanka na piach pod lombardem, a potem w błocie rysował i modelował patykiem jeziora, fosy i wyspy, stara Włoszka, która nie znała ani słowa po angielsku, i mężczyzna, którego Marion słyszała co wieczór, jak gwizdał ze smutkiem na swojego psa - myśl ta wydała się jej po prostu absurdalna.

Oczywiście było możliwe, że epidemię przeżyło więcej osób pamiętających o nich, o umarłych. Ale ta hipoteza wydawała się jej jeszcze mniej prawdopodobna. W końcu widziała przecież, co się stało, kiedy wirus rozprzestrzenił się na równinę i dalej. Widziała, co potrafi.

Phillip zaczerpnął tchu i uderzył się w pierś.

- Wiesz co? Strasznie mi się podoba - powiedział, przeczesując palcami liście gałązki drzewa laurowego - że mogę sobie chodzić, dokąd chcę i kiedy chcę. Myślałem, że po Dwójce już nigdy nigdzie nie pójde.

Mówiąc „Dwójka”, mieli na myśli jego drugi zawał. W okresie kilku ostatnich lat Marion opiekowała się nim po Jedyńce, Dwójce i Dwójce A, jak powiadali, czyli po mikrozawale, po którym ich lekarz rodzinny powiedział Phillipowi, że powinien unikać wszelkiego wysiłku: pływania, jazdy na rowerze, aerobiku, a nawet chodzenia - słowem wszystkiego, co mogłoby przeciążyć jego serce. Ale odkąd serce Phillipa przestało bić, nie musiał się więcej obawiać pewnych rzeczy - między innymi zawału.

- Moim zdaniem rodzimy się, obdarowani pewnymi dobrodziejstwami, ale nie zdajemy sobie sprawy, że to dobrodziejstwa, dopóki ich nie stracimy. A jeśli ktoś jest tak głupi jak ja, to nie zdaje sobie nawet sprawy, że coś stracił, dopóki tego czegoś nie odzyska. Rozumiesz, o co mi chodzi? - Phillip ścisnął ją za rękę, jak gdyby chciał w ten sposób zaakcentować pytanie.

- Cieszę się, że czujesz się szczęśliwy - odpowiedziała.

I była to prawda, chociaż z nich dwojga to Phillip właściwie nigdy nie dbał o swoje szczęście. Ona dbała o nie za niego.

- To dobrze, chociaż nie wiem, czy mnie rozumiesz, go ja nie mówię tylko o możliwości spacerowania, Marion...

Wchodzili już jednak do Bristowa i Phillipowi przerwały dobiegające z jadłodajni hałasy.

Bill Bristow przez blisko czterdzieści lat był poborcą opłat w bramce na autostradzie - przynajmniej tak powiedział Marion i Phillipowi - nie cierpiał jednak tej pracy. Mijały kolejne dni i godziny szczytu, a on siedział w swojej budce, przyglądając się sznurowi samochodów i marząc, że jest właścielem dobrze prosperującej restauracji, bo o prowadzeniu własnego lokalu marzył przez całe życie. Dlatego po śmierci, mniej więcej rok przed atakiem wirusa, postanowił otworzyć jadłodajnię. Nic wielkiego, hamburgery, chili i pieczone ziemniaki, zwyczajna knajpeczka, w której poza tym przez cały dzień można było dostać menu śniadaniowe.

Szczęśliwym trafem, jak mówił Bill, otworzył swój interes zaledwie o rzut kamieniem od pomnika. Dziś jego restauracja była najstarsza w mieście.

- Rodzina Ptacków! - zawołał na ich widok, a Marion pomyślała: „Przynajmniej jej dwie trzecie”. - Moi ulubieni klienci, rodzina Ptacków! Państwo Ptack są jak ptaki, bo przylatują i odlatują, a człowiek zadaje sobie pytanie, czy kiedyś jeszcze wrócą. Mam dla was stolik przy oknie. Może być stolik przy oknie?

- Niech będzie stolik przy oknie - odpowiedział Phillip.

- Doskonale!

Bristow zaprowadził ich do stolika i zawołał kelnera, żeby podał gościom coś do picia, potem jednak uklonił się i wycofał. - Mamy dziś duży ruch - oświadczył tonem usprawiedliwienia.

Gdy zniknął im z oczu, Marion szepnęła:

- Czuję się tak, jakby obsługiwał nas egzaltowany francuski maitre. W garkuchni...

- Moim zdaniem to urocze miejsce. - Phillip zachichotał. - Facet odgrywa rolę, o której najwyraźniej zawsze marzył. Szkoda, że nie wszyscy mamy takie szczęście.

Przy stoliku za nimi siedziały cztery Koreanki. Marion słyszała postukiwanie płytek do gry w madzonga i widziała, jak siwe główki kobiet kiwają się za plecami Phillipa. Jakaś najwyżej trzyletnia dziewczynka klęczała obok na podłodze z podwiniętymi pod siebie nogami i lizała miętowego lizaka. Kiedy zauważyła, że Marion na nią patrzy, przegryzła go na pół i wcisnęła sobie oba kawałki do buzi, chrupiąc je pośpiesznie i w końcu połykając. Potem uśmiechnęła się z triumfem. Jej uśmiech oznaczał, że Marion nic nie dostanie.

Wkrótce powrócił kelner, by przyjąć od nich zamówienie. Gdy odszedł, Phillip wsypał cukier do kawy i zaczął ją mieszać. Potem - jak zawsze - z namysłem wypił łyk z łyżeczki, uznał, że napój nie jest jeszcze dość słodki i wsypał do filiżanki drugą torebeczkę cukru, przyglądając się, jak kryształki mącą nieruchomą powierzchnię kawy. Marion pomyślała, że jego - i jej - ciało uległo erozji pod wpływem działania czasu, ale że Phillip pod pewnymi względami jest nadal chłopcem, jakby zatrzymał się w rozwoju w tym wieku, w którym odkrył, że przyzwyczajenia są dla niego czymś w rodzaju gry. Gry, w którą trzeba grać codziennie wedle tych samych reguł, bo inaczej pionki pospadają na podłogę i pięknie szachownica, a iluzja, że człowiek sam kształtuje swoje życie - że może kierować własnym losem - rozwieje się. Była to jedna z wielu cech Phillipa, które Marion początkowo w nim uwielbiała, potem z upływem czasu przestała uwielbiać, a teraz kochała znowu.

Obsługa u Bristowa była tego dnia niezwykle sprawna i kelner rozstawił już talerze na stole, gdy Marion zauważyła za oknem swoją córkę.

Poczuła, jakby w jej żołądek wbił się haczyk na ryby.

Zapukała w szybę i już miała zawołać „Laura! Laura!”, ale wtedy kobieta odwróciła głowę i okazało się, że to wcale nie Laura, tylko jakaś nieznajoma o spokojnym kroku ich córki i jej płomiennych włosach, która przystanęła na chwilę na chodniku, żeby przejść na drugą stronę ulicy.

Marion nie po raz pierwszy ujrzała podobną zjawę i jak zwykle w takiej sytuacji ogarnął ją wstyd z powodu pomyłki. Dlaczego wszędzie, gdzie tylko spoglądała, widziała córkę? Być może dlatego, że spotykała w mieście mnóstwo znanych sobie osób: sąsiadów, przyjaciół, kuzynów i przelotnych znajomych - a ponadto widywała setki twarzy, zapamiętanych nie wiadomo skąd, choć była pewna, że już je gdzieś widziała, nie licząc kilkorga osób, które - jak sądziła - znała jeszcze z młodości.

Widywała nawet swoją matkę, zmarłą prawie przed dwudziestu laty, chociaż już nie ojca, który umarł, gdy Marion była jeszcze nastolatką i zdejść się, zniknął z miasta mniej więcej w tej samej chwili, w której zjawiała się w nim jego córka.

Tylko dzięki rozmowom z takimi ludźmi jak Bill Bristow, ludźmi, których nie znała przed przybyciem do miasta, Marion zdała sobie sprawę, w jak niezwykle znalazła się sytuacji. Wielu ludzi, którzy pozostali w mieście, nie znało tu prawie nikogo. A kilkoro z nich - co najmniej sześcioro - umarłych w końcowej fazie epidemii wirusa, nie znało zupełnie nikogo. Po prostu pewnego dnia zamknęli oczy i obudzili się w mieście pełnym obcych ludzi.

Marion zwróciła się do Phillipa.

- Co my tu robimy?

- Zajadamy pyszne kanapki z szynką i jajkiem.

Czasami nie mogła nad sobą zapanować i znów wzbierała w niej niechęć do Phillipa. Twarz wykrzywił jej złośliwy grymas.

- Nie. Chodzi mi o to, dlaczego jesteśmy tu, a nie gdzie indziej. Tu, a nie tam, dokąd wywędrowała reszta mieszkańców.

- Wiem, o co ci chodziło, kochanie. Ale nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Myślę, że nikt nie potrafi. „Co my tu robimy?”. A co robiliśmy „tam”? Dlaczego w ogóle istniejemy? Myślę, że najlepiej przestać zadawać sobie pytania, na które nie ma żadnej odpowiedzi, i korzystać z życia. Od czasu do czasu pójść na spacer z żoną. Czasami spać do południa. Jeść takie czy inne kanapki. - Odgryzł kęs kanapki, jakby ilustrując swoje słowa. - Co z kolei prowadzi mnie do kwestii, którą chciałem poruszyć jeszcze w drodze do jadłodajni...

Przy stoliku obok siedziało dwóch mężczyzn, pogrążonych w rozmowie, i jeden z nich powiedział „Laura”, a w każdym razie tak wydawało się Marion, więc uciszyła Phillipa, żeby ich podsłuchać. Wystarczyło zaledwie kilka sekund, a znów dobiegło ją imię córki, niby niesiona silnym prądem gontówka, i dopiero wtedy Marion zdała sobie sprawę, że mężczyźni mówili jednak o „laurach”. Westchnęła mimo woli. Było to jakby echo jednego długiego westchnienia, którym stały się ostatnie lata jej życia.

- Znowu mam jakieś zwidy - powiedziała. - Przepraszam, Phillipie. O czym mówiliśmy?

Ale Phillip zapomniał już, co chciał powiedzieć, a w każdym razie stracił ochotę do dalszej rozmowy, dokończyli więc posiłek w milczeniu.

Jedzenie okazało się świetne. Marion czuła, że powoli odchodzą od niej złe przeczucia, a kiedy skończyli, była już w dobrym humorze. Patrzyła, jak Phillip dopił kawę i z cichym brzękiem odłożył łyżeczkę do filiżanki, którą odsunął na bok. Potem, jakby po namyśle, zmiął serwetkę w kulkę i również wrzucił ją do filiżanki, w której w następnej kolejności znalazły się puste torebki po cukrze. Marion była pewna, że gdyby filiżanka była choć trochę większa, Phillip wcisnąłby do niej nawet cały talerz. Przypominał jej dziewczynkę z miętowym lizakiem, który wepchnęła do buzi. Zerkając za plecy Phillipa, ujrzała znowu tę małą, rozpartą na krzeselku i

bawiącą się własnymi włosami pośród stukotu przesuwanych na planszy płytek do madzonga. Mrugnęła do niej, ale dziewczynka tego nie zauważyła, w przeciwieństwie do Phillipa, który uznał, że Marion mruga do niego i w odpowiedzi także puścił do niej oko, a na jego twarzy pojawił się wyraz rozkosznego zdziwienia. Była to najzabawniejsza rzecz, jaką Marion widziała przez cały dzień. Tym razem minęło chyba pół minuty, nim zdała sobie sprawę, że się uśmiecha.

Kiedy wychodzili z restauracji, Bristow rozdarł się na całą salę:

- Powróćcie do nas szybko, rodzino Ptacków!

Phillip udał, że uchyla kapelusza, którego nie nosił, a Marion skinęła Bristowowi głową, po czym oboje znaleźli się na ulicy.

Było przeraźliwie jasno, jakby ktoś zapalił lampę na niebie. Nad dachami leciało gęsiego stadko ptaków, niesionych podmuchem wiatru i wzbijających się coraz wyżej i wyżej - mały stopniowo, aż wreszcie znikły im z oczu. Wysoko w górze przez ocean błękitu płynęła też kształtna chmura, której cień powoli sunął po trawie.

Marion nie miała jeszcze ochoty wracać do domu.

- Co powiesz na to, żebyśmy trochę posiedzieli w parku? - zapytała.

Kiedyś wymyśliłaby jakąś wymówkę, byle co, by pozbyć się Phillipa i zostać sama. Mogła go poprosić, żeby coś załatwił, powiedzieć, że sama ma coś do załatwienia, albo przypomnieć sobie w ostatniej chwili, że umówiła się na wizytę u lekarza. Potem, kiedy Phillip zniknąłby jej z oczu, znalazłaby jakąś ławeczkę albo usiadła na brzeżku fontanny - gdzieś, gdzie nikt by się do niej nie dosiadł, choćby mógł, a więc gdzie pograżyłaby się w samotności, owszem, tak, ale i w marzeniach, że może zdarzyć się jeszcze coś cudownego, coś, czego nigdy by się nie spodziewała. Od dawna zdawało się jej, że to jest właśnie klucz do zrozumienia życia: bo życie - prawdziwe życie - to jedynie samotność, czekająca, aż coś ją odmieni. Gdyby Phillip był przy niej, potrzebna jej samotność zostałaby unicestwiona, a wraz z nią

także ów ewentualny cud, który mógłby się zdarzyć, kiedy zostałaby sama. Teraz jednak wszystko było inaczej, bo Phillip stał się częścią jej samotności, tak jak dawno temu, kiedy się dopiero poznawali i czekali razem, aż świat się odmieni. Oboje zdawali sobie sprawę z tej przemiany i oboje cieszyli się z niej w duchu, chociaż nieśmiało i nigdy na głos, bo bali się, że ją spłoszą.

- O której mamy być u twojej matki? - zapytał Phillip.

- Powiedzieliśmy chyba, że około szóstej.

- W takim razie z najwyższą rozkoszą posiedziałbym jeszcze trochę w parku.

Mieli w zwyczaju zapraszać matkę Marion na obiad kilka razy w tygodniu, ale ostatnio zaczęła im suszyć głowę, żeby dla odmiany wpadali czasem do niej, więc obiecali wreszcie, że przyjdą do niej na drinka i partijkę remika. Było jednak jasne, że będą się czuli nieswojo, bo pod wieloma względami prawie się już nie znali. Kiedy ją odwiedzali, Marion zastanawiała się często, kim jest ta kobieta, mieszkająca samotnie w małym mieszkanku w samym sercu miasta. Co na jej półkach robią te dziwaczne afrykańskie rzeźby? Kim jest ta kobieta, która obgryza paznokcie i nieustannie płacze? Marion i Phillip doszli do wniosku, że matka rozpacza znów po stracie męża. Sama umarła, kiedy była niewiele starsza od Marion. Wciąż zresztą nie była od niej dużo starsza, ale oczywiście nie spodziewała się stracić męża po raz drugi. W jej mieszkaniu pełno było pamiątek z drugiego etapu jej małżeństwa, etapu, który zaczął się po śmierci ich obojga - fotografii, programów teatralnych i pisanych odręcznie karteczek, które ciągle obracała w dłoniach niczym niewielkie okazy cennych minerałów. Marion nigdy nie wiedziała do końca, o czym matka myśli w takich chwilach - a prawdę mówiąc, o czym w ogóle myśli. Chrześcijanie twierdzili, że na tamtym świecie znowu połączą się ze swoimi bliskimi, nikt jednak chyba nie brał pod uwagę, że po dwudziestu i więcej latach rozstania nasi bliscy mogą być już jedynie cieniami samych siebie sprzed lat i stać się dla nas właściwie obcymi ludźmi. Marion miała nadzieję, że jej się to nie przy-

darzy, bo jeżeli minie zbyt wiele czasu, zanim znów zobaczy Laurę, to mogą się w pierwszej chwili wzajemnie nie rozpoznać, i ta myśl nie dawała jej spokoju.

Słońce i ciepło zwabiło na placyk połowę mieszkańców miasta - kobiety, mężczyzn, młodzież, starców, rodziców i dzieci. Niektórzy znajdowali się w drodze do pracy, inni natomiast do sklepów lub restauracji, choć gromadzili się tu także ludzie, którzy po prostu nie mieli co ze sobą zrobić. Marion patrzyła, jak wokół niej płyną przechodnie, sunący w poruszających się wolnym krokiem parach albo grupkami, i wtedy gdzieś za plecami znów usłyszała imię i nazwisko swojej córki. „Laura Ptack” - powiedział czyjś głos. Tym razem była pewna, że się nie myli.

Phillip ścisnął ją za łokieć. On też usłyszał ten głos.

Marion zwróciła się do dwóch idących za nimi mężczyzn.

- Przepraszam, czy panowie nie rozmawiali przypadkiem o Laurze Ptack?

- Owszem - odparł jeden z nich. - To pani znajoma?

- Laura Ptack jest moją córką - odpowiedziała Marion, wskazując na Phillipa. - Naszą córką.

- Laura Ptack... Taka ruda? - zapytał z powątpiewaniem nieznajomy. - Pracowała kiedyś dla Coca-Coli?

Marion odpowiedziała bez tchu:

- Tak, tak, to ona.

- Ciekawe - zauważył mężczyzna, uśmiechając się szeroko. - Byłem kiedyś jej szefem.

Marion poczuła się jak ogłuszona. Na długą chwilę zapadła kompletna cisza, w której najwyraźniej uporczywie przypatrywała się drugiemu z nie-

znajomych, ponieważ mężczyzna w końcu wzruszył ramionami i oświadczył:

- Przykro mi to mówić, ale ja z kolei byłem szefem tego faceta. Nie znałem Laury Ptack i nigdy nie widziałem jej nawet na oczy. Właśnie mu o tym mówiłem.

- A ja w tej chwili miałem go zapytać: „Czy chodzi ci o tę dziewczynę, która wyjechała na Antarktydę? Specjalistkę od zmian środowiskowych?”.

- Ach, tak - przypomniał sobie drugi mężczyzna. - tyfięc jednak widziałem kiedyś jej fotografię. W wewnętrznej gazetce firmowej Coca-Coli. - Zachichotał. - Teraz już pamiętam.

- Wiedziałem, że sobie przypomnisz. No cóż, ale Laura znajduje się wśród tych osób, których los jest nieznany.

Mięśnie twarzy obu mężczyzn rozluźniły się i ten drugi wyjaśnił:

- Z jakiegoś powodu w mieście znalazło się ostatnio wielu ludzi z dawnego zespołu Coca-Coli. Wymienialiśmy właśnie ich nazwiska.

- Tak, jest tu wielu naszych kolegów i koleżanek z pracy - przytaknął pierwszy nieznajomy. - Ale nie Laura Ptack.

Wreszcie odezwał się Phillip.

- Mimo wszystko to dziwne. Że natknęliśmy się na was tak przypadkiem.

Widocznie było to popołudnie dziwnych zbiegów okoliczności, bo właśnie w tym momencie przechodząca obok kobieta stanęła jak wryta i poklepała po ramieniu mężczyznę, który powiedział, że był szefem Laury.

- Przepraszam. Zdawało mi się, że rozmawiali państwo o Laurze Ptack...

Wypowiedziała jej imię i nazwisko, rozciągając wszystkie trzy sylaby.

- A pani ją zna?

- Być może. Wie pan, jest pewnie więcej Laur o tym nazwisku, ale mieszkałam kiedyś z niejaką Laurą Ptack w akademiku, na studiach.

Wystarczyło zaledwie kilka pytań: „Na jakim uniwersytecie? Kiedy skończyła pani studia? Jak wyglądała pani współlokatorka?”, by Marion zdołała ustalić, że jej córka i dziewczyna, o której wspominała nieznajoma, to jedna i ta sama osoba. Marion wydało się, że poszczególne elementy układanki zaczynają do siebie pasować i że widzi świat jakby z nowej perspektywy, nie potrafiła jednak sprecyzować swoich odczuć. Było to tak, jak gdyby spomiędzy liści drzew przebłyskiwało światło - ledwo widoczne zza gałęzi, lecz niewątpliwie światło niemal na tyle jasne, by dało się zidentyfikować jego źródło.

Po chwili obaj pracownicy Coca-Coli musieli się z nimi pożegnać, ponieważ śpieszyli się na jakieś spotkanie, ale dawna współlokatorka Laury nie miała innych planów na popołudnie, więc przyłączyła się do Marion i Phillipa, którzy ruszyli przez placyk, żeby kontynuować poszukiwania. „Czy zna pan Laurę Ptack? Czy to nazwisko komuś z państwa coś mówi?”. Większość osób, z którymi rozmawiali, nigdy nie słyszała o Laurze, ale niemało zagadniętych twierdziło, że zna jej nazwisko, a prawie połowa z nich znała dziewczynę dość dobrze, żeby okazać zdumienie.

Jak to możliwe, że aż tyle osób, które los rzucił do nieznanego miasta, zna tę samą kobietę?

Marion była pewna, że to nie jest zwykły zbieg okoliczności.

Kiedy postanowili zakończyć poszukiwania na ten dzień, było już późne popołudnie. Za niecałą godzinę mieli złożyć wizytę matce Marion. Cienie pod ich stopami sięgały horyzontu, a tłumy w parku stopniały do kilku osób. Wrócili do domu i osunęli się ciężko na kanapę, jedno z lewej, drugie z prawej strony. Marion, od dnia, kiedy to przespaała bez przerwy siedemnaście godzin po przybyciu do miasta, nieczęsto bywała tak zmęczona, ale tym razem nie narzekała. Było to poza tym inne zmęczenie niż to, które do-

kuczało jej za życia - dobre, przyjemne zmęczenie, wynikające ze zbyt długiego przebywania na słońcu i nazbyt wybujałych oczekiwań. Patrzyła, jak Phillip zamyka oczy i na kilka minut zapada w drzemkę. Zawsze był taki - potrafił zasnąć w ciągu kilku sekund, po czym obudzić się, powiedzmy, dwadzieścia minut później, rześki i skupiony. Uznała, że jest to zbyt tajemnicza zdolność, by miała być o nią zazdrosna. Gdy się obudził, dała mu chwilę, żeby miał czas ziewnąć i przeciągnąć się, a potem zapytała:

- I co ty o tym myślisz?

- Chodzi ci o Laurę?

- Nie rozumiem, jak to możliwe, żeby naszą córkę znało aż tylu ludzi. I nie rozumiem, dlaczego jej tu nie ma. Gdzie ona może być, Phillipie?

- Zadajesz dzisiaj naprawdę mnóstwo pytań, na które nie ma odpowiedzi - odparł Phillip. - Ale może Laura gdzieś tu jest, tylko jeszcze się nam nie objawiła? Może tak się zmieniła, że nie potrafimy jej rozpoznać? Może ciągle żyje? Może jest tak, że każdy ma własne zaświaty i że to są zaświaty Laury, a my tu wszyscy czekamy, kiedy ona wreszcie umrze, bo dopiero wtedy zrozumiemy, co się tutaj dzieje?

- Nie mów tak.

- A może rację miał ten facet, który dzisiaj prosił nas o ogień, i Bóg po prostu tylko się z nami bawi, żeby zobaczyć, jak zareagujemy? A może to wszystko przypadek? W gruncie rzeczy może to nic innego, jak tylko czysty przypadek. - Phillip wygładził fałdę na spodniach i wstał. - Tak brzmiałaby długa odpowiedź. A krótka brzmi: nie wiem. Ale cieszę się, że tu jesteśmy, Marion.

Poszedł do łazienki, żeby umyć twarz. Słyszała szum lecącej wody, która zrobiła się w końcu tak gorąca, że dźwięk zmienił tonację. Potem, gdy Phillip złożył dłonie i wsunął je pod kran, dobiegł ją odgłos jakby gwałtownie wypełniającego się wodą pustego naczynia, a później, kiedy ochlapał już sobie twarz, rozległ się nagły plusk, jak gdyby pod ciśnieniem wody

ustąpiła zaporą. Gdy wyszedł z łazienki, przypominające strzechę włosy miał zaczesane do tyłu w suchych i mokrych strąkach, nie licząc jednego cienkiego kosmyka, który zsunął się na czoło nad okiem.

Usiadł obok Marion na kanapie. Była zmęczona, więc wsparła głowę na ramieniu męża.

- Jest fajnie - powiedziała po chwili. - Właściwie mi nie pomogłeś, bo nie odpowiedziałeś na moje pytanie, ale i tak jest fajnie.

- Wiem. Już dawno nie było tak fajnie, prawda?

- Co masz na myśli?

- Chodzi mi o to, że już dawno nie siedzieliśmy sobie razem w spokoju i ciszy, jak teraz. I że minęło sporo czasu, odkąd ostatnio pozwoliłaś mi na coś takiego i odkąd gotów byłem zaryzykować i przytulić cię w milczeniu. Wiesz co? Kiedy spoglądam wstecz na ostatnie dziesięć lat naszego wspólnego życia, wydaje mi się, że byliśmy tylko współlokatorami. Ja byłem bałaganiarzem i próżniakiem, po którym musiałaś sprzątać, a ty wrażliwą kobietą, którą ja musiałem chronić przed strapieniem i zgryzotą. Nie wiem, dlaczego tak się zmieniliśmy. Może dlatego, że Laura wyjechała na studia, a my po długich latach życia pod jednym dachem we troje zostaliśmy nagle sami? Nie wiem. Ale tacy byliśmy, prawda? Najdziwniejsze jest to, że widzę to wszystko jasno dopiero po śmierci. Choć trudno w to uwierzyć, musiałem umrzeć, żeby to wreszcie zrozumieć.

Chyba zamierzał się roześmiać, ale kurczowo wciągnął tylko powietrze do płuc i kichnął głośno, aż głowa Marion, wciąż wsparta na jego ramieniu, podskoczyła.

- Uuuch! Przepraszam cię. Nie wiedziałem, że kichnę. W każdym razie to właśnie miałem na myśli, mówiąc, że dawno tak nie było. Chciałem w ten sposób dać ci do zrozumienia, że cieszę się, że znowu jestem twoim mężem, a ty moją żoną. Jeżeli moje zdanie liczy się dla ciebie choć trochę, to powinniśmy tak trzymać. Zresztą pewnie usiłowałem ci to powiedzieć

dzisiaj już kilkanaście razy, bo dzisiaj nie byłaś taka... Przygnębiająca jak zwykle.

Pod koniec jego przemowa jak zawsze rozsypała się na poszczególne elementy składowe, niczym zepsuty mechanizm. Marion odniosła wrażenie, że Phillip miał właśnie definitywnie wyjaśnić, do czego zmierza, ale wycofał się w ostatniej chwili. Mimo to wiedziała, o co mu szło, nawet jeśli nie była całkowicie pewna, jak zareagować, w końcu jednak poddała się i powiedziała, co myśli:

- Nie wiedziałam, że zdajesz sobie sprawę, że coś jest między nami nie w porządku.

Obrzucił Marion dobrze jej znanym spojrzeniem, po czym pochylił się nad nią i powiedział:

- Przebiorę się, zanim wyjdziemy, dobrze?

Potem wstał, zniknął w sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Popełniłaby błąd, myśląc, że Phillip jest mężczyzną naiwnym i nieskomplikowanym. Wiedziała o tym. Ale jego kaprysy, wierność różnym utartym zwyczajom, a także nie-dbałość o wygląd zewnętrzny sprawiały, że łatwo było jej wyobrazić go sobie jako dziecko. Sądziła na przykład, że to właśnie Phillip nigdy nie rozumiał dobrze ich małżeństwa - a nawet samego siebie, skoro już o rozumieniu mowa. Sądziła, że to on znajduje się na krawędzi załamania nerwowego wskutek rozmaitych dokuczających mu dolegliwości, tęsknoty za Phillipem, którym był dawniej, i nie pokojem o Laurę. Teraz zaczynała jednak podejrzewać, że przez cały ten czas to ona zachowywała się infantylnie. To ona była naiwna. To ona była dzieckiem.

Na chwilę ogarnął ją paniczny strach i dziecinne poczucie winy. Bała się, że zrobiła coś złego - na przykład, pojmując w końcu, jakim naprawdę człowiekiem jest jej mąż. Wiedziała przy tym, że ostatecznie wcale nie pograża jej ta wiedza, lecz owo „w końcu” - to, że uzyskała ją dopiero teraz.

Odpędziła od siebie te myśli i zmusiła się, by wstać z kanapy. Była siedemnasta trzydzieści, więc właściwie powinni wychodzić. Musiała się ubrać. Słońce już prawie zaszło, a ich mieszkanie wypełniały niemal pozabawione faktury błękitne cienie, ciemniejsze zaledwie o kilka odcieni niż niebo. Słyszała, jak Phillip w sypialni zapina kurtkę. Każdy kolejny za-trzask wydawał przyjemny odgłos, brzmiący w zapadającej ciemności o wiele głośniejszy niż powinien. Podeszła do drewnianych drzwi, podniosła rękę i zapukała. Był to niezwykle interesujący dźwięk.

TLR

— ROZDZIAŁ SZÓSTY —

Stacja

Niewielkie wzgórki w śniegu były mogiłami.

Z początku Laura wzięła je omyłkowo za formacje naturalne, jak tarasowe wydmy, występujące czasem na plażach albo na pustyniach, kiedy wiatr wieje dość mocno, by rzeźbić w piasku takie czy inne kształty, ale na tyle lekko, żeby ich zaraz nie rozdmuchać. Z niejakim wstydem zdała sobie sprawę, że raz weszła nawet na jeden z tych pagórków, łapiąc równowagę na biegnącej wzdłuż jego grzbietu maleńkiej równi, by rzucić okiem na lodową pustkę w kierunku zatoki. Mijały kolejne dni, a w budynku nikt się nie pojawiał, i wreszcie prawda powoli dotarła do dziewczyny. Zoologowie i technicy, stanowiący obsługę stacji, nie żyli. Laura poznała ich nazwiska, czytając wykaz dyżurów, przypięty pinezką do tablicy korkowej: pierwszy był Armand Koen, ostatni Nathan Sayles, a dzieliło ich jeszcze osiemnaście osób. W sumie dwadzieścia nazwisk - i dwadzieścia grobów, ciągnących się szeregiem na tyłach stacji niczym sznur paciorków.

Jeden z nich musiał jednak pozostać przy życiu dość długo, żeby pochować pozostałych. „Tylko kto - zastanawiała się Laura - pochował potem jego?”. A przede wszystkim, co było przyczyną ich śmierci? I kiedy umarli? Dokładnie przeszukała całą stację, ale nie znalazła nic, co by jej pomogło rozwikłać tę zagadkę, żadnego dziennika, nagrania ani wiadomości, wydrapanej gdzieś na jakimś drewnianym słupie - ani jednego, choćby enigmatycznego słowa, jak na przykład to, które pozostawili po sobie koloniści na wyspie Roanoke: „Croatoan”.

Croatoan. Cro-Magnon. Jaskiniowiec. Malowidło naskalne. Graffiti. Konfetti.

„Konfetti”. Była w podstawówce, kiedy ostatnie załogowe promy kosmiczne eksplodowały na stanowiskach startowych na przylądku Canaveral. Telewizowie ujrzeli miliony odłamków plastiku i aluminium, które zawirowały w powietrzu, niesione morską bryzą, i zaśniły w promieniach słońca olbrzymim snopem iskier, zanim runęły niczym deszcz na głowy widzów. Kiedy nauczycielka włączyła telewizor, Laura pomyślała - podobnie jak wszystkie dzieci - że z góry leci konfetti, a one oglądają jakąś staroświecką defiladę. Uczniowie śmiali się i rozmawiali szeptem, a ktoś z tylnej ławki zaczął nawet bić brawo. Wtedy pani Terrell powiedziała, że powinni się wstydzić.

- Nie mogę uwierzyć, dzieci, że oklaskujecie taką tragedię. To straszne. Po prostu straszne.

Po chwili jednak kamery telewizyjne pokazały miejsce eksplozji na zbliżeniu - gęstą, czarną chmurę na tle nieba, błękitnego niby jajeczko drozda - i wtedy wszyscy zrozumieli, co się stało. Laura przypomniała sobie: cisza, jaka zapadła w klasie, była tak całkowita, że wydawało się, że sala jest pusta - i że na wyłożonej dywanem podłodze stoją jedynie szkielety kilkudziesięciu ławek oraz krzeseł. Na stacji panowała taka sama cisza. Słońce zniknęło już niemal za horyzontem, gdy sanie wjechały na środek obozowiska. Laura była straszliwie zmęczona, ale także szczęśliwa. Zaparkowała pod drewnianym okapem i wysiadła. Wiatr ustał całkowicie. Z pewnością ktoś musiał usłyszeć szum silnika, który już wyłączyła - nikt jednak nie wyszedł przed dom - W takim razie będzie musiała zrobić załodze niespodziankę i zastukać do drzwi. Na śniegu wokół budynku nie było żadnych śladów - ani ludzkich stóp, ani płóz, tylko kilka niewielkich otworów, znaczących miejsca, gdzie spod dachu spadło kilka sopli, które sterczały teraz nad ziemią niczym słupy w płocie. Musiała mocno wbijać nogi w śnieg, żeby skruszyć butami wierzchnią skorupkę zmarzliny i przetrzeć sobie ścieżkę wiodącą do wejścia. Kiedy stanęła u drzwi, załomotała w nie pięścią, ale nikt nie otwierał. Co tu się dzieje?

Nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły.

- Halo? - zawołała, wchodząc do środka.

Oświetlenie wciąż działało, podobnie jak grzejniki. Słyszała nawet trzaski, dobiegające z radia na stole w kącie, ale w budynku stacji nikogo nie było.

Opuściła ją odwaga i dobry nastrój. Pokonała setki kilometrów na mrozie, w ciemnościach, po splekanym lodzie, i po co to wszystko? Zajrzała do sypialni, do łazienki, do kuchni i do jadalni, za każdymi drzwiami spodziewając się zobaczyć kogoś czytającego książkę, wyjadającego fasolę z puszki albo tasującego karty, które niektórzy ludzie umieją bezszelestnie przekładać z ręki do ręki po kilka sztuk naraz. Ale w budynku najwyraźniej nie było nikogo. Nie znalazła żadnych śladów niedawnej ludzkiej obecności, mokrych butów albo spotniałych szklanek z wodą. We wszystkich pomieszczeniach panowała cisza i spokój. Każdy doszedłby do tego samego wniosku - że nikt już tu nie mieszka.

W salonie stała kanapa. Była na tyle długa, że Laura mogła się na niej wygodnie wyciągnąć. Wsparła nogi na Poręczy i zapatrzyła się w sufit. Krew krążyła w niej żywiej, powoli zaczynała odczuwać więc lekkie swędzenie, na twarz wystąpiły rumieńce. Ciepło bijące z grzejników napływało kolejnymi wyraźnymi falami. Dopiero leżąc w całkowitym bezruchu, zrozumiała, jak bardzo jest zmarznięta.

Czuła się zbyt zmęczona, by zastanawiać się dalej, co tu się stało. Bolały ją plecy i mięśnie. Podróżowała przez Bóg wie ile dni i teraz chciała tylko jednego - odpocząć.

Zasnęła na kanapie i obudziła się dopiero po południu następnego dnia. Pierwszą jej myślą po przebudzeniu było to, że członkowie załogi stacji badawczej najwidoczniej wyjechali na jakąś ekspedycję albo rekonesans. Zdaje się, że o tej porze roku pingwiny cesarskie, których zwyczajnie migrujący badali, zaczynały wysiadywać jaja, może więc załoga wyruszyła na obserwację ptaków i rozbiła obóz po drugiej stronie gór?

Ale nie potrafiła sobie wytłumaczyć, jak to możliwe, że zostawili stację bez jakiegokolwiek opieki.

A zatem, być może, zostali ewakuowani. Może zdarzyło się coś nadzwyczajnego i całą dwudziestoosobową załogę ewakuowano, pozostawiając sprzęt, po który ktoś miał wrócić później.

Usiadła przy radiostacji z myślą, żeby skontaktować się z Coca-Colą, a w firmie z kimś, kto mógłby ją poinformować, co się stało z mieszkańcami stacji, lecz kiedy spróbowała uzyskać połączenie, słuchawki powitały ją przenikliwym, kakofonicznym szumem, który odczuła jak uderzenie w ciemną niczym łomem, aż rozbolała ją głowa. Próby nawiązania łączności na innych częstotliwościach również nie przyniosły powodzenia: odpowiadała jej cisza albo ten sam straszliwy, upiorny szum. Usiłowała nawiązać połączenie przez Internet, korzystając z jednego ze stacyjnych komputerów, ale bezskutecznie. Potem za stosem książek koło nadbiornika znalazła telefon komórkowy. Wydawało się jej, że nie może działać w tak znacznej odległości od stacji przekaźnikowej, ale wybrała numer biura w Atlancie. Ku jej zdumieniu po kilku sekundach trzasków i szmerów w słuchawce połączenie zostało zrealizowane.

Firmowa poczta głosowa najwyraźniej jednak nie funkcjonowała prawidłowo.

Bo telefon jedynie dzwonił i dzwonił. Laura odliczała sekundę po sekundzie, odmierzając czas na zegarze wiszącym nad komputerem i rozłączyła się po pięciu minutach.

Kiedy ponownie zatelefonowała do biura następnego dnia, usłyszała tylko jakby ciche rżenie, cichnące stopniowo w ogromnym oddaleniu, niczym odgłos bomb detonowanych na powierzchni Ziemi i ledwo docierający do górnych pięter atmosfery.

Stacja okazała się świetnie wyposażona, więc Laura nie musiała rozpakowywać sań. Pod prysznicem znalazła mydło i szampon, w apteczce aspirynę, a pod umywalką w łazience pudło zawierające setki czerwonych i żół-

tych szczoteczek do zębów w przezroczystych plastikowych koszulkach. W chłodni było pełno warzyw i stopy porcjowanego mięsa owiniętego w sprężysty, biały papier, a w spiżarni stało kilkadziesiąt skrzynek coca-coli i butelkowanej wody mineralnej. Postanowiła pić wodę, bo coca-cola właściwie już od dawna jej nie smakowała. Jest takie stare powiedzenie, że nie należy łączyć pracy z przyjemnością, a ponieważ coca-cola od lat wypełniała jej sześćdziesiąt albo nawet siedemdziesiąt procent codziennego czasu, Laura zdecydowanie nie chciała poświęcać Jej go więcej.

Początkowo spodziewała się, że członkowie składającej się z naukowców i techników załogi lada chwila wejdą do budynku, zrzucą kurtki oraz rękawice i strzepną śnieg z butów, tupiąc nogami. Przypuszczała też, że identyczna scena rozegra się w jej domku po drugiej stronie gór, gdzie wrócą Puckett i Joyce. Mijały jednak kolejne dni i nikt nie wracał, więc w końcu przyzwyczała się do pustych pokoi i ciszy panującej w budynku stacji. Była pewna, że prędzej czy później ktoś wróci tu po sprzęt i ją znajdzie. Była gotowa zaczekać.

Od czasu do czasu majstrowała przy radiu, komputerze albo telefonie, stukając w klawiaturę, wybierając numery i nasłuchując ludzkich głosów, ale ani razu nie udało jej się z nikim połączyć. Nie martwiła się jednak. Tutaj, w stacji badawczej, po długich tygodniach spędzonych w podróży przez lodową pustynię, samotność nie doskwierała jej tak bardzo. Tymczasem liczyło się dla niej przede wszystkim to, że ma prawdziwe łóżko, ciepły pokój i nie musi odżywiać się wyłącznie suszonym mięsem i batonami.

Około południa na kilka godzin wciąż pojawiało się słońce, zasnuwające horyzont pojedynczym, cienkim pasmem odbitego od śniegu światła. Laura lubiła wtedy wychodzić przed dom. Okazało się, że reflektory wyposażono w daszki ochronne, ich światło padało więc głównie na ziemię. A niebo było niesamowicie czyste. Miało kolor spranych dżinsów, pokrytych czerwonymi i pomarańczowymi smugami, wśród których pojawiały się punkciki gwiazd, tak rozpalonych, że ich blask przedzierał się przez atmosferę. Czasami Laura widziała nawet satelity, przelatujące przez dziurę ozo-

nową. Czekala, az slonce zniknie i wszedzie reszta gwiazd, i dopiero wtedy wracala do budynku.

Wlasnie podczas jednej z takich wycieczek postanowila zbadać teren wokół stacji. Wial silny wiatr, wiec szalik trzepotal wokół jej szyi niczym proporzec. Musiala tez skorzystac z kijka trekkingowego, zeby nie stracic rownowagi wsród sniegowych wydm, ale na tylach budynku teren byl juz plaski. Przystanela za węgłem, zeby zlapac oddech, i wlasnie wtedy zauwazyła te dziwne wzgórki w sniegu. Byly ubite i twarde jak kamienne odkrywki. Wspiela sie na jeden z nich, by spojrzec ponad szelfem w strone oceanu. W oddali dostrzegla lamana linie brzegowa, a takze szereg czarnych kropek i kresek na skraju skorupy lodowej. Przypominaly wiadomosc napisana alfabetem Morse'a. Tu i owdzie wiatr wypolerowal do gladkosci platy lodu, tak ze polyskiwaly usianym czerwonymi zytkami blykitem, niczym niebo. Dopiero kiedy slonce zapadlo za horyzont, a lod stracil kolory, zeskoczyła z pagórka, zeby kontynuowac wędrowke wokół stacji.

Po powrocie do budynku zawsze przebiegal ja dreszcz, co wydawalo jej sie dziwne, bo w czasie podrózy przez lodowa pustynie niejednokrotnie marzła o wiele bardziej. Moze drzala z zimna tylko wtedy, gdy spodziewala sie, ze zaraz sie rozgrzeje. Wiedziala, ze za drzwiami stacji czeka na nia cieply pokój, a jej organizm po prostu reaguje w ten sposob na jego wyobrazenie. W zaistnialych okolicznosciach mozna bylo zreszta uznac te dreszcze za symptom nadziei - w kazdym razie przyjeta taka wlasnie hipoteze, bo walczac z zadymka sniezna, nie tyle tracila nadzieje, ile nie pozwalala sobie myslec o tym, ze kiedyś znowu poczujecie cieplo, i wówczas ciało specjalistki od dzikiej przyrody spokojnie pogrzało sie w mrozie niczym opadajaca na dno fontanny ni one iii. Wrzucona do wody przez mala dziewczynke w czerwonym bawelnianym sweterku, wypowiedajaca przy tym jakies zyczenie.

Minal niemal tydzien, zanim znalazla wetknieta pod materac, zlozona na pol, wyrwana z notesu kartke zoltego papieru. Rozchylivszy ja, zobaczyla pisane odręcznie notatki wszystkich dwudziestu czlonkow ekspedy-

cji, badającej zwyczaje pingwinów cesarskich. Obok nazwisk widniały lakoniczne uwagi, skreślone tu bledszym, tam zaś nieco ciemniejszym atramentem:

- przynajmniej trzy razy dziennie
- jedna rano przy śniadaniu, koniecznie
- od czasu do czasu: „jedna mniej więcej co dwa dni”
- po południu podczas dyżuru radiowego
- podczas lunchu, i przy obiedzie też
- bardzo mu nie smakuje, ale zjada trochę, gdy nie ma nic innego
- nie częściej niż raz albo dwa w tygodniu.

Wyglądało na to, że notatki te mają coś wspólnego z obyczajami żywieniowymi załogi, choć Laura nie wiedziała, co by mogły oznaczać.

Na marginesie z lewej strony widniała kolumna czerwonych krzyżyków. Było ich dwanaście, a wszystkie umieszczono na wysokości dwunastu odpowiadających im nazwisk. Trzynasty krzyżyk pozostał niedokończony - miał tylko jedno ramię i coś jakby akcent w kształcie apostrofu na górze, będący zapewne początkiem drugiego ramienia. Przy pozostałych nazwiskach nie było żadnych znaków.

W tych krzyżykach było coś dziwnego. Wpatrywała się w nie w skupieniu, zaciskając zęby. Co mogą znaczyć? Przypominały skrzyżowane piszczele, których wizerunki umieszcza się pod trupimi czaszkami na butelkach z trującymi płynami, ostre kolce drutu kolczastego albo znaki, jakimi rysownicy opatrują w komiksach oczy zmarłych. Ogarnęły ją mdłości, chociaż nie domyślała się dlaczego.

Przesunęła palec wzdłuż kolumny nazwisk, wyczuwając zagłębienia, jakie długopis wyrył w papierze. Dopiero w tym momencie, znów przyglądając się krzyżykom przy nazwiskach, zaczęła podejrzewać, że stało się coś

straszego - a stąd był już tylko krok do zrozumienia, że wzgórki na tyłach stacji to mogiły.

X. Krzyżyki. Głowa. Mądrość.

Włożyła buty i ciepłe ubranie, po czym ponownie udała się na wycieczkę na tyły stacji. Musiała obejrzeć te pagórki raz jeszcze. Chciała zobaczyć je znów na własne oczy, teraz, kiedy odgadła, co się pod nimi kryje. I oczywiście okazało się, że są dość długie i szerokie, by zmieścić ludzkie ciało. Przeliczyła je raz, a potem drugi, żeby mieć pewność, że się nie pomyliła. Dwadzieścia grobów. Przed powrotem do budynku dotknęła ręką każdej mogiły z osobna.

Znowu przyjrzała się kartce i położyła ją na stoliku przy łóżku, przyciskając papier kubkiem do kawy, żeby nie sfrunął na podłogę. Jeżeli przyszła pora, żeby dokonać staranniejszej inspekcji stacji - a zdaniem Laury przyszła - to może zacząć przecież od sypialni. Zajrzała pod wszystkie materace na opuszczonych łóżkach, ale nie znalazła nic poza zegarkiem na długim srebrnym łańcuszku i kilkoma pismami pornograficznymi. Okazało się, że większość szafek w szatni nie jest zamknięta - kłódki były otwarte albo wystawały z nich kluczyki. Laura kolejno uchylała więc drzwiczki i przeglądała stopy leżących w środku ubrań i przyborów toaletowych. To zdumiewające, ile można się dowiedzieć o człowieku na podstawie tego, co chowa w prawym dolnym rogu swojej szafki. Oto pod bielizną, zapasowymi głowicami odczytu i odtwarzaczami znalazła torebeczki z kokainą i marihuaną, pudło z szesnastoma porcelanowymi figurkami, przedstawiającymi postaci z filmów Walta Disneya, stare wydanie Biblii o złoconych tłoczeniach na okładce i pisanych wiktoriańską angielszczyzną uwagach na marginesach, wielki słoż wazeliny, z którego wystawała łyżka, fiolki z lekami antydepresyjnymi, sterydami i serotoniną, a także smoczek, przyszyty do postrzępionego gałganka frotte i należący zapewne do dziecka któregoś z uczestników ekspedycji.

Niestety, nie znalazła nic na wyjaśnienie, co stało się z załogą stacji, czyli z tymi wszystkimi uczonymi polarnikami i technikami, którzy jedli

zapasy z szafek kuchennych i pozostawili po sobie zmiętą pościel. Nic, co mogłoby jej podpowiedzieć, dokąd wyjechali albo - jeśli jej przypuszczenia były słuszne - co było przyczyną ich śmierci.

Przeгляд łazienki i kuchni przyniósł jeszcze mizerniejsze rezultaty, bo znalazła słoik dorodnych oliwek, kilka opakowań soli kąpielowej... - i to właściwie wszystko. Resztę, czyli żywność, naczynia kuchenne i kosmetyki odkryła już kilka dni wcześniej, choć z drugiej strony było to naturalne, bo kuchnię i łazienkę siłą rzeczy poznała w miarę dokładnie w trakcie codziennej krzątania w tych pomieszczeniach. W jadalni, do której rzadko wchodziła, znalazła wciśnięty pod drewnianą skrzynkę foliowy worek na śmieci, a w nim łukowate kawałki potłuczonego szkła i naczyń kamionkowych - kubków do kawy i szklanek, jeśli się nie myliła. Jedynym nieuszkodzonym naczyniem w pokoju był kremowy kubek. Na jego brzegu widniał blade-brązowy ślad w identycznym kolorze, jaki przybierała treść sekretnych liścików, które Laura pisywała w dzieciństwie s0kiem z cytryny na wyrwanych z notesu kartkach, a potem odczytywała, podgrzewając nad żarówką. Zajrzała pod krzesła i stoliki w salonie i w szparę między kanapą a ścianą, ale znalazła tylko kilka guzików, spinaczy do papieru, połamaną miarkę i cienką warstwę kurzu. Pod poduchami na kanapie odkryła portfel, a w nim zdjęcie cocker spaniela i prawo jazdy na nazwisko Lewis Mongno. Znała to nazwisko, bo widziała je już na wykazie dyżurów wiszącym na korkowej tablicy, nad stolikiem z nadajnikiem radiowym.

Wreszcie w dolnej szufladzie biurka, na którym stał komputer, znalazła to, czego szukała: wydruk internetowej strony jakiejś codziennej gazety. Wychodziła w Kansas City, w stanie Missouri, nazywała się „The Kansas City Light” i nosiła datę 3 lutego.

Co oznaczało, że wydrukowano ją mniej więcej przed trzema albo czterema miesiącami - bo Laura nie wiedziała, kiedy dokładnie straciła rachubę czasu.

Nagłówkiem było tylko jedno słowo: ZARAZA, opatrzone nienaturalnie wielkim wykrzyknikiem. Podtytuł głosił: ŚMIERTELNY WIRUS

ZBIERA ŻNIWO W MEKSYKU. KILKADZIESIĄT MILIONÓW LUDZI ZARAŻONYCH „MRUGAŁĄ”.

Pierwszym kochankiem Laury był pewien profesor dziennikarstwa z Uniwersytetu Columbia, gdzie Laura spędziła lato po maturze, ucząc się na dziesięciodniowym kursie przygotowawczym na wyższą uczelnię. Uczęszczała na wykłady z biologii środowiskowej - bo z tego przedmiotu zamierzała robić specjalizację - ale jako jeden z fakultetów wybrała „Wstęp do dziennikarstwa”. Z wykładu zrezygnowała już po pierwszych zajęciach, jednak z prowadzącym go profesorem spotykała się do końca wakacji.

Był to wysoki i wyjątkowo inteligentny mężczyzna, noszący imię Luka, cichy, błyskotliwy, o przedwcześnie posiwiałych skroniach, czym przypominał filmowego uczonego z epoki czarno-białego kina. Czasami, kiedy pił albo gdy angażował się w jakąś ciekawą rozmowę, ogarniał go dziwny nastrój i zaczynał mówić wyłącznie nagłówkami.

- „Laura odbiera telefon dopiero po trzecim dzwonku - oświadczał nieoczekiwanie. - Twierdzi, że telefonowała jej matka”.

Albo:

- „Wieczór ma się ku końcowi. Nie obejdzie się bez stosunku płciowego”.

Albo:

- „Sims ma dość tej dyskusji. Odchodzi, żeby walić głową w mur”.

Laura mimo woli zawsze o nim myślała, ilekroć wpadał jej w oko jakiś nagłówek, który w pewien specyficzny sposób zdawał się zwracać uwagę sam na siebie. ŚMIERTELNY WIRUS ZBIERA ŻNIWO W MEKSYKU. KILKADZIESIĄT MILIONÓW LUDZI ZARAŻONYCH „MRUGAŁĄ”.

Ostatni raz widziała Lukę dzień przed swoim wyjazdem z Nowego Jorku. Poszli wtedy do łóżka, zamówili obiad na wynos w tajskiej restauracji, a potem, już jedząc, przyglądali się z góry miastu i sznurom samocho-

dów, które na przemian zbijały się w ciasne szeregi i rozpraszały pod dyktando przecinających je nieruchomych łańcuchów sygnalizacji świetlnej. Minęła już połowa lata, a chociaż dni stawały się coraz krótsze, słońce wciąż zachodziło o dziesiątej albo o wpół do dziewiątej wieczorem.

Luka mieszkał na trzydziestym trzecim piętrze Future guilding, w apartamencie o dwóch sypialniach i z balkonem w kształcie bumerangu, zawieszonym nad dziedzińcem apartamentowca. Oboje lubili stać przy balustradzie i patrzeć w dół na przechodniów. Powiedzieć, że ludzie z tej wysokości wyglądają jak mrówki, byłoby kuszące, ale niezupełnie zgodne z prawdą. Po pierwsze, mienili się jaśniejszymi i bardziej ekscentrycznymi kolorami niż mrówki, a poza tym dźwigali różne dziwne akcesoria, jak teczki, torby na zakupy albo parasole. Po drugie, poruszali się bardziej chaotycznie i bezmyślnie niż mrówki. Laura pomyślała, że ludzki sposób przemieszczania się przypomina raczej gorączkowe ruchy owadów ślizgających się po powierzchni stawu, chociaż chyba nikt by nie powiedział, że ludzie przypominają z wyglądu skoczki.

Stali obok siebie na balkonie, ramię w ramię, opierając się łokciami o parapet.

- No tak... Czy jutro o tej porze będziesz już za mną tęsknić? - zapytał Luka.

- Jutro o tej porze będę jeszcze w samolocie, pewnie gdzieś nad Iowa. - Nie była to dla niej miła perspektywa. - Ogarną mnie mdłości, głowa będzie mi pękać z bólu i zateęsknię za wszystkim, co nie unosi się dziesięć kilometrów nad ziemią.

- Czyli za mną też, tak?

- Tak, za tobą też, profesorze Sims. - Tak zwracali się do niego studenci. - Ale to nie ma chyba większego znaczenia, co? Bo za kilka miesięcy powiem o nas moim rodzicom, a potem rzucę studia, przeprowadzę się do Nowego Jorku, pobierzemy się i będziemy żyli długo i szczęśliwie. I tyle.

Laura chciała mu dokuczyć, a oprócz tego jednego знаła jeszcze tylko kilka sposobów, żeby dopiec Luce, który zaśmiał się tym płytkim, nieszczerym śmiechem, jakim śmieją się ludzie niechący przyznać, że usłyszany przed chwilą żart wprowadził ich w zakłopotanie. Oboje od początku dobrze wiedzieli, że kiedy lato się skończy, nigdy więcej już się nie spotkają, ponieważ jednak Luka był dużo starszy od niej i ponieważ był jej nauczycielem - choć tylko przez dwie godziny - odczuwał z powodu ich romansu wyrzuty sumienia, które Laury jakoś nie dręczyły. „Straszni z nas rozpustnicy” - mówił czasem żartobliwie, potrząsając głową i popatrując na Laurę, która leżała na łóżku w samym podkoszulku. Ale chociaż wiedziała, że Sims tylko żartuje i zawsze reagowała w takich chwilach uśmiechem, to w tym, co mówił, kryło się maleńkie ziarno prawdy - wystarczająco duże, by mogła usłyszeć w jego głosie samooskarżenie.

- Właśnie tak - powtórzyła. - Pobierzemy się i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

- No tak... To strasznie się cieszę - odpowiedział.

- Nie wątpię. - Poklepała go po ręce. - Boże, jak ja nienawidzę latać.

- Wiem.

Po chwili, żeby trochę oczyścić atmosferę, dodała:

- Czy nie powinniśmy już mieć urządzeń do teleportacji? Obiecywano nam przecież coś takiego.

- I osobiste silniczki rakietowe.

- I ruchome chodniki.

Luka zaczął udawać, że maszeruje z transparentem w rękę.

- Czego żądamy? Silników rakietowych!

_ Oraz urządzeń do teleportacji! - Dołączyła do niego.

- Kiedy chcemy je dostać?

_ Natychmiast!

- Przyszłość! - zawołał Luka i nagle wydało im się to śmieszne. Zaczęli chichotać, a potem śmiać się w głos, wpadając jakby w komiczną pętlę czasu, w której najpierw zdali sobie sprawę, jak mizerny był humor ich pierwszej żartobliwej uwagi, a potem zaśmiewali się właśnie z jej mizerii, jeszcze głośniejszej niż przedtem. Jednak chwilę później śmiali się już właściwie tylko z tego, że się śmieją.

Antyterrorystyczne latarnie ostrzegawcze na dachach miejskich budowli zabłysły oślepiającym, żółtym światłem, ale zgasły już kilka minut później. Tylko co z tego? Ostatnio i tak nikt się nimi nie przejmował.

- Pewnie fałszywy alarm - odezwał się Luka.

- Jak zwykle - odpowiedziała.

Brzuch przyjemnie skurczył się jej od śmiechu. Luka ujął jej rękę i zaczął gładzić kciukiem nadgarstek, na tyle mocno, że całe ciało dziewczyny przebiegł dreszcz.

I wtedy zdarzyło się coś niezwykłego.

Albowiem w tym właśnie momencie jakaś dziewczynka, przechodząca z matką przez dziedziniec (a w każdym razie wydawało im się, że jest to dziewczynka, bo z tej wysokości trudno było rozpoznać płeć dziecka), wypuściła nagle z ręki balonik. Wiatr uniósł go w stronę ulicy ponad dachem pobliskiego warsztatu samochodowego, ale potem zmienił kierunek, zdmuchnął zabawkę z kursu i popchnął ją w stronę Future Building. Wirując w powietrzu, zaczęła obijać się o długi szereg balkonów - jej czerwony, kulisty kształt rósł im teraz w oczach. Laura widziała, że dziewczynka szarpie matkę za rękaw, próbując pociągnąć ją w kierunku balonika, który znalazł się już jednak daleko poza ich zasięgiem.

- Wydaje mi się, że zaraz przeleci koło nas - powiedział Luka, i rzeczywiście, po chwili balonik wpłynął w jakiś powietrzny korytarz biegnący

wzdłuż bocznej ściany apartamentowca. - Wiesz co? Może uda mi się go złapać.

Wychylił się z balkonu, a Laura wstrzymała oddech. Luka wyciągnął szybko rękę szerokim gestem, niczym niedźwiedź polujący na łososie, i chwycił przelatujący obok balonik za sznurek.

Laura spojrzała na balonik, potem na niego, a potem znowu na balonik.

- Nie do wiary - mruknęła. - Pięć dolców dla tego pana o złotych rękach.

Luka spojrzał na dół, na dziedziniec.

- One tam jeszcze są. Chodźmy.

Poprowadził Laurę do windy i wcisnął guzik. Kabina stała chyba zaledwie piętro albo dwa wyżej, bo niemal natychmiast zabrzmiał dzwonek sygnalizujący otwarcie drzwi, które rozsunęły się i zamknęły z cichnym stopniowo szelestem. Kiedy ruszyli w dół, na parter, Luka wcisnął i przytrzymał palcem przycisk z napisem ZAMKNIJ, a balonik podfrunął pod sufit windy. Na parterze Luka powiedział: „Szybko!”, po czym wziął Laurę za rękę i razem, mijając portiera, wybiegli na dziedziniec.

Ale matki z dzieckiem już tam nie było, tylko jakiś mężczyzna karmił chrupkami serowymi psa, który zajadał je z nieco wybredną miną, niby człowiek usiłujący rozgryźć przednimi zębami pestkę owocową. Dalej grupka nastolatków słuchała muzyki, dobiegającej z kieszonkowego radjka.

- Szły w stronę Trzydziestej Drugiej - powiedział Luka. - Pośpiesz się. Tędy.

Laura ruszyła za nim schodami obok warsztatu. Najpierw musieli kłuczyć między kilkoma staruszkami, którzy rozmawiali o wyścigach konnych, a potem puścili się pędem pod drzewami i stojącym na frontonie wie-

żowca rusztowaniem. Stamtąd na rogu ulicy zobaczyli kobietę z córeczką, czekającą na zielone światło na przejściu dla pieszych.

Luka dogonił je, kiedy światło się zmieniało.

- Przepraszam - zwrócił się do dziewczynki. Brakowało mu tchu po biegu, więc sapnął kilka razy niczym miech kowalski, otwierając i zamykając usta.

Ta chwila wystarczyła jednak, żeby dziewczynka zauważyła balonik i wykrzyknęła:

- To mój i - A potem zwróciła się do matki: - Widzisz, mówiłam ci. Jeden pan złapał balonik na oknie.

- Na balkonie - poprawiła ją matka, po czym wzięła balonik od Luki i powiedziała:

- Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Pochyliła się i białym sznureczkiem przywiązała balonik córce do ręki.

- Przez najbliższe dwa tygodnie nie mówiłaby o niczym innym, tylko o tym baloniku. Co trzeba powiedzieć temu miłemu panu, Sarah?

- Czy to jest pierwszy balonik, jaki pan złapał? - zapytała dziewczynka.
- A kim pan jest? Łapaczem baloników?

- Powiedz „dziękuję”, kochanie.

- Dziękuję.

Tymczasem zielone światło na przejściu zaczęło mrugać.

- O rety! Naprawdę musimy już iść, proszę pana. Dziękuję raz jeszcze. Przepraszam.

- Dziękuję, panie Baloniarzu - powiedziała dziewczynka.

Laura była pewna, że od tej pory mała będzie tak właśnie go nazywać, opowiadając później tę historię: pan Baloniarz. Patrzyła wraz z Luką, jak w

chwili zmiany świateł matka i córka przebiegają przez ulicę tuż przed py-skami napierających na nie samochodów. Minęły księgarnię i stary budynek kina. Sukienka dziewczynki, żółto-zielona niczym grzbiet świetlika, migiała jeszcze przez chwilę wśród przechodniów, a potem kobieta i dziecko zniknęły w tłumie.

Laura wiedziała, że nigdy nie zapomni tego, co wtedy powiedział Luka:

- Wiesz co? To chyba najlepszy uczynek, jaki zrobiłem w życiu.

A jaki ona zrobiła najlepszy uczynek w życiu? Zastanawiała się nad tym, nasłuchując wycia wiatru za oknami stacji. Nie założyła organizacji charytatywnej ani rodziny. Nie uratowała nikomu życia. Do diabła, nigdy nie uratowała nawet balonika.

Najlepszym uczynkiem w jej życiu był zapewne jakiś na poły mimowolny akt uprzejmości, o którym zresztą już dawno zapomniała.

„Laura Ptack wręcza swoim rodzicom bukiet polnych kwiatów”.

Albo: „Laura Ptack daje żeton obcemu mężczyźnie na stacji metra, nie biorąc od niego pieniędzy”.

Albo: „Laura Ptack mruga długimi światłami swojego pojazdu, ostrzegając innych kierowców przed patrolem policji z radarem”.

Skończywszy czytać artykuł, odłożyła gazetę, wsparła głowę na rękach, zamknęła oczy i zaczęła masować skroję. Jeżeli gazeta napisała prawdę, pod koniec stycznia, czyli mniej więcej wtedy, gdy Laura, Puckett i Joyce stracili kontakt z ludźmi z Coca-Coli, Amerykę Północną zaczął pustoszyć jakiś nieznany mutagenny wirus. Był niewątpliwie zabójczy, a na kontynent amerykański dostał się drogą wodną i powietrzną z Azji i Europy Zachodniej. Państwa Ameryki Południowej usiłowały ustanowić kordon sanitarny, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się choroby, ale jej ogniska wykryto już w Brazylii, Ekwadorze i Argentynie.

Gazeta pisała o „epidemii”, lecz donosiła także, że ludzie potocznie określają wirus mianem „Mrugały”, a to dlatego, że pierwszą oznaką infekcji było zazwyczaj podrażnienie oczu, wskutek którego zarażeni mrugali gwałtownie powiekami. Jak dotąd, nie było wiadomo, czy wirus został stworzony w laboratorium, czy też powstał w wyniku naturalnej mutacji, ale podejrzewano powszechnie, że pojawił się w wyniku działań człowieka.

Laura spędziła kilka następnych godzin przy radiu, próbując jak najprecyzyjniej dostroić odbiornik i złapać jakikolwiek czytelny sygnał, przeszukując wszystkie częstotliwości. Długo nie słyszała nic poza szumem, potem jednak, późnym popołudniem, kiedy przeszła na najwyższy rejestr skali, natrafiła wreszcie na głos, mówiący w jakimś nieznanym jej, chrzęszczącym i skwierczącym języku, pełnym nieoczekiwane krótkich głosek i pauz.

Wstrząsnął nią dreszcz. Więc jednak kogoś znalazła.

Włączyła komputerowy program translatorski. Okazało się, że przekaz nadawany jest w języku malajskim. Słuchała tłumaczenia: „... nikt nie pozostał przy życiu, powtarzam, nikt. Czuję, że ogarnia mnie choroba. Wiem, że nie zostało mi już dużo czasu. Mogę tylko mieć nadzieję, że moje nagranie będzie emitowane, dopóki wystarczy prądu Kocham cię, Piah. Wkrótce znów się spotkamy, moja ukochana”. Tu słyhać było kliknięcie, potem piskliwy furkot, a potem zabrzmiał znowu ten sam głos: „Niniejszy przekaz adresowany jest do wszystkich, którzy jeszcze mogą go wysłuchać. Trzymajcie się z dala od miasta, powtarzam, trzymajcie się z dala od miasta. Nikt nie pozostał przy życiu, powtarzam, nikt nie pozostał przy życiu. Czuję, że ogarnia mnie choroba...”.

Nim wyłączyła odbiornik, wysłuchiwała tego nagrania kilkanaście razy.

„Nieszczęsny - pomyślała. - On i jego ukochana kobieta”.

A potem przyszła jej do głowy myśl, której chciała uniknąć za wszelką cenę. „O, ja nieszczęsna...”.

Na dworze zapadała coraz ciemniejsza noc. W środku dnia wciąż pojawiała się trochę mglistego światła, tworzącego jakby fałszywy świt, który zdawał się od razu wsiąkać w atmosferę, ale słońce nie wstawało już na horyzoncie, a światło szybko bladło. Laura wyszła na śnieg i kilka razy odechnęła głęboko.

Na niebie królowały teraz tylko gwiazdy i księżyc. Zaczęła się zastanawiać, czy nie jest ostatnim żywym człowiekiem na Ziemi. Myślała o tym wcześniej - jak zapewne każdy, kto przeczytał chociaż jedną powieść fantastyczno- -naukową, podejrzewała jednak, że tym razem może to być prawda. Niewykluczone, że nie zdołała się skontaktować z nikim przez radio, telefon i komputer, bo poza nią nikt na świecie nie pozostał przy życiu. Po raz pierwszy dotarło do niej, że - być może - została całkiem sama. Ale nie mogła do końca w to uwierzyć.

Przeszukała już stację dość dokładnie, postanowiła jednak zacząć jeszcze raz od początku, znowu penetrowała więc szafki i komódki, podnosiła materace i poduszki, i zaglądała pod ciężkie meble, przyświecając sobie lartarką. Musiała się dowiedzieć, co stało się z ekspedycją badaczy zwyczajów pingwinów cesarskich. Musiała się dowiedzieć, co znaczą te krzyżyki.

Była to wyczerpująca robota, ale opłacała się. Zrobiło się już późno i ze zmęczenia poczuła senność, gdy nagle za jednym z łóżek odkryła ruchomy panel boazeryjny. Zdjęła go i w szparze między ścianą a izolacją cieplną znalazła niewielki, sfatygowany, oprawny w skórę notes. U dołu z prawej strony widniały ciemne smugi, pozostawione przez czyjeś brudne, spocone palce.

Wytarła okładkę z kurzu i otworzyła notes na pierwszej stronie. Tytuł głosił: *Dziennik Roberta Joyce'a*, a dalej widniał nagłówek: „Wpis pierwszy, 12 września”.

— ROZDZIAŁ SIÓDMY —

Patriarcha

Wraz z deszczami ustał także wiatr. Cisza nie pozwalała mu zasnąć przez większą część nocy, rano zaś otworzył oboje drzwi, wybrał sentencję na kolejny dzień i przepłoszył ptaki Laury z balkonu, patrząc, jak opadają na ławki i brudny chodnik niczym piłeczki z pianki styropianowej. Ich niebiesko-szare ogony połyskiwały w żółtym świetle, a chociaż ptaki są przecież demonami, światło było dobre, wziął więc swój transparent i wyszedł z nim do miasta. Kiedy znalazł się na placu zgromadzeń, zawołał: „O wy, bracia moi! I wy, moje siostry! Słuchajcie, a usłyszycie, szukajcie, a znajdziecie!” - i chociaż ludzie na ogół odpychali go, a niektórzy nawet z niego szydzili, wykrzykując chrapliwie swoje bluźnierstwa, zawsze znajdowało się przynajmniej kilka osób, które przystawały, żeby go wysłuchać.

„Naprawdę w to wierzysz?” - pytali. I dalej: „Czego mamy szukać?”. I: „A co właściwie oznacza ten twój napis?”.

Tego dnia napis na transparencie głosił: JEŻELI CHCĘ, ABY POZOSTAŁ, AŻ PRZYJDĘ, CO WAM DO TEGO?, a znaczył to samo, co wszystkie jego hasła: że Jezus powróci na Ziemię, więc trzeba się przygotować na jego nadejście.

- To Ewangelia według świętego Jana, rozdział dwudziesty pierwszy, werset dwudziesty drugi - próbował im tłumaczyć. - Pan przemawia do swoich uczniów. Ludzie najczęściej sądzą, że ten cytat odnosi się do Żyda Wiecznego Tułacza, ale jeśli przeczytacie tekst uważnie, okaże się, że nie. I że osoba, o której mówi Chrystus, to sam apostoł Jan. „Pozostać” znaczy w tym zdaniu „czekać”, a „czekać” to tyle, co „żyć”. A zatem werset ten znaczy: „Jeżeli ja, Jezus, chcę, żeby on, apostoł Jan, żył do mojego powtórnego przyjścia, to co wam do tego, moi apostołowie?”. To znaczy apostołowie Jezusa, nie moi. Bo ja nie jestem Jezusem. Rozumiecie?

Było to dość skomplikowane, powtarzał więc swoje wyjaśnienia po raz drugi i trzeci, jeśli widział grymas niezrozumienia na twarzach słuchaczy, a czasem nawet i po raz czwarty, jeśli w pobliżu zaczynali gromadzić się nowi ciekawscy, kiedy zaś kończył, okazywało się zwykle, że wszyscy się już rozeszli i porzucili prawdę jego głosu, zwabieni śpiewem ptaków.

Wtedy ponownie wchodził w tłum, zaczynał wszystko od nowa i czekał, aż ludzie zaczną się gromadzić wokół niego.

Ludzie zostali stworzeni na podobieństwo Boga, dlatego obejmowała ich wciąż Jego łaska - nawet tych, którzy Go nie znali, i tych, którzy odwracali się od Niego. Musiał sobie o tym przypominać, gdy go ignorowali, szydzili z niego, przedrzeźniali jego głos, a nawet, co przydarzyło mu się raz na tamtym świecie, zaaresztowali go, zakuli w kajdanki i skonfiskowali mu transparent. Czasami, odkrywając w sobie ducha Bożego, który wirował w nim niby kłęb ubrań w suszarce, czuł się tak syty, że zapominał, że przecież musi jeść, a wtedy pod koniec dnia chwiał się na nogach pod naporem fali głodu. Znał listonosza, zacnego człowieka o imieniu Joseph, który częstował go w takich chwilach hot dogiem albo pizzą i dotrzymywał mu towarzystwa, aż zawroty głowy przechodziły. Dziś jednak napełnił kieszenie słonymi paluszkami, zanim wyruszył do miasta, i zaczął je zajadać, siedząc na żeliwnej ławce, z której było widać obelisk. Przyglądał się cieniom ptaków, zderzającym się z cieniami chmur.

Było już późne popołudnie, gdy zauważył dwóch mężczyzn - a właściwie chłopców, nie mogli mieć bowiem więcej niż po dwadzieścia lat - którzy trzymali się za ręce i całowali pod markizą porzuconego sklepu żelaznego. Pierwszy z nich ścisnął w dłoni pęk długich włosów drugiego, a drugi wił się i kołysał biodrami, jakby chciał zrzucić dzinsy, ale kiedy ten pierwszy szepnął mu coś do ucha, obaj wybuchnęli nagle śmiechem. Podbiegł do nich natychmiast, stanął pod markizą i zaczął im mówić coś o „Jezusowym moście” i „przeniesieniu Wybranych”, ale chłopcy wyrywali mu się i nie chcieli go słuchać.

- Spierdalaj - powiedział ten pierwszy, a drugi rzucił: - Zabieraj te łapy, ty stary lachociągu! - Po czym obaj zaczęli bębnić w transparent pięściami i otwartymi dłońmi, a wtedy tablica z sentencją biblijną przechyliła się i uderzyła go w szczękę.

Kiedy otworzył oczy, leżał jak długi na chodniku. Chłopcy zniknęli. Między policzkiem a dziąsłami wyczuł coś twardego - okazało się, że jest to ząb. Zagarnął go językiem i wypluł. Był ciemnoczerwony, niczym pestka wiśni. W drodze do domu pogrzebał go na cmentarzu, zaznaczając miejsce pochówku dwoma skrzyżowanymi słonymi paluszkami, aby odzyskać swoje ciało w komplecie, kiedy ponownie umrze i zmartwychwstanie. Tak skończył się pierwszy dzień.

ŻAŁUJCIE ZA GRZECHY, BO CZAS SĄDU JEST BLISKI - oto jak następnego dnia brzmiał napis na jego transparencie, a pod nim widniało: **Z WYRAZAMI SZACUNKU, DOKTOR COLEMAN KINZLER**, bo tak się nazywał. Sam nadał sobie tytuł doktora w dniu, w którym jako trzydziestotrzylatek skończył czytać Biblię, wiedział bowiem, że chociaż nie ukończył żadnych studiów, w oczach Pana stał się już teraz doktorem. Miał wtedy jeszcze Pismo Święte, które dostał w dzieciństwie - drukowane na pięknym białym papierze wydanie kieszonkowe o stronicach posrebrzanych na brzegach i niebieskiej, skórzanej obwolucie, którą można było owinać całą księgę i zapiąć z przodu na zatrzask. Nosił tę Biblię wszędzie, dopóki nie spotkał kobiety, która nigdy nie czytała Pisma Świętego. Była Hinduską w sari koloru cegły i mocnej kawy.

- Czy jeśli dam ci tę księgę, przestudiujesz ją i będziesz chronić jak świętość? - zapytał, a nieznajoma obiecała, że tak, więc podarował jej swoją Biblię, chociaż rozstawał się z nią z niejakim bólem.

Był jednak przekonany, że wykonuje wolę Pana. Świat roił się od Biblii - było ich tyle, że spadały z przepelnionych półek we wszystkich aptekach i pokojach hotelowych w całym kraju, i wiedział, że w razie potrzeby zawsze znajdzie sobie nowy egzemplarz. Natomiast tej nieznajomej zapew-

ne już nigdy nie spotka, mogła to zatem być dla niej jedyna szansa na kontakt ze Słowem Bożym.

Często rozmyślał później o tej kobiecie, podobnie jak o Biblii, chociaż w rzeczy samej nie ujrzał już nigdy ani nieznajomej, ani swojej księgi.

Wspominał właśnie to spotkanie, obnosząc swój transparent po dzielnicy. Na niebie wisiały niezmierzone tafle szarych chmur, a wszystkie flagi, chorągwie i uliczne sygnalizatory świetlne wisiały w kompletnym bezruchu. Dwa z ptaków Laury przybiegły w podskokach spod zaparkowanego w pobliżu samochodu i zastąpiły mu drogę, a potem wcisnęły się pomiędzy nogi, usiłując go przewrócić doktor nie stracił jednak równowagi i nie wypuścił transparentu z rąk. Krzyknął na ptaki, zaczął wymachiwać rękami i tupać, aż wreszcie odleciały i wylądowały dalej na ulicy.

Wydawca i jego przyjaciółka stali pod drzwiami restauracji Bristowa, jak każdego ranka, rozdając przechodniom najnowsze wydanie „Dziennika Simsa”. KOLEJNE DOWODY NA POPARCIE HIPOTEZY W SPRAWIE PANI PTACK, brzmiał nagłówek. Kiedy wydawca podał mu gazetę, Kinzler złożył ją we czworo i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki. Dziewczyna zauważyła opatrunek na jego podbródku i zapytała:

- Jezu! Co ci się stało?

Odruchowo dotknęła własnego podbródka.

- No właśnie - odrzekł doktor. - Poszło o Jezusa. Doznałem obrażeń, broniąc Jego imienia.

Opowiedział, jak wybito mu zęb, o zniszczeniu transparentu i o chłopcach, którzy zostawili go leżącego na ulicy. Kiedy skończył, dziewczyna rzekła z westchnieniem: „Och, ty biedaku”, po czym wręczyła mu drugi egzemplarz dziennika, który Kinzler także złożył we czworo i schował do kieszeni razem z pierwszym.

- Bogaci zubożeją, a biedni się wzbogacą - odpowiedział, po czym zostawił wydawcę i jego dziewczynę przed wejściem do restauracji i ruszył dalej na obchód miasta.

Na H Street przystanął, żeby porozmawiać z portierem, a kiedy go zapytał, czy zna Słowo Boże, twarz mężczyzny wykrzywił! nieznaczny uśmiešek. Potem portier wyciągnął spod rozpiętej pod szyją koszuli krzyżyk, zawieszony na łańcuszku, i zaczął nim kręcić młynka.

- Niech ci Bóg błogosławi - rzekł Coleman.

portier odwzajemnił jego życzenie. Srebrny krzyżyk obracał się w jego palcach coraz wolniej i w końcu znieruchomiał, po czym zaczął się kręcić w przeciwną stronę, jakby pomrużując do Colemana, bo w srebrze odbijało się światło pobliskiego neonu.

Doktor wsparł tablicę na ramieniu i ruszył dalej. Zapomniał zabrać paluszki, lecz chociaż zgłodniał, nie zatrzymywał się nigdzie, żeby coś zjeść. Ze sklepu meblowego wyrzuciło go dwóch ochroniarzy; później udało mu się zgromadzić wokół siebie parę osób, gdy wszedł na brzeg fontanny na placu w centrum handlowym, ale słuchacze szybko się rozeszli, więc przez dwadzieścia minut przemawiał do kobiety, która wydawała się go słuchać w najwyższym zachwyceniu - gdy jednak doktor zapytał, jak się nazywa, odpowiedziała potoczystą włoszczyzną. Chociaż w chmurach wciąż przetaczały się grzmoty, nie padało, a jeśli nawet, to deszcz nie docierał na ziemię. Czasami, kiedy z nieba dobiegało jakby głuche warczenie, odpowiadało mu burczenie w brzuchu Colemana, na co niebo powarkiwało ponownie, i niewiele brakowało, by doktor pomyślał, że rozmawia z Bogiem.

Gdy wracał do domu, niedaleko swojego mieszkania minął stragan, na którym sprzedawano podkoszulki z napisem BÓG JEST MIŁOŚCIĄ. Leżały w stertach, czerwone, białe i czarne, a wypisane na nich hasło, które przybliżało się i oddalało w jego oczach, było niczym zaproszenie do dialogu. Coleman po części wierzył, że Bóg to tyle, co miłość, i że jest to naprawdę proste równanie, ale z drugiej strony sądził, że miłość jest jednak za

słaba, że miłość to za mało: za mało zarówno dla Boga, jak i dla ludzi, którzy potrzebują od Niego czegoś więcej.

Pierwszy głos mówił mu, że miłość Boga jest niby słońce i woda: wzmacnia nas, karmi i napętnia światłością. Dopiero kiedy odrzucamy miłość i zamykamy się na nią, zaczynamy usychać od wewnątrz i przestajemy cieszyć się światem i życiem.

„Bzdury!” - powiadał drugi głos. Wcale nie żyjemy się miłością Boga, lecz Jego nadzieją. W ogóle nadzieją. A nadzieja i miłość to dwie odrębne siły, bez względu na to, czy mówimy o Bogu, czy o ludziach.

„Ale czy miłość nie niesie ze sobą tego wszystkiego, co nadzieja, a nawet więcej?” - pytał pierwszy głos.

„Jeśli miłość jest źródłem nadziei, to możliwe” - odpowiadał drugi. Ale miłość nie zawsze daje nadzieję. Każdy, kto kiedykolwiek kochał, dobrze wie, że miłości można mieć za dużo albo za mało. Istnieje taka miłość, która pali człowieka żywym ogniem, i miłość, która nas niszczy. Można zażywać miłości w szkodliwych dawkach, tak jak słońca i wody. A niewłaściwa miłość może równie dobrze zdusić nadzieję, jak i ją podtrzymać.

Coleman pozwolił obu głosom powarkować na siebie przez jakiś czas, a głucho dudnienie przetaczało się to tu, to tam, i w końcu nie wiedział, kiedy dochodzi z nieba, a kiedy z jego brzucha. Dopiero gdy spostrzegł, że przyglądają mu się współpasażerowie w windzie, zrozumiał, że mówi na głos. W domu znalazł w kredensie paczkę ciasteczek ryżowych i słoik masła orzechowego, i wszystko pochłoniął z wielkim apetytem. Tak skończył się dzień drugi.

Werset biblijny, zawierający aluzję do Żyda Wiecznego Tułacza, nie pochodził oczywiście z Ewangelii św. Jana, tylko św. Mateusza, 16,28: **NIEKTÓRZY Z TYCH, CO TU STOJĄ, NIE ZAZNAJĄ ŚMIERCI, AŻ UJRZĄ SYNA CZŁOWIECZEGO, PRZYCHODZĄCEGO W KRÓLESTWIE ŚWOIM**, i ten właśnie werset widniał na transparencie Colemana następnego dnia. Żyd Wieczny Tułacz, znany ponadto między innymi jako

Ahaswer, Kartafilos i Johannes Buttadeus, był ponoć szewcem, który popędzał Chrystusa niosącego krzyż na Kalwarię: „Szybciej, szybciej”, na co Jezus miał odrzec: „Idę, idę, ale ty poczekaś aż do mego powrotu”, skazując w ten sposób szewca na wędrówkę po świecie aż do Jego powtórnego nadejścia. Coleman wiedział, że ta historia nie występuje w Biblii i że wielu chrześcijan wątpi w jej autentyczność, jemu jednak zawsze wydawała się przekonująca, podobnie jak podanie o tym, że to sam szatan przybrał postać węża z Rajskiego Ogrodu i że świętego Piotra ukrzyżowano głową w dół, żeby nie umarł w ten sam sposób co Jezus. Obie te opowieści również opierały się raczej na źródłach ludowych, nie na świadectwie Biblii, a przecież nikt nie podważał ich autentyczności.

W nocy zasłona chmur przesunęła się w okolice horyzontu, słońce wzeszło jednak jakby bardzo maleńkie i straciło całą moc, bo rosa wyparowała z trawy dopiero kilka godzin przed południem. Tym razem, aby głosić Słowo Boże, Coleman zajął pozycję na skraju alejki. Nikt z przechodniów nie zatrzymał się, żeby go wysłuchać, ale pewien człowiek przysiadł na ławeczce nieopodal, co wyglądało, jakby chciał podsłuchiwać. Coleman spróbował więc zwrócić się do niego, wiedział bowiem, że Prawda Boga potrafi przekonać nawet najbardziej opornego słuchacza, ale dopiero wtedy spostrzegł, że nieznajomy karmi ptaki chrupkami serowymi z plastikowej torebki, rzucił się więc na nie jak błyskawica, zdeptał chrupki na proch i przepędził mężczyznę precz.

Lunch zjadł z listonoszem Josephem, swoim przyjacielem, a kiedy wyrzucali śmieci do kosza, Joseph powiedział:

- Wiesz, gdy byłem dzieckiem, myślałem, że każdemu człowiekowi muszą się w życiu spełnić trzy życzenia. Pamiętam, że moim pierwszym życzeniem było, żebym nigdy nie musiał korzystać z toalety. Oczywiście nie spełniło się, a ja długo potem gniewałem się na Boga.

Na co Coleman odparł:

- Coś mi się zdaje, że pomyliłeś Go ze złotą rybką.

W swoim mniemaniu po prostu stwierdzał fakt, ale to, co powiedział Josephowi, z jakiegoś powodu wydało się zabawne, bo nie mógł przestać się śmiać, dopóki Coleman nie zabrał swojego transparentu i nie poszedł.

Problem polegał na tym, że jeśli historia o Żydzie Wiecznym Tułaczem była prawdziwa, to znaczy, jeżeli taki Żyd naprawdę istniał, miasto powinno być znacznie gęściej zaludnione. Wszyscy mieszkańcy zdawali się tkwić w przekonaniu, że istnieją dzięki wspomnieniom żywych, chociaż potwierdzenia tej legendy też próżno szukać w Piśmie Świętym. Pewne było tylko to, że w mieście są ludzie, Coleman nie miał więc powodu, aby podawać ich przekonania w wątpliwość. Dlaczego jednak w takim razie miasto nie roi się od milionów dusz, które Żyd Wieczny Tułacz spotkał podczas wędrówki trwającej dwa tysiące lat, jakie minęły od ukrzyżowania Chrystusa?

Zdaniem doktora istniały trzy możliwości. Pierwsza, że Żyd padł ofiarą wirusa, a jeśli tak, to jego pojawienie się zbiegło się w czasie z ponownym zstąpieniem Jezusa na Ziemię. Druga, że wciąż żył, co by oznaczało, że w mieście muszą znajdować się jeszcze jakieś nieznanne, zamieszkane dzielnice, a nawet, że może gdzieś istnieją inne podobne miasta. I wreszcie trzecia, głosząca, że Żyd Wieczny Tułacz faktycznie nigdy nie istniał.

Nie mógł się zdecydować, która z tych możliwości jest najbardziej prawdopodobna, i ta niepewność bardzo mu ciążyła. Wracał myślami do problemu Żyda Wiecznego Tułacza przez cały dzień, kiedy nauczał, a wtedy zawieszał głos i nasłuchiwał łopotu skrzydeł trzepoczącego się w jego głowie pytania. Mieszkańcy miasta mijali go obojętnie, jak obojętna woda opływa kamień, więc poddał się wreszcie i wrócił do domu. Usiadł na brzegu łóżka, przyglądał się cieniom, przesuwanym się po podłodze, i słuchał śpiewu dziewczynki, która skakała przez skakankę na ulicy pod jego oknami. Nuciała jakąś piosenkę, zaczynającą się od słów „Siała baba mak, nie wiedziała jak”. Doktor otworzył podwójne drzwi na balkon i zawołał:

- Hej, ty, jak ci na imię?

Skakanka opadła bezwładnie pod nogi dziewczynki niczym wstęga wyblakłych na słońcu wodorostów. Mała podniosła wzrok, ale nie odpowiedziała.

Coleman zawołał raz jeszcze:

- A nie jesteś ciekawa, jak ja się nazywam?

Dziewczynka wahała się przez chwilę, a potem odrzekła:

- Wiem, kim jesteś. Ptasznikiem.

- Nie, nazywam się Coleman Kinzler.

- My nazywamy cię inaczej. Nazywamy cię Ptasznikiem z Alcatraz.

Wyraz twarzy dziecka wydał mu się nieco ociężały i doktor pomyślał, że dziewczynka może być lekko niedorozwinięta. Najłagodniej, jak potrafił, zapytał:

- Znasz Jezusa Chrystusa?

- A jak? Jezus umarł na krzyżu za nasze grzechy

- Zuch dziewczynka - rzekł Coleman. Gdyby miała pod ręką jakąś zabawkę, na przykład lalkę albo bąka, zapewne rzuciłby ją małej w prezencie, ale na jego balkonie stało tylko zardzewiałe krzesło ogrodowe, zaniedbana, uschnięta zielistka w doniczce i cała sterta tablic przymocowanych do białych drewnianych drzewców, w tym jedna, z którą zamierzał wyjść jutro do miasta, z napisem JEZUS JEST DROGĄ, PRAWDĄ I ŻYCIEM. Dlatego zamiast dać jej prezent - i ponieważ nic lepszego nie przychodziło mu do głowy - podniósł transparent i pokazał go dziewczynce, wymachując nim tak długo, aż mała wzruszyła w końcu ramionami, podniosła swoją skakankę i skacząc przez nią, ruszyła przed siebie ulicą.

Tak minął trzeci dzień.

Ptaki to dinozaury.

Dowiedział się o tym kiedyś z jakiejś książki - że w okresie tak zwanego wielkiego wymierania najpotężniejsze dinozaury wyginęły na skutek chorób i z głodu, ale za to ocalały najmniejsze, które potem, na przestrzeni wieków, zmieniły się w końcu w ptaki. Ptaki są więc dinozaurami, dinozaury to gady, a gady, jak powszechnie wiadomo, to demony. Trzeba przenikliwego oka, żeby przejrzeć ich maski.

Zdjął opatrunek z podbródka, by zbadać zadrapanie, jakiego nabawił się podczas upadku. Choć rana nie była głęboka, jeszcze się nie zagoiła, więc Coleman ostrożnie dotknął jej brzegów palcami, chcąc w ten sposób sprawdzić, czy przynajmniej nie zaczął się tam już formować strup, a jeśli tak, to czy nie dałoby się go od razu zerwać.

Czy rany goją się z zewnątrz, czy od wewnątrz? Nie wiedział, miał jednak wrażenie, że jego rana w ogóle się nie goi. Przeczyścił ją, założył nowy opatrunek i przyniósł transparent z balkonu, a później tego dnia, podczas lunchu z Josephem, powiedział:

- Nie czuję się lepiej niż wczoraj.

Na co Joseph odparł:

- Cóż, muszę przyznać, że wcale mnie to nie dziwi.

- Dlaczego nie?

- Wydaje mi się, że nikt nigdy nie czuje się lepiej. Trudno mi uwierzyć, że ludzie w ogóle się zmieniają.

Coleman był innego zdania.

- Wszyscy zmieniamy się pod ręką Pana. Biblia powiada, że Bóg dał Saulowi nowe serce. A nawet obu Saulom, królowi i temu drugiemu, Szawłowi, który został potem apostołem Pawłem. Ale nie chodziło mi o moje serce. Miałem na myśli ranę na podbródku.

- Aha. No cóż, muszę przyznać, że to mnie też nie dziwi.

- Dlaczego?

- Jeżeli cię nie pilnuję, żywisz się wyłącznie skrobią. Nie dostarczasz organizmowi nawet odrobiny białka. Ciekawy jestem, dlaczego nie przestrzegasz zasady głoszącej, że ciało człowieka jest jego świątynią.

Nad ich głowami krążyły cztery ptaki i Coleman zdał sobie sprawę, że znów go obserwują. Uciszył Josepha, podniósł rękę i już nie pozwolił mu się odezwać, dopóki nie skończyli jeść hamburgerów.

Minęło zaledwie kilka tygodni, odkąd poprosił Pana, aby wyjawiał mu imiona tych demonów, i poczuł, że Jego dłoń wiedzie go do restauracji Bristowa. Usłyszał tam dwóch mężczyzn rozmawiających o ptakach. „Wszystko sprowadza się więc do Laury ptaka”, powiedział pierwszy a drugi skinął głową i odparł: „Tak, to Laura ptak, na to wygląda”. Od tamtej pory Coleman wszędzie słyszał już ludzi rozmawiających o ptakach.

Laury ptaki. Laury ptaki. Ptaki Laury.

Wyglądało na to, że nie ma przed nimi ucieczki.

Minął ekskluzywny sklep z odzieżą i opustoszałe studio nauki tańca, po czym wkroczył w rozwartą paszczę, a później długą, rozdętą gardziel stacji kolejki podziemnej. Za zakrętem wiatr omal nie wyrwał mu z rąk transparentu, musiał więc obrócić tablicę bokiem, by nie rozluźnić uścisku. Słońce odbijało się od szyb i srebrnych elementów karoserii zaparkowanych na ulicy samochodów maleńkimi kuleczkami, przypominającymi sznury pereł, jakby nabijanych cienkimi kolcami światła. Były tak przeraźliwie jasne, że prawie nie dało się na nie patrzeć. Jakiś chłopak z szopą kędzierzawych, rudych włosów przejechał obok na desce, rzucając: „Prawda i Życie. Jestem z tobą, człowieku!”, a Coleman musiał się przez chwilę zastanowić, żeby przypomnieć sobie napis na swojej tablicy. Potem odwrócił się i krzyknął w ślad za znikającym już w oddali młodzieńcem:

- Zapomniałeś o Drodze. Pamiętaj o Drodze.

A chłopak podniósł rękę w geście pozdrowienia.

Resztę popołudnia i wczesny wieczór doktor spędził, krążąc wzdłuż umownych granic dzielnicy, czyli wzdłuż meandrycznego pasa ogrodzonych parkingów i opuszczonych budynków, tam gdzie zaczynały się ulice, wiodące w głąb opustoszałego miasta. Szukał ludzi, którzy jeszcze nie słyszeli Jego Słowa. Gdy wrócił do domu, na niebie świecił już księżyc, przypominający pustą, plastikową piłeczkę. Tak skończył się dzień czwarty.

*

Noc była długa, a kiedy rankiem Coleman otworzył oczy, nie wiedział, czy spał, czy nie, chociaż słońce stało już dość wysoko. Miał wrażenie, że coś mu się śniło, ale ilekroć próbował przywołać nocne wspomnienie, sen wymykał mu się i znikał wśród mrocznych cieni. Pamiętał tylko jedno - że ze wszystkich sił starał się nie ruszać i leżał tak bez końca w oczekiwaniu na osobliwe uczucie rozdwojenia rozlewające się po całym ciele, co zwykle oznaczało, że zapada w sen. Co do tego, czy w końcu faktycznie zasnął, nie miał jednak pewności.

I w tym wypadku Bóg wiedział zatem coś, czego nie wiedział Coleman, ale co może pewnego dnia Pan zechce mu objawić.

Na balkonie doktora przysiadły znów ptaki Laury, odstraszył je więc, otwierając i zamykając podwójne oszklone drzwi z nagłym głośnym trzaskiem, na którego dźwięk ptaki sfrunęły na dół, na ulicę. Potem włożył buty, wybrał nowy transparent i udał się do miasta. Po drodze wstąpił do sklepiku spożywczego mieszczącego się na najbliższym rogu, gdzie kupił torbę obranych młodych marchewek, żeby dostarczyć organizmowi witamin, i styropianową tackę suszonych kiełbasek koktajlowych, żeby dostarczyć organizmowi białka. Joseph miał słuszność - ostatecznie jego ciało było jego świątynią. Włożył marcheweczki do jednej kieszeni, a kiełbaski do drugiej. Idąc, czuł na udach lekki ucisk obu paczuszek, kołyszących się miarowo to w przód, to w tył, a ciężar ich rozkładał się niemal idealnie równo. I był to przyjemny ciężar, niczym brzemień zainteresowania 2e stro-

ny Pana Boga, dzięki któremu świat tkwił wciąż na swoim miejscu i nie rozpadał się na pojedyncze atomy.

Poranek był chłodny, słoneczny i spokojny, a na ulice miasta wyległy już setki mieszkańców. Sunąc między nimi, Coleman podniósł nagle głos i zawołał:

- Bracia i siostry! Moi liczni przyjaciele! Słuchajcie Słowa Bożego, albowiem Jego Słowo jest prawdą i sprawiedliwością!

I uniósł transparent wysoko nad głową, podtrzymując go obiema rękami, żeby każdy idący z naprzeciwka mógł go dobrze zobaczyć. Napis, wykonany dużymi, czarnymi jak smoła literami, głosił: BÓG JEST MIŁOŚCIĄ, chociaż na odwrocie doktor napisał również BÓG JEST NADZIEJĄ - tak na wszelki wypadek.

Minęło kilka godzin. Słońce skryło się za szczytem jakiegoś wieżowca, gdy Coleman przechodził koło warsztatu zegarmistrza, mieszczącego się po zachodniej stronie Park Street. Wiedział, że jest już południe, bo właśnie tę godzinę były stojące na wystawie zegary. Było ich kilkadziesiąt i wszystkie zostały starannie zsynchronizowane. Zatrzymał się na chwilę, żeby popatrzeć na pracę ich mechanizmów - wskazówki sekundowe śmigały wokół tarcz, a minutowe posuwały się naprzód drobnymi, niemal niedostrzegalnymi ruchami. Ruszył w dalszą drogę, kiedy wskazywały pięć po dwunastej, kierując się w stronę placu i podążając w ślad za cieniami chmur. Później zatrzymał się znowu, żeby nauczać ludzi stojących w kolejce przed jakąś kafejką, a kiedy z wnętrza wypadł jej właściciel, wymachując miotłą, Coleman wcisnął transparent pod pachę i uciekł. Niedługo potem znalazł się na cmentarzu, na którym pochował swój ząb.

Ułożone na krzyż słone paluszki zniknęły. Doktor rozglądał się uważnie, ale nie znalazł miejsca pochówku zęba.

Dookoła krążyło mnóstwo ptaków, na pozór szukających pożywienia w trawie, ale po dłuższej chwili Coleman zrozumiał, co naprawdę robią: szukały jego zęba, żeby go połknąć. Rozdziobały już paluszki, uniemożli-

wiając w ten sposób identyfikację grobu, a teraz postanowiły połknąć także ząb, wyciągnąć go z poświęconej ziemi i przenieść do ciemnych pieców swoich żołądków, żeby doktor już nigdy nie mógł go odzyskać.

Jak dotąd jeszcze go jednak nie znalazły - i jeśli Bóg mu dopomoże, nie znajdą.

Coleman znalazł grabie, wsparte o ścianę kościoła. Wziął je do ręki, a na ich miejscu postawił transparent.

- Wynocha stąd! Sio! - zawołał, przeganiając ptaki z cmentarza i wywijając grabiami z boku na bok, nisko nad ziemią, a potem nad głową, jak młotem. Uderzające o ziemię zęby grabi brzdąkały i brzęczały. Jedyne raz zaczepił nimi ptaka, przytrzaskując mu ogon i wyrywając pęk piór, które najpierw wzbiły się w powietrze, a później opadały powoli na trawę. Zraniony ptak zakwilił i odleciał, mocno pracując skrzydłami. Wylądował po drugiej stronie ulicy, na latarni. Coleman ściga! pozostałe ptaki, które podfruwały i podskakiwały w ucieczce, aż wreszcie, gdy zmęczył się już krzykiem i smaganiem trawy grabiami, ostatni z demonów odleciał. Cmentarz opustoszał - jego ząb był bezpieczny.

Za ogrodzeniem zebrało się kilkanaście osób, ale kiedy Coleman wypuścił grabie i spojrzał na nich, wszyscy spuścili wzrok i rozeszli się w różne strony świata, jak gdyby od początku wybierali się zupełnie gdzie indziej.

Znalazł dwa patyki, skrzyżował je, związał nitką wyrwaną z poły kurtki, a potem wbił je w ziemię, żeby zaznaczyć miejsce, gdzie, jak sądził, powinien spoczywać ząb. Wsparł znów grabie o ścianę kościoła, zabrał transparent i przez cały dzień wędrował po ulicach, głosząc Dobrą Nowinę Jezusową ochryłym, ale donośnym głosem. Wróciwszy do domu, odstawił transparent na balkon, usiadł w kącie łóżka i opróżnił kieszenie. Zjadł wszystkie kiełbaski i większość małych marchewek. Tak minął mu piąty dzień.

GDYŻ ZAWRZESZ PAKT Z KAMIENIAMI I PRZYJAŹŃ Z POL-
NĄ ZWIERZYNĄ. Tak brzmiało wielkie przesłanie miłosiernego Boga,
skierowane do cierpiących, pochodzące z piątego rozdziału Księgi Hioba,
wspaniałej Boskiej księgi poświęconej cierpieniu. Odkąd Coleman umarł,
obnosił po mieście transparent z tym napisem przynajmniej raz w tygodniu
jako znak łaski Boga i Jego tajemnicy, uważał bowiem Księgę Hioba za
najbardziej tajemniczą księgę Starego Testamentu i czczył ją najbardziej ze
wszystkich świętych tekstów, a dopóki żył, zastanawia! się często, czy ten
werset z Księgi Hioba (5,23) nie jest zarazem obietnicą i zapowiedzią
śmierci. Tekst zdawał się przecież sugerować, że Bóg okazuje miłosierdzie
cierpiącym, pozwalając im umrzeć. Czy Izraelici mogli rozumieć zdanie
„zawrzesz pakt z kamieniami" inaczej niż jako stwierdzenie, że umrą i zo-
staną pochowani pośród swoich przodków?

„To zdanie znaczy, że Izraelici będą żyli w pokoju na Ziemi, nie w
grobie" - odezwał się pierwszy głos.

A drugi odparł: „Ale Bóg w śmierci stworzył dla swego ludu nową
Ziemię".

Na to odpowiedział mu głos pierwszy: „Powiedz mi zatem, Mędrco,
na której Ziemi jesteśmy?"

Tym razem jednak drugi głos już się nie odezwał.

Późnym popołudniem stojący na ławce Coleman nauczał grupkę słu-
chaczy przed wejściem do klubu fitnessu, ^jedy zobaczył tamtych dwóch
chłopców, którzy wybili mu ząb. Nieśli rakiety tenisowe i torby ze sprzę-
tem gimnastycznym. Pierwszy z nich trzepnął drugiego rękamiem w tyłek,
a potem wyciągnął rękę i swawolnym gestem schował wystającą metkę je-
go koszuli za kołnierzyk, łaskoczac delikatnie kolegę. Na ten widok Cole-
man zeskoczył z ławki i krzyknął:

- Bóg was miłuje. Miłuje was i uzdrowi, jeśli tylko oddacie Mu się w opiekę.

Chłopcy sprawiali wrażenie zakłopotanych. Unikali wzroku doktora, a pierwszy szepnął coś drugiemu do ucha. Wydawało się, że powiedział „To znowu on”, chociaż równie dobrze mogło to być „Na trzy” albo nawet „Czyja teraz kolej?” - Coleman nigdy nie umiał dobrze czytać z ruchu warg - po czym obaj zaczęli się oddalać bardzo szybkim krokiem. Próbował ich dogonić, ale stracił chłopców z oczu na placu w centrum handlowym, a potem, okrążając biegiem drewniany kiosk, uderzył się boleśnie w ramię i z nim zdażył zmiarkować, co się święci, siedział bez ruchu na ziemi z transparentem leżącym na jego kolanach.

- Nic się panu nie stało, panie Coleman?

Pochylała się nad nim jakaś dziewczyna. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat, a w jej szeroko otwartych oczach malowało się współczucie. „Skąd ona może wiedzieć, jak się nazywam?” - pomyślał.

- Widzę tu pańskie nazwisko - wyjaśniła, i wtedy doktor zrozumiał, że przeczytała hasło na transparencie, na którym widniał przecież także jego podpis: doktor Coleman Kinzler.

- Niech pan pozwoli, pomogę panu - powiedziała a kiedy dźwignął się na nogi, dodała: - Mam na imię Sarah.

- Umiłowana żona Abrahama.

Dziewczyna przecząco potrząsnęła głową.

- Bierze mnie pan za kogoś innego. Ja nie mam jeszcze męża.

- „Wreszcie Pan okazał Sarze łaskawość, jak to obiecał, i uczynił jej to, co zapowiedział”.

Dziewczyna zaczęła chyba żałować, że wyjawiała Colemanowi swoje imię. Przez dłuższą chwilę przyglądała mu się w milczeniu. Przypominał

jej nakręcaną, mechaniczną zabawkę i spodziewała się nawet, że z jego głowy lada moment wystrzeli figurka klauna na sprężynie. Potem zapytała:

- Na pewno nic się panu nie stało? Jestem umówiona z mamą, śpieszę się.

Coleman przypomniał sobie Biblię, którą podarował kiedyś nieznajomej Hindusce.

- Tęsknię za moją Biblią - powiedział.

- Trzyma pan ją w dłoni.

Istotnie, miał przy sobie Biblię, myślał jednak o innym wydaniu tej książki, bliskim jego sercu od wielu długich lat. Mimo to odpowiedział:

- Dziękuję ci bardzo serdecznie. Dobra z ciebie dziewczyna.

- Nie ma o czym mówić - odrzekła Sarah z nieznacznie wznoszącą się intonacją, jak gdyby zadawała doktorowi pytanie, a Coleman odprowadził ją wzrokiem, gdy przechodziła powoli na drugą stronę placu.

Odczekał, dopóki całkiem nie zniknęła mu z oczu, po czym podniósł transparent, zwrócił się do najbliższego przechodnia i znowu zaczął głosić Słowo Boże. Tłumaczył, klęski spadające na Hioba były dla niego sprawdzianem wytrwałości, który wymyślił szatan, owszem, tak, by- ję one jednak także sprawdzianem dla Boga. Jakiś mężczyzna zaczął oblepiać kiosk ulotkami i Coleman zapytał go, czy zna Nowinę, Dobrą Nowinę Jezusa Chrystusa, ale nieznajomy dmuchnął mu prosto w twarz niebieskoszarym dymem z papierosa i odszedł. Wtedy doktor zagadnął jakąś młodą kobietę na wysokich obcasach, która śpieszyła do pobliskiej księgarni, a gdy dziewczyna rzuciła mu garść drobnych, zaczął następną osobę.

I tak upłynął mu ten dzień.

Wieczorem bolały go nogi i kość ogonowa. Zdjął buty, napełnił wiadro ciepłą wodą i wyniósł je na balkon, otwierając oboje oszklonych drzwi. Zanurzył ścierpłe nogi w wodzie i poczuł, jak odrętwienie stopniowo ogarnia

całe jego ciało, zatrzymując się gdzieś na wysokości ramion. I siedział tak na zardzewiałym krześle ogrodowym, patrząc, jak gaśnie słońce.

I był to szósty dzień.

Potem Coleman odpoczął.

TLR

— ROZDZIAŁ ÓSMY —

Wirus

Więc Puckett i Joyce dotarli jednak do stacji. Jechali tą samą trasą, którą podróżowała Laura, wzdłuż zachodniego krańca kontynentu, a później w dół z biegiem strugi lodów i dalej, przez ściśnięte lodem morze. Zgodnie z zapiskami z dziennika Joyce'a pogoda była dla nich łaskawa, wiał bowiem rześki wiatr, a opady śniegu zmniejszały się z każdym dniem. Kiedy dotarli do lodowych szczelin i poszarpanych brzegów lodowej strugi, kilka pozostałych wciąż na niebie kłębiastych chmur rozwiało się zupełnie. Dzień albo dwa stracili na naprawę pękniętej płozy. Kilkakrotnie natrafiali na tak szerokie szczeliny, że nie mogli pokonać ich na saniach. Jak zawsze, kłócili się, oczywiście, kiedy zatrzymywać się na nocny wypoczynek i wyruszać rano w dalszą drogę, poza tym jednak podróż minęła im w pełnej zgodzie.

Kłopoty zaczęły się właściwie dopiero, kiedy dotarli na stację.

WPIS SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY, 25 LUTEGO. Jesteśmy na miejscu. Nareszcie. Wjechaliśmy na teren obozu około południa i krótką ścieżką ruszyliśmy do drzwi wejściowych. Cudownie jest zobaczyć ślady butów na śniegu zamiast nieskończonej, gładkiej bieli lodu. Poczujęm się jak Robinson Crusoe na plaży tej jego wyspy. P. zaczął walić w drzwi w nadziei, że ktoś nam otworzy. Po chwili istotnie, drzwi nam otworzono, ale nie od wewnątrz, bo okazało się, że cała załoga jest na dworze, na tyłach domu. Było ich sześciu. Wyłonili się ciężkim krokiem zza węgła, niosąc kilofy i szpadle. Powiedzieli: „Wreszcie przyjechaliście”, „Nie słyszeliśmy silników” i „Niewiele brakowało, żebyśmy się z wami rozminęli”. Nie wiedziałem, za kogo nas biorą. Wyjaśniłem im, w jakich jesteśmy opałach, i zapytałem, czy możemy sko-

rzystać z ich sprzętu, żeby się skontaktować z naszym biurem w Atlancie. Wyglądali na skrajnie przygnębionych. Odpowiedzieli, że oczywiście możemy spróbować nawiązać łączność z centralą, ale... No właśnie, owo „ale” najwyraźniej oznaczało, że nam się to nie uda. I rzeczywiście, nie udało się. Radio wprawdzie działało, podobnie jak telefon komórkowy i komputer, ale po drugiej stronie nikt się nie zgłaszał. Jeden z członków załogi stacji poinformował nas, że nie mogą nawiązać kontaktu z nikim już od wielu tygodni, a dokładnie od ostatniego zrzutu ładunku sprzętu i zapasów żywności. P. zapytał go, jak się nazywa. „Meatyard” - odpowiedział, po czym wskazał spis dyżurów na tablicy, gdzie istotnie widniało jego nazwisko. Jednak nazwisk na liście było w sumie dwadzieścia. „A gdzie reszta załogi?” - zapytałem, na co Meatyard odparł: „Nie ma żadnej reszty. Zostało nas tylko sześciu. Waśnie pochowaliśmy Mongno za budynkiem stacji. Mieszkając z nami, ryzykujecie życie”. Potem opowiedzieli nam o tragedii, jaka ich spotkała. Podobno wraz z ostatnim ładunkiem na stację dostał się jakiś wirus. Puckett: „A co dokładnie było w ostatniej dostawie?”. Odpowiedział mu inny członek załogi (Turner? A może Dykstra?): „Żywność, napoje chłodzące, środki czystości. Nic niezwykłego. Prosiliśmy o tygiel laboratoryjny do badania plazmy, ale zapomnieli go nam przywieźć”. Ja: „A kiedy wasi ludzie zaczęli chorować?”. Turner (albo Dykstra): „Dziewięć dni później. Wtedy zauważyliśmy pierwsze symptomy. Najpierw zachorował Washington. Po dziesięciu dniach [uwaga: wydaje mi się, że chodziło mu o dziesiąty dzień od początku choroby, a nie od zrzutu, ale nie jestem tego pewien], przeniósł się na tamten świat”. Potem znów zabrał głos Meatyard: „My, którzy zostaliśmy jeszcze przy życiu, powinniśmy pobrzękiwać ostrzegawczo dzwoneczkami i wołać, że jesteśmy nieczyści”. Dodał, że ze wszystkich doniesień wynikało, że wirus atakuje bardzo szybko. P. zapytał, o jakich doniesieniach mówi, a wtedy pozostali przy życiu członkowie załogi pokazali nam wydruki ściągniętych z sieci artykułów prasowych. Było ich kilkanaście. Londyn, Nowy Jork, Bombaj. Wirus wywołał najwidoczniej światową epidemię i trzeba przyznać, że sytuacja nie wygląda cieka-

wie. Umierają setki tysięcy, jeśli nie miliony ludzi. Jezu. Zacząłem myśleć o Karen, Jessice, Marcusie, mamie i tacie. Kurwa jego mać. Kurwa mać. Jezu. Moi rodzice. Tyłu ludzi umiera. Muszę się jednak zachowywać z godnością. Przykro mi. Nic dziwnego, że nie możemy nawiązać kontaktu z Coca-Colą. Mimo to jestem pewien, że prędzej czy później uda się nam jednak z kimś połączyć - bo przecież chyba o nas nie zapomnieli? Prędzej czy później. Prędzej czy później. To tylko kwestia czasu. W każdym razie Puckett i ja postanowiliśmy spożywać tylko tę żywność, którą przywieźliśmy ze sobą. W ten sposób zmniejszymy ryzyko zakażenia. Jeden z członków załogi (niejaki Sayles) w trakcie rozmowy przez cały czas krzywił się, przetykał nerwowo ślinę, drżał na całym ciele i tarł swędzące oczy. Dziwnie oddychał, jakby próbował powstrzymać się od kichania. Co chwila zapierało mu dech. „Co mu jest?” - zastanawiałem się. Okazało się, że to samo, co tym wszystkim członkom załogi, którzy zostali już pochowani na tyłach domu. Sayles zmarł jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem. To już piętnasta ofiara. Ktoś mi kiedyś powiedział, że podczas zachodu słońca ludzie umierają częściej niż o jakiegokolwiek innej porze dnia. Zachód słońca i śmierć, noc i grób, tu koniec i tam koniec. Czy to prawda?

Prawda - co do joty.

Laura doskonale pamiętała, gdzie Joyce usłyszał to, co zanotował w dzienniku o śmierci i zachodzie słońca. Pamiętała zwisające nieruchomo czerwono-białe proporce, popiskiwanie w głośnikach, a nawet stolik, przy którym wtedy siedział. A pamiętała to wszystko tak dokładnie, bo była przy tym obecna.

Działo się to przed rokiem, w lipcu, na corocznym bankiecie dla pracowników koncernu Coca-Cola, zaledwie dwa miesiące przed ich wyjazdem na Antarktydę. Puckett i Joyce siedzieli wtedy przy osobnych stolikach, w otoczeniu kolegów ze swoich działów, podobnie jak Laura, w przeciwległym kącie sali. Widziała, jak Joyce ze znużeniem kiwa głową,

rozmawiając przez telefon komórkowy, a Puckett paznokciem małego palca wydlubuje spomiędzy zębów resztki jedzenia, zasłaniając usta zwiniętą w pięść drugą dłonią. Z ich trójki, wyznaczonej już na członków ekspedycji, przynajmniej ona, Laura, bała się tego wyjazdu i mimo woli zawsze wodziła wzrokiem za swoimi przyszłymi towarzyszami niedoli, ilekroć znajdowali się razem w jednym pomieszczeniu. I teraz też - pomiędzy stolikami, proporczykami i pełnymi kwiatów wazonami, pośród tysięcy innych gości uczujących na bankiecie, widziała tylko Pucketta i Joyce'a, pomrużujących do niej i dających jej znaki niczym latarnie ostrzegawcze na odległych wzgórzach.

Już wtedy uważała, że wszyscy troje padli ofiarą nieszczęścia, ale nie wyobrażała sobie nawet, jak olbrzymi będzie jego zasięg.

Jeden z kelnerów pochylił się, by nalać jej wody z dzbanka, ale zakryła szklanekę dłonią i powiedziała: „Dziękuję, nie chcę więcej”. Kobieta siedząca bezpośrednio za nią, żona albo kochanka któregoś z członków zarządu, uderzyła otwartą dłonią w stół i parsknęła śmiechem, słysząc kawał, który opowiedział ktoś przy jej stoliku. Kierownik sali, w koszuli i krawacie, żeby nie wyróżniać się w tłumie gości, przyklęknął na chwilę, niby po to, żeby zawiązać but, ale przy okazji wytarł rozlane na dywanie wino. Potem ukradkiem wcisnął serwetkę do kieszonki koszuli, poprawił krawat i wstał.

Laureatem dorocznej nagrody dla Pracownika Roku został Lindell Trimble, wiceprezes firmy, szef działu PR, dzięki któremu sprzedaż napojów gazowanych wzrosła w dużych miastach o jedną czwartą, w małych miasteczkach natomiast o jedną trzecią. To Trimble wymyślił, jak twierdził, tak zwaną grafficiarską środowiskową kampanię reklamową. Wykorzystywała ona sztukę graffiti, a pomysł polegał na tym, żeby wynajmować grafficiarzy do malowania reklam coca-coli na chodnikach, murach, stołach piknikowych, drzewach i autobusach - słowem, na wszystkich powierzchniach publicznych, na których mogły zwracać uwagę odbiorców. Artyści malowali więc między innymi kobiety i mężczyzn, pijących napoje firmy i mówiących „Aaach!”, martwe natury, sygnowane jedynie „fala” Coca-

Coli i inicjałami C. C., oraz krótkie hasła reklamowe, przypominające zawołania gangów motocyklowych: „Spróbuj coli”, albo „Coca daje kopa!”. Graffitiarze robili napisy czarną farbą w aerozolu. Oczywiście firma musiała płacić kary za zanieczyszczenie powierzchni, a czasem nawet za naruszenie porządku publicznego, ale środki na grzywny zostały przewidziane w budżecie i były mikroskopijne w porównaniu z kosztami, jakie trzeba by ponieść za legalne wynajęcie powierzchni reklamowej na tylu różnych obiektach użyteczności publicznej. Kilkoro wynajętych przez koncern artystów zostało aresztowanych, a jeden z nich, pracujący w miasteczku Rison w stanie Nebraska, został nawet pobity przez policjantów i wylądował w szpitalu z dwoma złamanymi żebrami.

- Był to wypadek godny pożałowania, który zdecydowanie należałoby zapisać po stronie minusów kampanii - powiedział Lindell Trimble, kiedy wszedł na scenę, żeby odebrać pamiątkową statuetkę dla Pracownika Roku. - Ale po stronie plusów należałoby odnotować to, że odnieśliśmy sukces w pewnych środowiskach w Dallas, Miami czy Detroit i że nasze reklamy malują tam ludzie, których wcale nie wynajmowaliśmy. Młodzi ludzie, którym się wydaje, że robienie takich rzeczy jest cool. Wiecie, zbuntowane nastolatki i tak dalej.

Tu Trimble pociągnął łyk wina.

- Jestem pewien, że reszta zespołu z działu PR i reklamy przyzna mi rację, jeśli powiem, że najtrudniej jest dotrzeć właśnie do młodzieży w tym wieku. Tak jest, bez wątpienia. Był to zatem dla nas dobry rok. Co nie oznacza, że możemy się położyć brzuchem do góry i już nic więcej nie robić. Przeciwnie. Właśnie wtedy, kiedy człowiek kładzie się brzuchem do góry z założonymi rękami, ucieka z niego cała energia i zapał, a dla takiej firmy jak Coca- -Cola utrata energii i zapału oznacza po prostu śmierć. Ludzie umierają częściej o zachodzie słońca niż o jakiegokolwiek innej porze dnia: to fakt. A zatem problem polega na tym, żeby nie pozwolić słońcu zająć. O to właśnie nam chodzi i o to my, ludzie z działu PR, walczyliśmy

tak zażarcie: o słońce, które nigdy nie zachodzi. Chcemy wiecznego południa. Dziękuję wam.

Odczekał, aż wybrzmia owacje, zakończone kilkoma przypominającymi trzask prażonej kukurydzy oklaskami, a potem wznosił milczący toast, opróżnił kieliszek, przechylając go niemal do góry dnem, i zszedł z mównicy. W tym momencie włączył się automatyczny system bezpieczeństwa, emitując tańczące po całej sali promienie światła, przecinające się w powietrzu w poszukiwaniu broni palnej i ładunków wybuchowych, i Lindell Trimble potknął się i upuścił kieliszek, kiedy jeden z promieni go oślepił.

- Do diabła - Laura usłyszała czyjś szept. Jak przypuszczała, był to głos szefa ochrony budynku. - Przecież kazałem im wyłączyć te cholerne czujniki na dzisiejszy wieczór.

Lindell Trimble znowu się uśmiechnął i powiedział:

- No tak. Dostałem się w krzyżowy ogień.

Z całego tego wieczora Laura najlepiej zapamiętała urywany śmiech, który rozległ się wtedy gdzieś na sali i natychmiast umilkł, ponieważ nikt do niego nie dołączył.

WPIS SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY, 5 MARCA *Zostało ich już tylko dwóch. Tylko Meatyard i Weisz. Tego ranka P. i ja pomogliśmy im pochować Turnera na tyłach budynku. Była to ciężka robota. Wykopaliśmy dół głęboki na pół metra, a potem przysypaliśmy ciało lodem. Musieliśmy uformować masę lodową w coś w rodzaju pagórka, żeby wichura nie rozwiała mogiły. Powiedziałem, że to lodowiec szelfowy, co oznacza, że pod grobami znajduje się ocean, a nie stały ląd. Na to Weisz: „W naszej sytuacji to chyba mało istotne, nie sądzisz?”. Miał rację. Za kolejne sto lat, kiedy lodowce roztopią się całkowicie, na dnie oceanu spocznie długi szereg zbieleiałych szkieletów, ale czy ktoś je kiedykolwiek znajdzie? A jeśli z jakichś przyczyn klimat znów się zmieni i*

lód się nie roztopi, to pozostanie w nim osiemnaście zamrożonych ciał, zachowanych w doskonałym stanie, nawet w nienaruszonych ubraniach. Powiniennem powiedzieć, co najmniej osiemnaście. Ale i w takim wypadku nikogo to nie będzie obchodziło, bo nikt tych zwłok nigdy nie odkopie. W zeszłym tygodniu P. i ja spędziliśmy nie mniej niż dwadzieścia godzin, usiłując się połączyć z centralą Coca-Coli - a prawdę mówiąc, usiłując nawiązać łączność z kimkolwiek. Bez powodzenia, po trzykroć bez powodzenia. Nie ukazują się już internetowe wydania gazet codziennych. Sygnały radiowe są słabe i rozproszone. Nikt nie odbiera telefonów albo włączają się tylko automatyczne sekretarki. Wszystko wskazuje na to, że wirus zebrał śmiertelne żniwo na całym świecie. Jakiego słowa szukam? Nie „epidemia”, tylko...? Nie mogę sobie przypomnieć. Szkoda, że nie jestem chodzącym słownikiem. Albo encyklopedią. Albo jeszcze lepiej: szkoda, że nie jestem reporterską kamerą telewizyjną, która szybko przemieszcza się przed siebie lub krąży wokół miejsc wypadków drogowych. Bo jak inaczej mógłbym się teraz dowiedzieć, co się dzieje na świecie? Spędziłem całe popołudnie, spierając się z Puckettem o to, co powinniśmy zrobić - zostać, wyjechać czy przygotować się na atak wirusa. Jak dotąd, nie zauważyliśmy u siebie symptomów choroby. „Ale długo już nie pociągniemy - oświadczył Puckett. - Właściwie umarliśmy w chwili, kiedy zapukaliśmy do drzwi tej stacji”. Na to ja: „Nie wiadomo. Może nie zostaliśmy zarażeni. Albo jesteśmy odporni na wirusa. Na litość boską, przecież ktoś musi być odporny na tę chorobę”. Puckett uważa jednak, że jestem naiwny. Meatyard i Weisz są tego samego zdania. Z jednej ze stron internetowych dowiedzieliśmy się, że wirus przenosi się z człowieka na człowieka, a w skupiskach ludzkich, żyjących w jakichś odizolowanych pomieszczeniach, dochodzi do infekcji nawet wtedy, kiedy mieszkańcy nie wchodzi ze sobą w bezpośredni kontakt fizyczny. Należy zasłaniać usta, kaszląc, i starać się nie dotykać klamek gołymi rękami. Skąd my to znamy? Pandemia. Właśnie tego słowa szukałem. Pandemia. Podobno na drugim brzegu Wyspy Rossa, w okolicach siedliska pingwinów, jest zapasowe radio. Meatyard nazywał je „dzwonem”. „To niezbyt wielka,

ale potężna zabawka " - powiedział. Uważa, że istnieje cień szansy - tylko cień, ale zawsze - że uda nam się połączyć z kimś przez ten nadajnik, jeżeli znajdziemy nowy kanał łączności. Czy powinniśmy wyruszyć na drugi brzeg? Jeśli sytuacja się pogorszy, zapewne nie będziemy mieli innego wyboru. Codziennie jest coraz zimniej. Zima, ubywa słońca, w skorupie lodowej zablizniają się szczeliny i pęknięcia. Ocean się cofa. Ciągle myślę o Shannon, Kenie i wszystkich w Pensylwanii. Ciekawy jestem, co u nich. Nie, jednak powiem prawdę. Tak naprawdę zadaję sobie pytanie, czy oni w ogóle jeszcze żyją. Dwa dni temu P. i ja mieliśmy wyruszyć w drogę powrotną. Mam na myśli powrót do naszego polarnego domku, nie do domu. Chociaż szczerze mówiąc, do domu mieliśmy przecież wrócić już dawno. Próbowaliśmy dziś rano skontaktować się z Laurą w nadziei, że może jakimś cudem udało się jej zreperować nadbiornik, ale nie nawiązaliśmy z nią łączności. Pewnie myśli, że nigdy już nie wrócimy.

Wkrótce po znalezieniu dziennika Joyce'a Laura powróciła do swoich dawnych zwyczajów i znów zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju, licząc kroki, tak jak przedtem w domku za górami. Przyszło jej do głowy, że może po prostu próbuje w ten sposób zostawić to wszystko za sobą. Pokoje na stacji łączyły się w amfiladzie na planie okręgu, a w każdej ścianie działowej były drzwi, mogła więc krążyć w kółko bez końca. Czasami doliczała się tysięcy, a nawet dziesiątków tysięcy kroków, stawianych pod wpływem tej samej ślepej kompulsywności, która każe samobójcom skakać z dachu. Z pokoju frontowego przechodziła do kuchni, potem do jadalni, sypialni i salonu, i jeszcze raz, i znowu, aż wreszcie przystawała bezmyślnie przy kanapie albo jednym z łóżek, po czym osuwała się na wznak na poduszki, ze sztywno wyprostowanymi nogami i wyciągając przed siebie ręce, jak dziecko bawiące się w berka.

Była to jedna z tych odruchowych, powtarzalnych czynności, które wykonuje człowiek, żeby uśmierzyć dręczący go niepokój. Jedni kołyszają się na przykład w przód i w tył; tańczą albo bębnią palcami o stół. Drudzy idą pakować na siłowni - a Laura krążyła w kółko po mieszkaniu.

Chodziła szybkim i stanowczym, niemal marszowym krokiem, i taka wędrówka zawsze rozjaśniała jej w głowie - przynajmniej na chwilę. Ale gdy tylko zatrzymywała się, żeby odpocząć, zaczynała myśleć o swoich przyjaciółach i rodzinie, a nawet najdalszych znajomych. Ba, wspominała najbardziej przelotne kontakty z właściwie obcymi jej ludźmi, którzy już chyba nie żyli. Słyszała w myślach wszystko, co do niej mówili, a ich słowa tłukły się o siebie jak muchy o szybę. Łup - i oto niejaki Martin Campbell (chłopak, którym zajmowała się kiedyś jako opiekunka do dzieci) wskakuje na jej kolana i pyta: „Czy lew jest silniejszy od tygrysa? Albo rekin od aligatora?”. Łup - i oto jej listonosz puka do drzwi (leżała wtedy w łóżku chora na grypę) i mówi: „Powinna pani wreszcie zacząć wyjmować korespondencję, panno Ptack, bo inaczej nie wcisnę nic więcej do skrzynki. Ach, no i... Na zdrowie”. Łup - i oto zwraca się do niej jej szef: „Nie obchodzi mnie, że myślisz, że zostałam w to wszystko wmanewrowana. Nie możesz się wycofać na tym etapie, Lauro. Jesteś naszą pracownicą, jedziesz na Antarktydę i kropka”. Łup - i oto słyszy ich wszystkich jednocześnie, nie tylko swojego szefa, listonosza i Martina Campbella, ale wszystkich: dobiega ją ogromny, tłumny gwar, jak gdyby mówiły do niej miliony głosów wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek poznała.

Mieszkała na stacji już trzy albo cztery tygodnie i posoli odzyskiwała siły. Nie czuła się już taka obolała, gdy wstawiała rano z łóżka. Ból w plecach ustąpił, podobnie jak wrzody w ustach i dziwne, jakby elektryczne mrowienie w palcach u rąk i nóg. Niemal czuła, jak włókna jej mięśni zra- stają się na nowo i stają się znowu silne, sprężyste i twarde niczym kolczu- ga. Wprawdzie na lewej nodze ciągle miała siniaka, którego sobie nabiła, kiedy wpadła na sanie, ale był już żółty i powoli znikał. Właściwie w ogóle nie czuła w tym miejscu bólu.

W chłodni stały setki kartonów z warzywami i porcjowanym mięsem. W spiżarni było mnóstwo ryżu, fasoli i mąki, a także skrzynki z napojami gazowanymi i wodą mineralną. Nie zjadłaby tego wszystkiego, nawet gdy-

by mieszkała tu jeszcze przez rok, nie była jednak pewna, czy powinna dłużej zostać na stacji. Jeżeli Joyce nie mylił się w swoim dzienniku i wirus faktycznie dostał się tutaj razem z ostatnią dostawą zapasów, istniało poważne prawdopodobieństwo, że żywność jest zakażona. Niestety, bez odpowiedniego sprzętu nie mogła przeprowadzić badań na obecność wirusa - a zresztą i tak nie wiedziałyby właściwie, czego szuka. Pewność, że zachorowała, zyskałyby dopiero, opadając z sił i umierając - ale przecież już od kilku tygodni spożywała żywność ze stacyjnych zapasów i jak na razie nie dostrzegła u siebie żadnych objawów infekcji. Wręcz przeciwnie, czuła się znacznie lepiej niż w dniu przyjazdu.

Więc może wirus już wyginął? Może potrzebował słońca, żeby się rozmnażać, i wielu nosicieli, żeby przetrwać? A może po prostu czekał na dogodny moment, rozwijając się w jej krwi i pozostawiając za sobą ślady lśniącego, srebrzystego śluzu, gdy podpełzał powoli coraz bliżej serca?

Bez względu na to, jaka była prawda, Laura nie miała w zasadzie żadnego wyboru. Musiała żywić się dalej zapasami z chłodni i spiżarni. Rezerwy żywności, którą przywiozła ze sobą, stopniały do zaledwie paru paczek batonów i kilku twardych biskwitów. Jeżeli ma zachorować, to i tak zachoruje.

Łup - i oto słyszy głos swojej matki, która mówi: „Kochanie, chyba wiesz, że jeśli będziesz spać przy wentylatorze włączonym na cały regulator, to dostaniesz gorączki?”. Łup - i oto jej były chłopak mówi: „Nie wiesz, że słowo »komunikacja« ma taki sam temat, jak słowo »komunikowalny«?”. Łup - i oto mężczyzna siedzący obok niej w meksykańskiej restauracji La Hacienda oświadcza: „Słodki, wielki Boże, jaki jestem głodny!” i wsuwa sobie serwetkę za kołnierzyk niczym dziecięcy śliniak. Wydawało się jej, że nie zna tego faceta, chociaż musiała przecież gdzieś kiedyś go poznać. Później znów zaczęła krążyć po stacyjnych pokojach.

Był to pierwszy tydzień zimowych ciemności tej zimy. Od czasu do czasu ogarniał ją dziwny niepokój, nigdzie nie mogła sobie znaleźć miejsca, a niezmienna trasa kolistych wędrówek już się jej znudziła, więc otwie-

rała drzwi i czasami spacerowała przed domem, oczywiście zawsze w odzieży ochronnej, czyli w kurtce, wysokich butach, maseczce na usta i grubych rękawicach. Wpatrywała się w księżyc, gwiazdy, postrzępioną warstwę cirrusów albo w apaszki jutrzeńki, które z uwagi na wyjątkową przejrzystość powietrza wydawały się wisieć zaledwie kilka metrów nad lodem. Łukowe lampy co pewien czas włączały się automatycznie z cichym kliknięciem, a z wentylatorów wyciekały na zewnątrz strużki czystej, ciepłej wody. Było dość zimno, żeby mróz ściał jej oddech w jednym mgnieniu oka, a w rzadkich bezwietrznych chwilach, wypuszczając powietrze z płuc, słyszała, jak na ziemię opadają tysiące drobniutkich lodowych igiełek, pobrzękujących niczym maleńkie dzwoneczki.

Chociaż spędziła na Antarktydzie już tyle czasu (czyli właściwie ile? Sześć miesięcy? Siedem?), gmerała wciąż po kieszeniach w poszukiwaniu klucza, ilekroć wracała do domu, i na ułamek sekundy ogarniała ją panika, gdy odkrywała, że nic w nich nie ma. Dopiero potem przypominała sobie, że drzwi nie są zamknięte, bo przecież nikt ich tu nigdy nie zamyka, i wtedy jej serce znów zaczynało bić normalnym rytmem. Powtarzało się to setki razy.

Zastanawiała się, ilu jeszcze różnym bezużytecznym zwyczajom hołduje. Do głowy bez namysłu przychodziły jej co najmniej dwa: po pierwsze, po posiłku ciągle zostawiała na dnie garnka trochę zupy, żeby nikt nie mógł jej oskarżyć, że wyjadła wszystko, a po drugie, ciągle pokaśływała cicho przed otwarciem drzwi do łazienki, na wypadek, gdyby ktoś siedział w środku. Nauczył ją tego ojciec. Sądziła, że innych bezużytecznych obecnie przyzwyczajień zdołała się już pozbyć - przyzwyczajień, które nabyła, żyjąc przez niemal całe życie wśród ludzi. Z pewnością jednak nie wszystkich swoich nawyków była świadoma, nie mogła się więc ich pozbyć, choć tutaj - na dnie świata - nie były jej potrzebne.

„Na dnie świata”. Pomimo długich lat nauki w szkole i na studiach ciągle tak właśnie myślała o tym miejscu. Kiedy była mała, sądziła, że gdyby zaczęła kopać dół na podwórku i kopała dość długo, najpierw minęłaby

środek Ziemi i w końcu przekopałaby się na jej drugą stronę. Wyobrażała sobie, że tam, po drugiej stronie, wszystko będzie odwrotnie, do góry nogami, inaczej niż powinno. Że chmury są tam jak góry i że tamtejsze niebo przypomina błękitne jezioro, a gwiazdy wyglądają jak wygładzone przez wodę białe kamyki, spoczywające na jego dnie. Ludzie mieszkający po drugiej stronie Ziemi chodzili po suficie świata niczym pająki. Oczami wyobraźni widziała, jak trzymają się kęp trawy podczas silnych wiatrów, by nie dać się porwać i nie ulecieć na zawsze w przestrzeń kosmiczną. Ta myśl napawała ją przerażeniem. I właśnie wtedy uznała, że „dno świata” jest miejscem, którego za nic nie będzie chciała odwiedzić.

Nigdy by się nie domyśliła, że pewnego dnia zamieszka na biegunie - już nawet nie „na dnie”, ale na „dnie dna” świata. Nigdy by nie odgadła, że niemal na pewno tu umrze. Ale z drugiej strony, nie domyślała się też wielu innych rzeczy w swoim życiu. Na przykład, że przestanie kochać mężczyznę, z którym się spotykała, gdy studiowała w college'u, i że już nigdy więcej się do niego nie odezwie. Albo, że obroniwszy pracę magisterską z biologii środowiskowej, dostanie pracę w Coca-Coli. Albo, że jej ojciec przeżyje dwa poważne i jeden mniej groźny zawał.

- Jesteś jak twoja matka - usłyszała jego głos. - Na dworze może być nawet trzydzieści stopni, ale kiedy tylko włącza się klimatyzacja, obie zawsze narzekacie, że trzęsiecie się z zimna. Łup.

WPIS SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY, 11 MARCA „*Ot, i koniec Murzyniątek*”. *Nikt już nie został przy życiu. „Popioły, prochy, ludzie padają jak muchy”. Jak brzmiała najstarsza wersja tej piosenki? „Apsik, apsik, ludzie padają jak muchy”. Jeżeli się nie mylę, powstała chyba podczas zarazy, nie pamiętam jednak, kto mi o tym powiedział. Wers mówiący o „rumieniu na buzi” odnosił się do czerwonych plam na skórze chorych, „kieszek pełna kwiatów” upamiętniała fakt, że zmarłych obsypywano kwiatami, a „apsik, apsik” wzięło się stąd, że zarazieni niedługo przed śmiercią dostawali napadów kichania. Moim zdaniem „popioły” też jednak pasują. „Popioły”. Czuję się jak człowiek*

który ocalał po wybuchu wulkanu, jestem jednym z tych wycieńczonych szczęśliwców, którzy wygrzebują się ze zgliszcz, kiedy jest już po całej cholernej tragedii, a potem opowiadają, że schowali się w studni albo uciekli w góry, żeby tam przeczekać katastrofę. Wczoraj umarł Weisz. Pochowaliśmy go dzisiaj rano. Odszedł ostatni z obsady stacji. Przez ostatnie dwa dni był w bardzo kiepskiej formie. Powinienem chyba powiedzieć, że śmierć była dla niego błogosławieństwem, ale moim zdaniem nic, co się tu dzieje, nie zasługuje na miano błogosławieństwa. Raczej klątwy. Cholernej, pieprzonej klątwy. Jezu. Co za masakra. Zostaliśmy już tylko ja i Puckett. Udało nam się znaleźć jeszcze więcej informacji w sieci - fragmenty dziennika albo pamiętnika jakiegoś licealisty. Chłopak twierdzi, że inkubacja choroby trwa kilka godzin albo najwyżej dni. Oto, co napisał: „Kilkoro z nas wciąż nie ma żadnych objawów. Zaszyliśmy się na sali gimnastycznej, z dala od innych ludzi, chociaż gdyby nie ta głupia kwarantanna, już dawno by nas tu nie było. Ale wygląda na to, że nie ma żadnej możliwości, żeby się stąd wydostać. Gdy tylko jedno z nas zapadnie na »Mrugałę«, nasz los zostanie przypieczętowany". Czy to prawda? Jeżeli tak, to nie rozumiem, co P. i ja jeszcze tu robimy, łże jeszcze żyjemy. Być może niskie temperatury opóźniają tempo rozprzestrzeniania się wirusa. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Znow próbowaliśmy nawiązać kontakt z Laurą, ale bez powodzenia. Co ona o nas myśli? Przecież mieliśmy już dawno wrócić... Tak mi przykro, Lauro. Mam tylko nadzieję, że nie zdecydujesz się ruszyć naszym śladem. Wierz mi, że będzie lepiej, jeżeli zostaniesz tam, gdzie teraz jesteś. Kilka godzin wcześniej temperowałem ołówkę, kiedy przerwał mi Puckett. „ Chodź tutaj, musisz to zobaczyć". „ Co takiego?" - zapytałem. „Po prostu chodź do mnie, dobrze?". Okazało się, że P. znalazł w Internecie jakiś portal przekazujący aktualne zdjęcia Ziemi z krążących na orbicie satelitów. Oznacza to dwie rzeczy: po pierwsze, że satelity nadal funkcjonują, a po drugie, że działają także stacje przekaźnikowe. Fotografie nie były na tyle dokładne, by można zobaczyć na nich pojedynczych ludzi albo zwłoki, ale widzieliśmy drogi, budynki i długie szeregi pojazdów, tkwiących nieruchomo na

drogach. Oto, co po nas zostało, oto nasza spuścizna dla wszechświata - Ziemia pełna porzuconych samochodów i opuszczonych budynków, nad którymi wysoko w górze pomrukuje dziesięć tysięcy satelitów telekomunikacyjnych. Jestem jednak pewien, że tam, na dole, mimo wszystko musieli pozostać jeszcze jacyś ludzie oprócz Pucketta i mnie. Samotnicy, którym w taki czy inny sposób udało się uchronić przed zakażeniem. Szerpowie. Ludzie gór. Pustelnicy, zamieszkujący jaskinie na pustyniach. Rozrzucony po całym globie nieliczni ocalańcy, bo z każdej katastrofy ktoś zawsze wychodzi cało, by móc przekazać potomnym opowieść o tragedii. Tyle tylko że nie ma już ludzkości, której ci, którzy przeżyli, mogliby cokolwiek opowiedzieć, prawda? Zostało nas tylko dwóch - Michael Puckett i Robert Joyce. A może jednak troje? Może wśród żywych jest także Laura Ptack? Zapasy, które przywieźliśmy ze sobą, już prawie się skończyły, musimy zatem spożywać żywność znajdującą się na stacji. Nie mamy innego wyjścia, jeśli nie chcemy umrzeć z głodu. Dobrze jest znów jeść mięso, chleb i warzywa. To chociaż jedna jasna strona naszej sytuacji. Kiedy znaleźliśmy te zdjęcia satelitarne, spieraliśmy się przez pół godziny, czy powinniśmy wyruszyć na drugi brzeg Wyspy Rossa. Puckett: „ To jedyny sensowny pomysł. Jeżeli tamtejsze radio jest tak potężne, jak mówił Meatyard, może zdołamy nawiązać z kimś kontakt”. Ja: „Możemy też wrócić po Laurę. Nie wolno nam jej tak po prostu zostawić”. P.: „I co potem? Przywieziemy ją tutaj? Po co? Moim zdaniem powinniśmy pojechać do kolonii. Tam będziemy mieli chociaż cień nadziei na ocalenie. A później w taki czy inny sposób zajmujemy się Laurą ”. Ja: „ Chodzi mi tylko o to, że im dłużej zostawimy ją samą, tym gorzej dla niej”. Ale Puckett chociaż raz ma słuszość. Zachowalibyśmy się jak kompletni idioci, gdybyśmy nie spróbowali dotrzeć do tego drugiego nadajnika, jeśli istnieje chociaż najmniejsza szansa, że będzie działać. Przez kilka ostatnich godzin tego dnia znów ładowaliśmy sanie: żywność, narzędzia, sprzęt biwakowy, przybory toaletowe. Podróż do kolonii w żadnym wypadku nie powinna być tak trudna jak droga na stację. Nawet o tej porze niebo przybiera ciemnoczerwoną barwę, jak jesienne liście, wciąż jednak jest dość

światła. Jeżeli wierzyć mapie, będziemy jechać głównie po lodowcu szelfowym.

Innymi słowy, po stosunkowo płaskim terenie, co nie oznacza, oczywiście, że pójdzie jak po maśle. Wyjeżdżamy jutro rano. O jedenastej. Przetniemy Zatokę Mgieł, kierując się wprost na południowy krańiec wyspy. Resztę tej nocy wykorzystam na sen, którego mi bardzo potrzeba. Głowa pęka mi z bólu. I bardzo pieką mnie oczy.

Był to ostatni wpis w dzienniku. W ciągu następnych trzech dni Laura przeczytała go jeszcze trzykrotnie, próbując się zdecydować, co zrobić. Przede wszystkim się zastanawiała, czy powinna opuścić stację i jak wysokie jest prawdopodobieństwo, że zachoruje. Czy ostatnio nie kaszle częściej niż zwykle? Czy nie łzawią jej oczy? Miała wrażenie, że pamięta, że w nocy, kiedy znalazła kartkę z krzyżykami, obudziła się, ponieważ kichnęła, a potem zasnęła od razu, zanim zdążyła się przewrócić na bok albo poprawić poduszkę. Czy był to znak, że wirus ją jednak dopadł?

Poza tym, co się stało z Puckettem i Joyce'em? Czy udało im się dotrzeć na drugi brzeg i wypróbować radio? I gdzie są teraz?

Martwiła się o nich.

Skończywszy czytać dziennik po raz ostatni, zamknęła go z trzaskiem, położyła na kolanach i podrapała się w głowę - jej nauczyciel angielskiego mawiał, że ten gest oznacza, że Laura myśli. Potem poszła do spiżarni i zaczęła wybierać żywność, którą zamierzała zabrać ze sobą, opuszczając stację.

Puckett i Joyce mieli słuszność. Jeśli istniał choć cień szansy, by mogła skorzystać z radia w kolonii pingwinów, żeby nawiązać z kimś łączność, powinna zaryzykować.

To, że prawdopodobieństwo powodzenia było minimalne nie miało większego znaczenia. Gorzej byłoby nie mieć żadnej szansy - a przecież nie miałyby jej, gdyby zdecydowała się pozostać na stacji.

Zresztą, jeśli wyruszy do siedliska pingwinów, może zdoła odnaleźć Pucketta i Joyce'a.

Nie rozładowywała swoich sań, musiała więc zabrać teraz tylko żywność, ubrania i kilka drobiazgów, takich jak aspiryna, papier toaletowy i zapasowa antena do nadbior- nika w kolonii. Schowała dziennik Joyce'a do torby ortalionowej, pośród kałesonów i zapasowych skarpet, a między jego stronice wsunęła także wydruk znalezionej pod komputerem artykułu prasowego. Informował on o rozprzestrzenianiu się wirusa w Ameryce Północnej: ZARAZA! ŚMIERTELNY WIRUS ZBIERA ŻNIWO W MEKSYKU. KILKADZIESIĄT MILIONÓW LUDZI ZARAŻONYCH „MRUGAŁĄ”. Potem zaniósła cały ten majdan pod drzwi wraz z kosmetyczką z mydłem i pastą do zębów oraz skrzynką z mrożoną żywnością.

Na zewnątrz panowała nieustanna ciemność, której nie rozświetlał ani jeden promień słońca, więc nie musiała wcale czekać do rana, żeby wyruszyć w drogę. Zresztą pierwszy świt nastanie dopiero za miesiąc. Tak długa noc sprawiała, że wschód słońca wydawał się jej teraz czymś fantastycznym, jak Atlantyda, Nowe Jeruzalem albo Rajski Ogród. „Wytwór wyobraźni” - pomyślała. Choć może raczej należałoby powiedzieć - marzenie.

Gwiazdy na niebie niemal zastygły w bezruchu, a księżyc wyglądał jak świecący jasno, biały klin, wylaniający się zza gęstych zwałów chmur. Zapakowała cały ekwipunek do bagażnika sań, zamknęła go i po raz ostatni okrążyła spacerem budynek stacji. Jeden z łukowych reflektorów, stojący bezpośrednio nad grobami, zalewał jaskrawym światłem wszystkie dwadzieścia mogił, które z kolei rzucały ciężkie, krótkie cienie, rozlewające się po ścianie budynku niczym kałuże oleju. Wiatr zmienił kierunek, Laura słyszała więc tarcie i chrzęst brył lodu na powierzchni oceanu. Wróciła przed dom i uruchomiła silnik.

Obawiała się, że bateria napędowa mogła zostać uszkodzona na mrozie i że zabraknie jej mocy, ale okazało się, że niepotrzebnie się martwiła, bo silnik zaskoczył z cichym szumem, który powoli narastał. Najpierw przednie światła zaświeciły jaśniej, następnie uniosły się płozy, a potem za-

mrugał pokładowy monitor GPS, co oznaczało, że działa jeszcze przynajmniej jedna polarna stacja przekaźnikowa.

Poza tym jednak system komunikacji satelitarnej musiał przynajmniej częściowo ulec awarii - albowiem z informacji na ekranie wynikało, że Laura znajduje się na długości geograficznej 2° S i szerokości $39,4^{\circ}$ E, czyli na południe od równika, gdzieś w okolicach Kenii.

Laura głęboko zaczerpnęła tchu, westchnęła, zamknęła oczy i wsparła głowę na kolumnie kierownicy. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

TLR

— ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY —

Liczby

Ile osób może zapamiętać jeden człowiek? Tysiąc? Może... Jeśli ma się wyjątkowo krótką pamięć. Więc ile? Dziesięć tysięcy? Sto tysięcy? Milion? Oczywiście jeśli pędzi się życie w jakiejś maleńkiej wiosce, zagubionej gdzieś w Himalajach, liczba ta musi być mocno ograniczona, ale Michael Puckett nie miał na myśli himalajskich wieśniaków ani mnichów, zakonnic czy tych nieszczęsnych dzieciaków, które kończą życie, zanim przestają raczkować, chodząc na czworakach jak pijacy. Miał na myśli siebie, własne życie, a na zasadzie ekstensji myślał także o Laurze. Ostatecznie to ona była wspólnym mianownikiem czy też zwornikiem całej tej historii. Po wszystkich dyskusjach na ten temat, które słyszał już w mieście, przynajmniej to było jasne.

Poświęcił prawie cały tydzień, usiłując ustalić jakąś konkretną, prawdopodobną liczbę osób, które poznał przez czterdzieści trzy lata swojego życia. Początkowo prowadził te obliczenia jedynie w myślach, dokonując oczami wyobraźni przeglądu całego tłumu ludzi, kiedy słuchał muzyki albo kładł się spać. Jednak gdy zrozumiał, jak skomplikowane jest to zadanie, wyciągnął ołówek (numer 2), czystą kartkę papieru i zabrał się do roboty.

Zaczął od swojej najbliższej rodziny - matki, ojca, dwóch siostr, a także starszego brata, który zginął w wieku jedenastu lat - skreślił kark na rowerze, skoczywszy do koryta wyschniętego strumienia. Następnie dopisał do nich kolejnych krewnych: dziadków ze strony ojca i matki, ciotki, wujów, stryjów, stryjenki, dalszych i bliższych kuzynów i kuzynki, ich mężów, żony i dzieci, w paru przypadkach drugich mężów albo drugie żony, a nawet dzieci tychże kuzynów z drugiego małżeństwa, i tak dalej. Potem

wpisał swoich kolegów szkolnych i nauczycieli, poczynając od przedszkola po studia podyplomowe, a następnie kolegów i nauczycieli swoich dwóch siostr, włączając do tego grona również ich znajomych ze studiów, których obie zapraszały czasami do domu. Musiał przypomnieć sobie swoich sąsiadów. Kolegów z pracy, poczynając od pizzerii Pizza D'Action, gdzie wsuwał ciasto do pieca, a kończąc na szesnastu latach spędzonych w Coca-Coli. Wspominał swoich współwyznawców, choć jeśli chodzi o religię, to nigdy nie był kimś, kogo dałoby się nazwać pobożnisiem. Właściwie chodził do kościoła wyłącznie w święta Bożego Narodzenia, na Wielkanoc i wtedy, kiedy komuś udawało się wyciągnąć go z łóżka w niedzielę. Poza tym wymieniał tysiące różnych dalszych znajomych, którzy nieoczekiwanie przychodzili mu do głowy - byli to ludzie niepasujący do żadnej określonej kategorii, lecz których jednak znał, pojawiający się zniemacka niczym żółędzie, na które natrafiał w ogrodzie, kiedy kosił trawę. Musiał jednak wziąć pod uwagę także znajomych tych znajomych, a czasem jeszcze znajomych znajomych znajomych. Na listę wpisał też swoje byłe dziewczyny (w sumie siedemnaście), członków ich rodzin, a następnie pierwszą żonę i jej krewnych, drugą żonę wraz z rodziną, syna, jego kolegów szkolnych, członków jego drużyny softballowej, kumpli z osiedla i tak dalej. Pamiętał również ludzi, których spotykał przez te wszystkie lata w teatrze, na bankietach, przyjęciach i weselach. No tak, a przecież to nie wszystko, bo były jeszcze osoby, które mógłby nazwać swoimi towarzyskimi znajomymi z pracy, w odróżnieniu od znajomych służbowych (miał tu na myśli na przykład kontakty biznesowe), i teraz, myśląc o nich, doszedł do wniosku, że ich też powinien uwzględnić w spisie. Następnie myślał także o wszystkich tych kasjerach i sprzedawcach, których znał z widzenia, a czasem nawet z nazwiska: ludzi pracujących w sklepach spożywczych, aptekach, sklepach z narzędziami, w warsztatach samochodowych, domach handlowych, restauracjach i kinach, których był stałym bywalcem.

Za każdym razem, gdy sądził, że lista jest już kompletna, odkrywał kolejne kategorie znajomych: na przykład kolegów z drużyny harcerskiej, chłopaków z siłowni albo tych dwadzieścia parę twarzy, jakie zapamiętał z

jedynego spotkania Anonimowych Alkoholików, w którym uczestniczył i które skończyło się zresztą totalną katastrofą. Wystarczyło, że wychodził do kuchni, żeby zmyć talerz, a przypominał sobie hydraulika, który przez ostatnie dziesięć lat reperował mu krany, a potem jego cały, często zmieniający się zestaw pomocników i syna, którego ten fachowiec, gdy pewnego razu odwołano zajęcia w szkołach, musiał zabrać ze sobą do roboty i który wrzucił Puckettowi talię kart do tosterka, przez co o mało nie spalił mu mieszkania. Wszystko, co widział i słyszał, albo czego dotykał, przypominało mu kolejne osoby, które wcześniej zapomniał dopisać do listy. Na przykład tę kobietę, którą spotkał kiedyś w bibliotece i której nie wiedzieć czemu nigdy nie zapomniał. Swojego dentystę i higienistkę szkolną. Chłopaków, z którymi grywał w bilard na studiach.

W końcu, przeglądając notatki, zorientował się, że z jakiegoś powodu zapomniał o dalszej rodzinie swoich sióstr- o ich mężach, teściach, siostrzeńcach i siostrzenicach, przedzierał się zatem dalej przez wielką kaskadę nazwisk i gąszcz kolejnych osób, w taki czy inny sposób związanych z innymi ludźmi, których znał, wyjąwszy jego przedwcześnie zmarłego brata, będącego dla Michaela jakby zerwaną nicią, a co za tym idzie, niemającego tak szerokich koneksji.

Kiedy podliczył wszystkich wpisanych na listę, okazało się, że figurują na niej czterdzieści dwa tysiące osób, ale przez kilka następnych dni wciąż odkrywał w zakamarkach pamięci kolejnych znajomych - skąd ich się tyłu wzięło? - więc gdyby musiał zgadywać, powiedziałaby, że ta liczba jest bliższa pięćdziesięciu, a może nawet siedemdziesięciu tysiącom ludzi.

- Nie wierzę, że jest ich aż tyłu - powiedział Joyce, gdy Puckett pokazał mu listę. - Tylko ci się wydaje, że ich wszystkich pamiętasz.

- Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że lista jest raczej za krótka.

- Wątpię. - Joyce lekceważąco machnął otwartą dłonią, chociaż właściwie wyglądało to tak, jakby jego palce przebiegł po prostu skurcz. Wy-

konywał ten gest, ilekroć chciał doprowadzić Pucketta do szału. - Zawsze miałeś skłonność do przesady.

Puckett pomyślał, że powinien był go zakopać w śniegu, gdy miał po temu okazję.

„Mrugała” dopadł Joyce'a zaledwie kilka godzin po ich wyjeździe do siedliska pingwinów. Siedział bezwładnie, zgarbiony, i Puckett pomyślał, że śpi, aż wreszcie na jakimś zakręcie Joyce przewrócił się na bok, uderzając głową o szybę. Wtedy Puckett od razu domyślił się prawdy. Zgasł silnik i zbadał szyję swojego towarzysza w poszukiwaniu tętna. Ciało wciąż było ciepłe, ale Michael nie wyczuł w nim żadnych oznak życia - Joyce nie oddychał, krążenie krwi ustało, zniknęło napięcie mięśni. Była to siódma śmierć, którą Puckett widział w ciągu ostatnich dwóch tygodni, i dobrze nauczył się już rozpoznawać jej symptomy.

Przyszło mu do głowy, żeby przyłożyć Joyce'owi do ust lusterko - znał tę sztuczkę z niezliczonych filmów - ale uznał, że chyba właściwie nie ma takiej potrzeby, skoro osoba badana najwyraźniej nie żyje.

Puckett i Joyce nigdy nie byli pewni, czy powinni się traktować jako przyjaciele, czy raczej antagoniści, choć może należałoby powiedzieć, że ich wrogość i przyjaźń były tak ściśle ze sobą połączone, że właściwie żaden z nich nie potrafił już oddzielić tych dwóch uczuć. Obaj manifestowali wzajemną życzliwość wobec siebie poprzez sprzeczki i kłótnie, i obaj z wyjątkową przyjemnością udawali, że nie lubią się bardziej niż w rzeczywistości. Był to element prowadzonej między nimi gry, więc gdyby Puckett przyznał, że zmartwił się śmiercią Joyce'a, naruszyłby jej zasady.

Prawdę mówiąc, wcale nie zmartwił się jednak tak bardzo, jak przypuszczał. Ostatecznie w głębi duszy już od dłuższego czasu wiedział, że prędzej czy później tak właśnie się to skończy. Zastanawiał się teraz tylko, kiedy przyjdzie kolej na niego.

Rozbicie skorupy lodowej i wykopanie porządnego grobu dla Joyce'a zajęłoby mu całą resztę tamtego i sporą część następnego dnia, a ponieważ

Puckett sądził, że powinien pokonać jak największą odległość, zanim na horyzoncie zabraknie światła, postanowił pogrzebać towarzysza dopiero po przebyciu zatoki i odnalezieniu drugiego nadajnika. Włączył więc silnik i popatrując na kompas, ruszył przed siebie przez lodową pustynię, wkrótce jednak poczuł, że ogarnia go gorączka. Zaczął tracić świadomość i orientację i wiedział już, że to wirus. Zdawało mu się, że zrzuca skórę jak wąż albo że jest niczym gwiazda pozbywająca się ostatecznie, rozedrganej osłony gazowej. Zaczęły łzawić mu oczy, a wzrok stopniowo tracił ostrość. Ostatnią zapamiętaną rzeczą było to, że po trudnym do określenia czasie ocknął się na kilka chwil i patrzył, jak za przednią szybą sań coraz bardziej rośnie ogromna ściana lodu i czarnych skał. Potem znów zapadł w sen - najpierw ujrzał wirującą, złotosrebrną kulę sztucznego ognia, zwaną potocznie słońcem, a kiedy spróbował jej dotknąć, ogniste iskry uformowały się w olbrzymią kolumnę, wysoką i szeroką jak sekwoja. Tylko dzięki najwyższemu wysiłkowi woli i wyobraźni udało mu się w końcu zmniejszyć ją do rozmiarów pręcika wielkości ołówka numer 2 - po czym okazało się, że ów pręcik istotnie jest tym ołówkiem, którego używał teraz, aby sporządzić swą listę.

Joyce był pierwszą osobą, którą Puckett spotkał po przybyciu do miasta, toteż natychmiast się domyślił, że umarł, i cofnął się o krok, potykając się o własne nogi.

- Co ty tu robisz? - zapytał Joyce, a Puckett zrewanżował mu się podobnym pytaniem:

- A ty?

Potem przez chwilę o coś się sprzecjali, a następnie każdy z nich poszedł swoją drogą. I było im z tym dobrze - bo czuli, że właśnie tak powinno być, jak za dawnych czasów.

Puckett nie podejmował żadnych specjalnych wysiłków, żeby pozostać w kontakcie z Joyce'em, i był prawie pewien, że Joyce powiedziała

dokładnie to samo, gdyby ktoś go zapytał o kontakty z Puckettem. Z drugiej strony.

Pozostawanie w kontakcie nie wymagało od nich najmniejszego trudu, bo spotykali się wszędzie, dokądkolwiek prowadził ich los. Gdy Puckett wchodził do jakiegoś baru albo restauracji, prawie zawsze zastawał tam przy stoliku Joyce'a, który postukiwał solniczką i pieprzniczką albo budował z tekturowych podstawek prymitywne altanki o pochyłych daszkach - a jeśli Joyce'a jeszcze nie było w środku, niechybnie zjawiał się najwyżej kilka minut później. Puckett nie mógł wyjść nawet na szybki spacer ani po zakupy do spożywczaka, żeby niespodziewanie nie natknąć się na Joyce'a na stoisku delikatesowym albo przy regale z puszkowanymi zupami. Wpadali na siebie w kinie, na siłowni i w aptece, a także na skrzyżowaniach tysięcy różnych ulic. Ileż to razy po wyjściu z kabiny w publicznej toalecie Puckett zauważał Joyce'a zapinającego pasek od spodni w kabinie obok. Te spotkania przestały ich już dziwić, więc rozmowy, przerwane ostatnim razem, podejmowali na nowo zawsze z poczuciem niejakiego fatalizmu.

Na przykład zaledwie dzień po tamtym spotkaniu, na którym powiedział Joyce'owi o swojej liście, Puckett natknął się na niego na parterze jakiegoś biurowca. Wpadł do środka na chwilę, żeby napić się wody, a Joyce maszerował właśnie przez wykładaną płytami czarnego marmuru recepcję, kierując się do windy. Kiedy się zobaczyli, zrozumieli, że ich ścieżki przetną się ponownie, i po krótkiej chwili milczenia Joyce powiedział:

- Jestem gotów się założyć, że nie pamiętam więcej niż dwa tysiące osób.

Puckett potrząsnął głową.

- Nie, mówię ci... Pamiętamy znacznie więcej ludzi. Nie chodzi mi przecież o tych, których można przywołać we wspomnieniach bez żadnego wysiłku. Mam raczej na myśli osoby, które człowiek może sobie przypomnieć dopiero, gdy naprowadzi go na nie ciąg odpowiednich skojarzeń. Usiądź kiedyś spokojnie i zastanów się nad tym.

- Widzisz, różnica między nami polega na tym, że, twoim zdaniem, ty masz pamięć godną zaufania, w każdym razie na tyle, żebyś mógł na niej polegać, odtwarzając w myślach swoje życie. A ja nie. Nie wierzę w to ani przez chwilę.

- Wątpię, czy moja pamięć jest bardziej godna zaufania niż twoja. Po prostu tak się składa, że swoją pamięć znam nieco lepiej niż twoją.

- No to odpowiedz mi na takie pytanie - odparł Joyce. - Jeżeli każdy człowiek na świecie pamięta... Ile? Mówiłeś, że pięćdziesiąt tysięcy osób? Więc jeśli tak, to jak to jest możliwe, żeby wszyscy oni mieszkali w mieście tej wielkości? To spora metropolia, ale chyba nie aż tak ogromna?

Następnego dnia znów wpadli na siebie przypadkiem na południowo-zachodnim krańcu placu.

- Po pierwsze, czy ty w ogóle masz pojęcie, jak duże jest to miasto?

- A ty?

- Nie, ale coś mi mówi, że jest o wiele większe, niż ci się zdaje. A już na pewno znacznie większe niż ta jedna dzielnica. Zasięgnąłem języka wśród mieszkańców i okazało się, że nikt nie wie, jak daleko ciągną się tu-tejsze ulice. Najbliższy prawdy jest chyba jeden facet, który zajmował się kiedyś kartografią. Twierdzi, że chociaż od prawie dziesięciu lat pracuje nad planem miasta, nigdy nie natrafił na jego granice. Powiedział, cytuję, że jeśli to miasto w ogóle ma jakieś granice, to przesuwają się one z szybkością błyskawicy za każdym razem, kiedy tylko usiłuje je wytyczyć

- Niech będzie. Może i tak. A po drugie?

- Co takiego?

- Powiedziałeś „po pierwsze”. To znaczy, że masz mi do powiedzenia coś jeszcze.

- No więc po drugie, mówiąc, że każdy z nas pamięta pięćdziesiąt albo sto tysięcy ludzi, nie mam na myśli osób, których nie pamięta nikt inny,

tylko my. Zbiory ludzi, których pamiętamy, muszą na siebie zachodzić. Na przykład my obaj pamiętamy Laurę. I chłopaków z pracy. I może to niezbyt ważne, ale pamiętamy także Meatyarda, Weisza, Turnera i tych pozostałych facetów ze stacji.

Do kolejnego spotkania doszło w barze z hamburgerami, gdzie Puckett i Joyce wstąpili przypadkiem na lunch. Przy stoliku cztery siwowłose Koreanki grały w madżonga, a przy barze siedziało dwóch funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Biologicznego, rozglądających się w milczeniu po sali. Wciąż mieli na sobie żółte kamizelki, choć Puckett nie przypuszczał, by mogła się tu wydarzyć jakaś katastrofa.

Zaczął Joyce:

- Moim zdaniem to jednak dosyć ważne.

- Co?

- Że pamiętamy Turnera, Meatyarda i ich kolegów. Powiedziałaś, że to nieistotne. Ja twierdzę, że wręcz przeciwnie.

- Nie powiedziałem, że to w ogóle nie ma żadnego znaczenia. Ale nie potrafimy odmienić ich losu, prawda?

- Jesteś tego pewien? A nie wydaje ci się, że Laura, która nas pamięta, odmieniła nasz los?

- Naturalnie. Tylko że Laura wciąż żyje. A w każdym razie tak podejrzewamy.

Puckett pociągnął łyk kawy. Nawet po dziesięciu latach abstynencji ciągle go kusiło, żeby zamówić piwo do hamburgera i frytek, ale jak zawsze oparł się pokusie.

- Owszem. A dopóki my żyliśmy, utrzymywaliśmy przy życiu wielu z tutejszych mieszkańców. Zastanów się nad tym, Puckett - powiedział Joyce. - Pomyśl o tych wszystkich ludziach, którzy niewątpliwie zniknęli z

miasta po naszej śmierci. Na pewno na tym świecie był ktoś, kto istniał tylko dlatego, że ty istniałeś na tamym. Naprawdę uważasz, że to nieistotne?

Joyce jak zwykle nie rozumiał, do czego Puckett zmierza, ale - też jak zwykle - nie mylił się całkowicie. Oczywiście, że to nie było nieistotne. Puckett nie miał co do tego wątpliwości, a mimo to odpowiedział:

- Chodzi mi tylko o to, że mieszkając tutaj, nie mamy wpływu na to, co dzieje się na tamym świecie. Strzałka jest skierowana w jedną stronę. Tylko w jedną.

- Nie jestem pewien, czy wszyscy zgodziliby się z tobą w tej kwestii - odparł Joyce, ale Puckett był już zmęczony rozmową i nie poprosił przyjaciela, by zechciał rozwinąć tę myśl.

Pod koniec dnia, gdy wracał do domu cichymi, oświetlonymi na niebiesko ulicami, zdał sobie sprawę, że jego starszy brat - ten, który umarł w wieku jedenastu lat, kiedy Michael miał zaledwie cztery - z pewnością do niedawna również mieszkał w tym mieście, aż wreszcie umarł też Puckett, a wtedy już nikt na Ziemi o nim nie pamiętał.

„Mój Boże - pomyślał Puckett. - Minęło prawie czterdzieści lat”.

Domyślił się już, że jego rodzice, dziadkowie, żona, syn i wszyscy ludzie, których w życiu poznał i wpisał na listę znajomych, mieszkali w mieście dopóty, dopóki on nie umarł. Powiedziałby nawet, że już się z tym pogodził, chociaż musiał przyznać, że to nie było łatwe, szczególnie w odniesieniu do jego bliskich: na przykład do zaledwie piętnastoletniego syna, który zaczynał dopiero wchodzić w dorosłość. Wcześniej jednak nie przyszło mu do głowy, że przebywał tu także jego brat, zmarły już dawno temu. poczuł się nagle tak, jakby błąkał się po jakimś dziwnym, pustym gmachu, w którym drzwi na końcu krętego korytarza prowadzą do jego dziecięcej sypialni sprzed lat. Niemal bał się wejść do środka, ale wiedział, że jeśli tego nie zrobi, będzie żałował do końca swoich dni.

Gdy dotarł do domu, podjął już decyzję. Postanowił zacząć szukać w mieście śladów brata.

Okazało się, że te poszukiwania nie były tak trudne, jak się początkowo spodziewał. Jego pierwszą myślą było odszukanie starych spisów ludności miasta i sprawdzenie, czy nie ma tam nazwiska jego brata. Na rogu ulicy, gdzie mieszkał, stała opuszczona biblioteka - jej drzwi wejściowe zdjęli z zawiasów i ukradli jacyś wandalę. Wiedział wprawdzie, że półki w środku są w większości puste, ale i tak wydawało mu się oczywiste, że powinien zacząć szukać właśnie w tym miejscu. W archiwum na trzecim piętrze znalazł gablotę z napisem SPIS LUDNOŚCI Z OSTATNICH PIĘCIU LAT. Był to istny cud. Udało mu się zerwać kłódkę za pomocą metalowej linijki, ktoś wcześniej jednak splądrował już gablotę, bo w środku Puckett znalazł tylko stary słoje po wazelinie, pełen gumek recepturek. Zbierał się do wyjścia, kiedy na stanowisku informacyjnym zauważył stos książek telefonicznych sprzed prawie dziesięciu lat. Choć były nieaktualne, znalazł w jednej z nich nazwisko swojego brata, a także jego adres - mieszkał na peryferiach dzielnicy pomnika.

Wyrwał stronę z numerem telefonu oraz adresem brata i zabrał także plan miasta, dołączony do książki w postaci wkładki, tkwiącej w plastikowej kieszonce na czwartej stronie okładki. Zrobiło się chłodno, gdy wyszedł na ulicę. Zziębły mu uszy, postawił więc kołnierz i otulił nim skronie, i wtedy usłyszał pracę mechanizmu swojego ciała - odległy, dudniący dźwięk, który zawsze kojarzył mu się z łoskotem pniaków staczających się w dół po zboczu wzgórza.

Plan z książki telefonicznej przypominał raczej jakiś interpretacyjny, kubistyczny rysunek miasta niż mapę. Wiele małych uliczek - których pierwotnie na planie w ogóle nie uwzględniono - wciśnięto odręcznie między rzekomo przylegające do nich inne ulice, a ponadto przebieg niektórych dróg na planie był nieco zwichrowany, więc przecinały się pod niewłaściwymi kątami. Przywodziły mu na myśl zabawki, które oglądał jakiś beztroski klient, i najpierw wziął je do ręki, a potem odłożył z powrotem na

pierwszą lepszą półkę. Poza tym na mapie zarośnięte na wpół uschlą trawą pole golfowe rozciągało się na terenie, na którym powinny być zaznaczone - chociaż nie były - cztery ulice, noszące nazwy upamiętniające wielkie miasta południowej Afryki: Kinszasę, Nairobi, Lusakę i Johannesburg.

Puckett niejedną raz musiał cofać się po własnych śladach i pytać przechodniów o drogę. Odkleila mu się też podeszwa w bucie, który wydawał klapiący dźwięk podczas marszu.

Mimo wszystko udało mu się w końcu znaleźć poszukiwany budynek.

Wjechał windą na piąte piętro, na wszelki wypadek zapukał do drzwi mieszkania, którego numer znalazł w książce telefonicznej, i dopiero wtedy położył dłoń na klamce. Spodziewał się - chociaż nie wiedział dlaczego - że mieszkanie będzie puste, ale kiedy chciał już wejść do środka, otworzył mu jakiś chudzielec w średnim wieku.

Szklą jego okularów były zatłuszczone, a na czole zwiślał mu bezwładnie kosmyk jasnych włosów, muskający brwi nieznajomego niczym miotełka do kurzu. Facet zajadał rodzyнки z plastikowego kubka.

- Tak? - zapytał po kilku sekundach milczenia, gdy Puckett uświadomił sobie, że gapi się na niego jak idiota.

- Przepraszam - powiedział. - Chyba dałem dupy. Szukam kogoś, kto kiedyś tutaj mieszkał. Być może. Tak w każdym razie myślałem.

Mężczyzna wrzucił sobie rodzynek do ust.

- Nazwisko?

- Nathaniel Puckett.

- Mm-hmm. Wyprowadził się... Moim zdaniem jakoś pod sam koniec ewakuacji. Znałeś go?

- To mój brat.

- Znaczący ty jesteś Mikey?

- No... Michael.

Nieznajomy skinął głową i cofnął się od drzwi, żeby wpuścić Pucketta.

- No to zapraszam. Twój brat i ja byliśmy współlokatorami.

„Twój brat i ja byliśmy współlokatorami”. Więc to aż takie proste? Puckett po prostu nie wierzył swojemu szczęściu. Usiadł na wielkiej jak smok, zajmującej niemal pół pokoju kanapie w biało-niebieskie pasy. Nigdzie nie było widać żadnych krzesel, więc facet w okularach usiadł obok niego.

- Pewnie chcesz się dowiedzieć czegoś o swoim bracie - powiedział. - Wal śmiało. Nie bój się, nie jestem uzbrojony.

Skończył jeść rodzynki, zgniótł kubek w dłoni i zaczął powoli przesuwając go między palcami, wygładzając wybrzuszenia i załamania plastiku. Sprawiał wrażenie człowieka, który wszystko robi całkowicie spokojnie, we właściwym mu, powolnym tempie, chociaż wyrażał się nieco lakonicznie i często używał równoważników zdań. Jak sądził Puckett, dlatego, żeby nadrobić utracony czas.

Brat zawsze był dla niego tajemnicą - to przypominający ducha nieznajomym, umorusany błotem pryskającym spod kół jego roweru, chłopak ze skrzyconym karkiem, który kolekcjonował komiksy, do późna w nocy oglądał telewizję i raz namówił Michaela, aby zwinął się w kłębek w jego syporze, którym wywijał następnie po całym pokoju. To wszystko, co Puckett pamiętał w związku z bratem, jednak w ciągu kilku najbliższych godzin dowiedział się o nim wielu nowych rzeczy. Otóż po swojej śmierci Nathaniel zamieszkał w jednym z wielu sierocińców w mieście, podobnie jak większość tutejszych dzieci, i tak jak one mógł w nim pozostać. Choć nie przekroczył przecież jedenastego roku życia, w końcu postanowił się jednak wyprowadzić. Przez kilka lat jeździł na rowerze - tym razem na kolarce, nie na rowerze górskim. Zanim zdecydował się ją sprzedać, uczestni-

czył w kilku niezbyt groźnych wypadkach drogowych, a potem stał się wielbicielem kolejki podziemnej. W niedzielne popołudnia całymi godzinami jeździł metrem - zapuszczał się aż do dzielnicy białych cegieł, przyglądając się po drodze innym pociągom, mrocznym tunelom i przypominającym akwaria stacjom. Potem przez siedem lat pracował w sklepie modelarskim, sprzedając modele samolotów i ołowiane żołnierzyki młodym ludziom tęskniącym za dzieciństwem, którego on nie miał nigdy utracić. Następnie dostał pracę w szklarni, gdzie przycinał krzewy, a jeszcze później pracował przez pewien czas jako asystent ogrodnika w jednym z największych ozdobnych ogrodów w mieście.

Mężczyzna, który opowiadał o nim Puckettowi, zajmował drugi pokój w mieszkaniu Nathaniela od prawie pięciu lat. Poznali się na wykładzie zatytułowanym „Komiks jako gatunek literacki”. Na tamtym świecie nieznanymy był nauczycielem angielskiego i lubił „powieści graficzne”, jak się wyraził. Jeśli natomiast chodzi o Nathaniela, to po śmierci wciąż czytał głównie komiksy. Od czasu przybycia do miasta zgromadził ich sporą kolekcję, a następnego dnia po wykładzie zaprosił mężczyznę do siebie, żeby mu ją pokazać.

- I już stąd nie wyszedłem - zauważył mężczyzna. - Jak mogę to wyjaśnić? Byłem tu nowy. Musiałem gdzieś mieszkać, a twój brat potrzebował towarzystwa. Stosunki między nami układały się dobrze.

- Czy mówił czasem o mnie? - zapytał Puckett.

- O tobie i o rodzicach.

Puckett usłyszał własne westchnienie.

- Nie wiem, dlaczego miałbym z tego powodu odczuwać jakąś ulgę. Ja go prawie nie... A teraz jestem tutaj.. - Nie mógł zebrać myśli. - Wiesz co? Naprawdę nie sądziłem, że Nathaniel będzie mnie pamiętał.

- Pamiętał. Nie miałeś okazji, żeby się z nim pożegnać, co?

- Znaczy, osobiście powiedzieć mu „do widzenia”? Nie. Mama zabrała mnie kiedyś na jego grób, ale byłem wtedy jeszcze bardzo mały. Właściwie po jakimś czasie w ogóle przestałem o nim myśleć.

Opowiadając mu o Nathanielu, mężczyzna przez cały czas modelował swój plastikowy kubek i teraz trzymał już w rękach niemal idealnie okrągłą kulkę.

- Pożegnanie jest ważne. Moja rodzina była przy mnie, kiedy umierałem.

- Chorowałeś?

- Na białaczkę. Nie było to zbyt przyjemne.

- Przykro mi.

- Nieważne.

- Ale była przy tobie rodzina?

- Owszem. Chcesz, żebym ci o tym opowiedział?

I nie czekając na odpowiedź, zaczął opowiadać.

Długo chorował, zanim trafił do szpitala.

- Prawie trzy lata. Na ogół ludzie mówią, że chcą umrzeć we własnym domu, ale ja wolałem pójść do szpitala. Chciałem sterylizowanej pościeli, nowoczesnej aparatury medycznej i tak dalej. Po prostu przypuszczałem, że w szpitalu będzie mi łatwiej. Znaczy umrzeć, rozumiesz. Tam dookoła nie było nic, z czym nie chciałem się rozstać. Musisz zrozumieć, że okropnie cierpiałem, i to już od dłuższego czasu. Byłem gotowy na śmierć. Jednak zawsze gdy czułem, że brakuje mi sił, widziałem wiszące na ścianie zdjęcia żony i synów albo spoglądałem na krzesło przy toalecie i przypominałem sobie, gdzie je kupiłem, albo wspominałem tysiące innych podobnych rzeczy. Były jak więzy, z których nie potrafiłem się wyzwolić. W końcu uznałem, że jeśli już mam umrzeć, to tylko w obcym dla mnie otoczeniu. Być

może dlatego, że wybierałem się na wyjątkowo człowiekowi obcy tamten świat. Nie jestem pewien. W każdym razie poprosiłem najbliższych, żeby umieścili mnie w szpitalu, i tak też uczynili. Zachowali się naprawdę wspólnie. Odwiedzali mnie dwa razy dziennie, nawet mój najstarszy chłopak, który już wtedy studiował. Pewnego dnia zapytał... Znaczący się Clay, mój najstarszy syn... Zapytał mnie, czy wierzę w życie pozagrobowe. Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Znasz te historie, które każdy słyszał kiedyś o ludziach, co to rzekomo przechodzą przez wypełniony białym światłem tunel i ich oczom po drugiej stronie ukazuje się niebo? Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co mam o nich sądzić. Jednak to, że osoby opowiadające takie rzeczy niejako z definicji zawsze były osobami, które ostatecznie nie przeszły na tamtą stronę i powróciły do naszego świata... Hmm, nie byłoby mi łatwo wyjaśnić dlaczego, ale ta okoliczność kazała mi wątpić w prawdziwość ich relacji. Mimo to sporo o tym myślałem. Kiedyś wierzono, że w oczach zmarłych na zawsze zastyga to, co zobaczyli w ostatniej chwili przed śmiercią. Słyszałeś o tym? Ale ja kombinowałem zupełnie inaczej. Sądziłem, że po śmierci człowiek zaczyna widzieć jakby w innym wymiarze. Że czas zmienia bieg i że po śmierci widzimy raczej to, co się wydarzy, niż to, co się zdarzyło. Nieważne, w każdym razie chciałem w miarę możliwości odpowiedzieć mojemu synowi na pytanie, które mi postawił. Nie wiedziałem, czy będzie przy mnie w chwili mojej śmierci, a jeśli nawet tak, to czy będę mógł się z nim porozumieć, postanowiłem więc napisać do niego dwa listy. W pierwszym donosiłem, że po śmierci nie ma zupełnie nic... Że to po prostu jakby jeden wielki koniec wszystkiego, nawet nie ciemność. Ten list włożyłem do czerwonej koperty. A w drugim napisałem, że z tymi tunelami, niebem i najbliższą rodziną zmarłego, która przyzywa go ponoć z tamtego świata, to wszystko prawda. Mniej więcej coś takiego. Ten list włożyłem z kolei do niebieskiej koperty. Oczywiście istniały jeszcze inne możliwości, ale te dwie wydawały mi się najbardziej wiarygodne, a poza tym starałem się nie komplikować sprawy. Ułożyłem sobie nawet taki wierszyk, żeby nie zapomnieć, co jest w której kopercie: „Koperta czerwona: ja skonał, koperta niebieska: nowego życia kreska”. Powtarzałem to sobie całymi dniami. Koperta czerwona: ja skonał, koperta niebieska: nowego

życia kreska. Koperta czerwona: ja skonom, koperta niebieska: nowego życia kreska. Bo widzisz, chciałem wybrać jedną z nich w ostatniej chwili, gdy zacznę już widzieć przyszłość, martwiłem się jednak, że kiedy przyjdzie czas, nie będę mógł mówić. Dlatego poprosiłem pielęgniarkę, żeby włożyła mi obie koperty do rąk i mocno je trzymałem. W mojej sali było okno, z którego widziałem niebo ponad dachem piętrowego parkingu. Najpierw słońce, potem gwiazdy, i znowu słońce. Czy jakoś tak... W końcu umarłem wieczorem dwa dni później. Jak już mówiłem, była przy mnie cała rodzina. Żona i obaj moi chłopcy. Czułem, jak śmierć się zbliża i że nic mnie już nie trzyma na świecie. Wypuściłem z ręki jedną kopertę, a drugą ścisnąłem w dłoni, jak tylko mogłem najmocniej.

Puckett słuchał, zafascynowany jego opowieścią.

- No i którą kopertę zatrzymałeś?

- Czerwoną - odparł mężczyzna. - Koperta czerwona, ja skonom. - Jego dolną wargę przebiegł jakby drobny skurcz. - Ale najwidoczniej się pomyliłem.

Puckett parsknął śmiechem.

- No. I to jeszcze jak!

- Gdybym musiał zrobić to ponownie, oczywiście wybrałbym niebieską.

- Oczywiście.

Potem obaj zamilkli. Minęło dobre pół minuty, zanim mężczyzna przechylił głowę na bok, a wpadające przez okno słońce dotknęło jego zatłuszczonych okularów, rozłożyło skrzydła niczym motyl i rozszczepiło się na kilkanaście kolorów.

- O czym myślisz? - zapytał nieznajomy.

- A dlaczego pytasz?

- Złapałeś się za nos. Ten gest oznacza, że nad czymś się zastanawiasz. Złapałeś się za nos, kiedy wspomniałem o komiksach twojego brata, potem znowu, gdy opowiadałem ci o moim synu, no i teraz, przed chwilą. Jestem spostrzegawczy.

Puckett położył dłonie na kolanach.

- Myślałem, że powinienem ci podziękować, bo zechciałeś poświęcić mi tyle czasu. Zapewniam cię, że bardzo mi to pomogło. Ale teraz muszę już iść.

Kanapa wypuściła go ze swoich objęć z przeciągłym skrzypnięciem sprężyn, jednak zanim Puckett doszedł do drzwi, mężczyzna znów się odezwał:

- Wiesz, twój brat był moim najbliższym przyjacielem w tym mieście. Dobrze jest mieć kogoś, komu można o sobie opowiadać. W ten sposób chcę po prostu powiedzieć, że zawsze będziesz tu mile widzianym gościem.

Mężczyzna wyciągnął rękę, jak wydawało się Puckettowi, na pożegnanie, ale wcale nie uściśnął mu dłoni, tylko podał to, co zostało z plastikowego kubeczka: niewielką, wygładzoną pod palcami kulkę, gładką niczym aksamit.

- Czy mógłbym cię prosić, żebyś to wyrzucił? Popielniczka stoi przy wejściu do windy.

O czym tak naprawdę myślał wtedy Puckett?

O listonoszach.

A ściślej, o tym, ilu listonoszy poznał w swoim życiu.

Był to kolejny podzbiór znajomych osób, które zapomniał wziąć pod uwagę i umieścić na liście, chociaż do tej pory zdołał sobie przypomnieć tylko ośmiu przedstawicieli tego zawodu. Był wśród nich facet, który zawsze żądał, żeby Michael wylegitymował się prawem jazdy, podpisując do-

wód odbioru paczki, facet, którego spotkał kiedyś w sklepie monopolowym, gdzie kupował skrzynkę wina, i sześciu innych pracowników poczty.

Puckett był pewien, że przypomni sobie następnych, kiedy pozwoli swoim myślom błąkać się swobodnie. Listonosze przyszli mu pewnie do głowy pod wpływem opowieści nieznanego o listach w czerwonej i niebieskiej kopercie, bo rozmawiając z nim, on też zaczął wspominać swojego syna, drugą żonę i rodziców - ludzi, którzy również zgromadziliby się koło jego łóżka, gdyby w nim umierał.

Ze wszystkich sił starał się jednak teraz o nich nie myśleć. Po prostu z tymi wspomnieniami było mu zbyt ciężko na duszy.

Było znacznie zimniej niż przed godziną. Gdy Puckett siedział u nieznanego, niebo zasnęła gęsta zasłona chmur. W drodze do domu przypadkowo usłyszał rozmowę dwóch mniej więcej trzydziestoletnich mężczyzn, rozpatrujących różne możliwości skontaktowania się z Laurą. Był to dość popularny temat rozmów w mieście, które jednak nie prowadziły chyba nigdy do żadnych konkretów.

- Czy ktoś wpadł na pomysł, by użyć tabliczki *ouija*! - zapytał pierwszy.

- No wiesz, to raczej ona mogłaby jej użyć, by skontaktować się z nami, bo w drugą stronę tabliczka *ouija* nie działa. Widzisz, jaż kolei myślałem, że moglibyśmy zebrać wszystkich, i wiesz, skupić nasze myśli na Laurze albo coś w tym rodzaju, żeby uzyskać efekt konwergencji harmonicznej czy jak to się tam nazywa. Ona chyba wierzy w takie pierdoły. A w każdym razie wierzyła.

- Nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy przynajmniej spróbować wykorzystać tabliczkę *ouija*. - Następne zdanie mężczyzna wypowiedział piskliwym głosem, znanym chyba wszystkim z filmów grozy. - „Przybyli do niej z za grobu!”.

Puckett tymczasem zniknął za kępą drzew i wkrótce głosy mężczyzn się oddaliły.

Na przystanku autobusowym na rogu ulicy Georgia i Sześćdziesiątej Piątej jakiś facet w kombinezonie poplamionym olejem silnikowym poprawiał sobie slipy przez kieszenie spodni. Puckett pamiętał około dwudziestu mechaników samochodowych, był jednak prawie pewien, że wszystkich ich już zapisał. Będzie to musiał sprawdzić.

Ulicą po drugiej stronie pola golfowego szedł po omacku ślepiec, który od czasu do czasu szarpał się za brodę. Puckett znał co najmniej sześciu niewidomych.

Był już pod swoim domem, kiedy zobaczył Joyce'a, wychodzącego ze sklepu jubilerskiego. Puckett skulił się, kiedy wiatr dmuchnął mu w twarz. Łamało go w kościach - poczuł się strasznie zmęczony długą wędrówką po mieście i rozmową z nauczycielem angielskiego, a może po prostu wysiłkiem, jakiego wymagało myślenie o bracie po tylu długich latach, ale tak czy owak ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę, była kolejna bezsensowna sprzeczka.

Dał nura pod markizę i odczekał, aż przyjaciel sobie pójdzie. Joyce go nie zauważył - przyłożył zegarek do ucha, potrząsając dłonią. Puckett śledził go wzrokiem, gdy przechodził na rogu na drugą stronę ulicy, a potem wyszedł z ukrycia, chuchnął w zmarznięte dłonie i poczuł pierwsze ukąszenie mrozu na policzkach.

Podniósł wzrok na niebo, na którym swobodnie wirowały szare i białe płatki.

„Tylko nie to” - pomyślał.

Padął śnieg.

— ROZDZIAŁ DZIESIĄTY —

Szczelina

Lód. Mróz. Gruz. Gruzowisko. Śmierć. Tren żałobny. Tren sukni. Suknia ślubna. Obrączka ślubna. Ognisty krąg. Lodowy krąg. Lód. Góra lodowa. Lodowiec. Kołowiec. Koło. Ruch. Latać. Lato. Jesień. Zima. Wiosna. Wielkanoc. Krzyż. Miejsce ukrycia skarbu jest zaznaczone krzyżykiem. Skarb. Złoto. Srebro. Srebrzyste dzwonki. Sanie. Śnieg. Lód. Głód. Myszy. Koty. Wąsy. Obcinać. Nożyczki. Papier. Aniołki z papieru. Włosy anielskie. Anielska dobroć. Napój bogów. Ambrozja. Ambrose Bierce. Meksyk. Meksykanin. Zatoka Meksykańska. Most. Przepaść. Rozpadlina. Kra lodowa. Góra lodowa. Lód.

Laura krzątała się przy saniach, a słowa przelatywały jej przez głowę niczym piłka do squasha, nieprzerwaną, rozwijającą się błękitną, wirującą wstęgą, której nie próbowała powstrzymać ani przeciąć. Z każdym kolejnym krokiem usiłowała znaleźć następne odpowiednie słowo, poszukując idealnej równowagi między wysiłkiem fizycznym i umysłowym, żeby nie myśleć za dużo o tym, czy uda się jej dotrzeć do siedliska pingwinów i co w nim zastanie, jeżeli podróż zakończy się sukcesem. Ani o tym co będzie, jeśli okaże się, że wszystkie te doniesienia i informacje prasowe, które czytała, są prawdziwe. Ani że wszyscy, absolutnie wszyscy ludzie na świecie, w tym jej znajomi, nie żyją.

Nie знаła odpowiedzi na pytania, jakie sobie stawiała, j nie chciała ich znać.

Odpowiedź. Pytanie. Pytać. Napytać sobie biedy.

Krok Laury miał niewiele ponad czterdzieści centymetrów - powiedzmy czterdzieści pięć - co oznaczało, że (jak obliczyła) na półtora kilometra

przypada mniej więcej trzysta pięćdziesiąt słów. Jeżeli dobrze wyznaczyła kierunek, od celu podróży dzieliło ją niemal trzydzieści kilometrów i prawie sześćdziesiąt trzy tysiące słów. Sanie zepsuły się zaraz po przekroczeniu Zatoki Mgieł, wrzynając się płozami w zupełnie gładki lód na płaskim odcinku trasy. Stalowe płetwy zablokowały się i potężny pojazd obrócił się powoli, zapadając ze zgrzytem w lodową skorupę głęboko, aż na piętnaście centymetrów. Próbowwała wszystkiego, co tylko wpadło jej do głowy, żeby ponownie uruchomić silnik. Nie знаła się jednak na tym i szybko zrozumiała, że nie zdoła naprawić sań.

Co nie oznacza, że w ogóle nie można było ich zreperować. Sprawa mogła okazać się przecież bardzo prosta - może wyczerpała się bateria napędowa albo doszło do zwarcia w układzie elektrycznym. Laura nie miała jednak odpowiednich narzędzi, dobrego oświetlenia ani zapasowych części, wiedziała więc, że tym razem szczęście się od niej odwróciło. Stała na mrozie, kryjąc twarz w dłoniach. Śnieg pod jej nogami był sypki i głęboki, a podmuchy wiatru sprawiały, że na powierzchni zaczynały wić się tysiące maleńkich, giętkich śnieżnych wężyków. Wsiadła z powrotem do kabiny, skąd szybko uciekało teraz ciepło, i zamknęła drzwi.

Przejechała już niemal cały garb Wyspy Rossa, nie było zatem sensu, żeby wracała. Przypomniała sobie stary dowcip o facecie, który przepłynął już prawie na drugi brzeg rzeki, kiedy zdał sobie sprawę, że jest zbyt zmęczony, żeby płynąć dalej, i postanowił zawrócić. Słyszała ten kawał z Kanadyjczykiem w roli głównej, ale w niektórych innych rejonach kraju bohaterem owej anegdoty na pewno był Meksykanin. A po drugiej stronie granicy, zarówno na północy, jak i na południu - Amerykanin.

Amerykanin. Południe. Cholera. Hol. Holownik. Lokomotywa.

Uznała, że pozostało jej tylko jedno wyjście.

Skoro nie może zawrócić ani zostać tu, gdzie jest, musi podążać dalej. Odczekała, aż z kabiny ulotnią się resztki ciepła, a potem wyciągnęła z bagażnika uprzęż i narty, przypięła je do nóg i stanęła w zaprzęgu.

Pochyliła się ku przodowi, próbując ruszyć z miejsca i pociągnąć sanie, ale okazało się to niemożliwe, bo były masywne jak dom albo wieloryb. Napięła mięśnie tak mocno, że zaryła lewą nogą w śnieg, gdy narta przebiła zamarzną skorupę na powierzchni, co zabrzmiało tak, jak gdyby ktoś darł papier. Zapadła się aż po kolano, ale wyciągnęła nogę z pułapki i spróbowała ponownie. Tym razem podparła się na obu kijkach, pochyliła się nisko pod wiatr, zgarbiła lekko plecy i możliwie szeroko rozrzuciła ramiona, żeby odepchnąć się z jak największą siłą. Zrobiła jeden krok, a potem drugi i trzeci. Może i stopniowo stawały się coraz dłuższe, ale sanie ani drgnęły, doszła więc do wniosku, że będzie musiała pozbyć się części ładunku, bo inaczej po prostu nie da rady.

Sanie składały się zasadniczo z dwóch głównych części - kabiny i bagażnika. Zaczęła od tego, że zdemontowała płozy spod części kabinowej, po czym odkręciła złączki łącząceabinę z bagażnikiem i pozwoliła jej ześlizgnąć się w śnieg. Ostre krawędzie kabiny wbiły się w zlodowaciałą powierzchnię śnieżnej skorupy w ciągu kilku sekund, wycinając w niej kształt kwadratu o boku długości dokładnie stu trzydziestu centymetrów. Potem dziewczyna wyciągnęła łopatę z części bagażowej, wciąż opierającej się na płozach, i oczyściła drzwi kabiny ze śniegu. Wrzuciła do środka to wszystko, bez czego, jak sądziła, będzie mogła się obejść: kilka zwiniętych w kłębek części garderoby, trzy kawałki grubej sklejki, żel chroniący przed słońcem, drugi garnek i pojemnik na mrożoną żywność, którą wysypała najpierw do bagażnika. Miała nadzieję, że to, co pozostawi tu, w kabinie, zabierze znów w drodze powrotnej.

Zatrzasnęła drzwiczki, stanęła w zaprzęgu i szarpnęła się. Sanie niechętnie ruszyły - najpierw bardzo powoli, a potem nieco szybciej. Po kilku minutach Laura szła już przez lodową pustynię posuwistym i rytmicznym, ale męczącym krokiem. Kabina wkrótce została daleko w tyle, a sanie stały się o połowę lżejsze - bo dziewczyna ciągnęła teraz już tylko pół domu albo pół wieloryba.

Wieloryb. Płaczliwy śpiew wielorybów. Głośny, przeraźliwy krzyk. Zgrzytanie zębów.

Przypomniała sobie, jak zaczęła zgrzytać zębami wkrótce po podjęciu pracy w Coca-Coli. Robiła to nieświadomie, we śnie, i po przebudzeniu nic nie pamiętała. Rano bolały ją szczęki, choć nie wiedziała dlaczego i dopiero dentysta zauważył, że Laura ma zęby gładkie jak perełki.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałem, żeby komuś tak szybko ścierało się szkliwo - powiedział. - Wygląda to tak, jakby polerowała pani sobie zęby szlifierką kamieniarską. - Przez chwilę dokładnie oglądał jej uzębienie, przyświecając sobie małą latarką, po czym zgasił ją, spojrzał Laurze w oczy i zapytał: - Czy nie myślała pani, żeby się poddać terapii psychiatrycznej?

Przez pewien czas była to jej ulubiona historyjka, którą opowiadała zawsze przy obiedzie, kiedy ktoś wspominał o zębach, psychiatrii albo aroganckich radach zupełnie obcych ludzi.

Minęło już jednak wiele długich miesięcy, odkąd myślała o tym po raz ostatni.

Od kilku miesięcy nie myślała też o swoim dentyście.

Który prawie na pewno dzisiaj już nie żył.

Dentysta. Lekarz. Recepta. Recepturka. Gumka. Wycierać.

Kolejnego dachu nad głową mogła spodziewać się dopiero nad brzegiem morza. Kiedyś, nie tak dawno temu, równiny Antarktydy pokrywały plamki małych, sezonowych osad, ale to wszystko skończyło się już blisko trzydzieści lat temu, gdy stało się jasne, że czapy polarne topnieją. To prawda, że zmniejszenie pokrywy lodowej oznaczało łatwiejszy dostęp do bogactw naturalnych tej krainy, ale też walkę o prawo dostępu do kurczącego się, zalewanego przez morze wybrzeża. Do tego należy dodać również zmiany klimatyczne, które musiało wywołać globalne ocieplenie. Dlatego większość krajów świata, wążąc

ewentualne zyski na szali ze znacznym ryzykiem, wycofało się jednak z kontynentu. Mimo to zaledwie kilka lat później całą Antarktydę kupiło trzech wspólników: Coca-Cola, Bertelsmann i FCI, kiedy to zarówno RPA, jak i Argentyna, dwa ostatnie z trzydziestu siedmiu państw roszczących sobie prawa do tego terytorium, popadły w tarapaty finansowe. Liczba naukowych ekspedycji polarnych spadła wówczas raptownie niemal do zera - po części niewątpliwie dlatego, że nowi właściciele odmawiali prawa wjazdu na te tereny wielu uczonym, ale i dlatego, że tamtych pierwszych osad właściwie wcale nie zakładano z myślą o prowadzeniu w nich badań naukowych. Były to raczej ślady dawnego zainteresowania Antarktydą ze stopy takiego czy innego państwa, wyglądające teraz równie samotnie, jak niegdyś flagi zatykane na szarych pustyniach Księżyca, smaganych burzami i wiatrami. Domki i ciężki sprzęt rozebrano na części i przewieziono w bezpieczne miejsce w ładowniach samolotów transportowych, a wszystkich mieszkańców ewakuowano. Laura wiedziała, że mniej więcej wtedy, kiedy przysłała ją tu Coca-Cola, zezwolenia na przyjazd na Antarktydę udzielono jeszcze dwóm innym ekspedycjom badawczym. Pierwsza rozbiła obóz po drugiej stronie, bliżej Madagaskaru, a druga na samym czubku półwyspu - jednak przed nadejściem zimy obie stacje ewakuowano.

Mogła zatem liczyć wyłącznie na swój namiot i na to, że będzie się rozgrzewać podczas marszu. Kiedy wyruszyła w drogę, gwiazdy skryły się za grubą pokrywą chmur, więc nawet przyświecając sobie latarką, nie widziała dalej niż na kilka metrów, jednak dwie godziny później na północnym wschodzie pojawił się szeroki pas czystego nieba. Ujrzała setki gwiazd i satelitów, a między nimi ruchliwe fale i fałdy zielono-czerwono-złotej jutrzenki, które rozbłyskiwały, gasły i zasilaly mnóstwo rozlewających się z wolna kolorowych strużek i wstęg. Mimo to lądolód wciąż pozostawał pogrążony w ciemnościach, więc Laura niewiele widziała i trudno jej było się zorientować w terenie, bo tylko chwilami na wschodzie majaczyły daleko czarne skały gór.

Co pewien czas, kiedy wyczuwała, że zbacza z kursu, wyciągała z kieszeni kompas. Była tak blisko bieguna, że igła kręciła się niezdecydowanie przez całą minutę, zanim nieruchomiała, a i to tylko wtedy, kiedy Laura stała jak skamieniała. Trudno było jej potem znowu się rozruszać, bo wystarczyło zatrzymać się na chwilę, żeby sanie zaczęły jej ciążyć całą swoją masą spoczynkową. Pojazd zapadał się głęboko w śnieg, a płozy przymarzały do lodu wgryzając się w niego głęboko jak korzenie.

Nie wiedziała, że można odczuwać takie zmęczenie. Chwilami miała wrażenie, że nie da rady iść dalej. Ale szła. Wciąż szła.

Wiatr zdmuchiwał śnieżny puch ze wzniesień, pozostawiając za sobą śliskie placki nagiego lodu, a że z kolei w zagłębieniach terenu gromadził się śnieg, szelf zdawał się równiejszy niż w rzeczywistości. W myślach towarzyszyło jej mnóstwo ludzi, i mnóstwo ludzi szło za nią. Na przykład matka i ojciec. Jej dalsza rodzina. Koledzy i koleżanki, z którymi się wychowała, przyjaciele ze studiów magisterskich i studiów podyplomowych oraz znajomi z pracy. Jej kochankowie i ich bliscy przyjaciele. Ludzie, których widywała co parę dni w spożywczaku albo w banku, a także sąsiedzi z jej apartamentowca i najbliższej okolicy. Kobieta z kasy w kinie. Facet pobierający opłaty na bramce przy zjeździe z autostrady do centrum biurowego Coca-Coli. Ludzie, których mijała zwykle na ulicy, ale z którymi nigdy nie rozmawiała. Myślała o nich wszystkich, a oni dawali jej siły, by mogła dalej iść, wtedy przypominała sobie jednak o wirusie, o artykule w gazecie i tysiącach umarłych miast, czuła kluchę w gardle i znowu każdy krok odliczała słowami.

Wiedziała, że jest sama, choć w głębi duszy nie mogła się z tym pogodzić. „Bo jeśli oprócz mnie nikt już nie został na świecie - myślała - to dlaczego nie miałabym po prostu zatrzymać się tu, w tym miejscu? Dlaczego nie miałabym opaść na kolana i zaczekać, aż przysypie mnie śnieg?”. Tak byłoby znacznie łatwiej - łatwiej niż zrobić kolejny mę-

czący krok naprzód, łatwiej niż iść dalej i łaniej niż liczyć tysiące dalszych kroków.

Przypominała sobie jednak, że może nie jest sama, a w każdym razie, że nie ma co do tego żadnej pewności. Gdzieś ktoś na pewno ocalał z epidemii. A Puckett i Joyce? Na pewno są gdzieś tutaj, na pewno jej szukają. Może nawet ich ścieżki już raz się przecięły w drodze przez zatokę. Wokół było tak czarno, a wicher chwilami wył tak ogłuszająco, że mogli się minąć nawet dosyć blisko i nie mieć o tym pojęcia.

Prawdę mówiąc, kiedy wiał huraganowy wiatr, wydawało się jej, że jest to jedyny dźwięk na świecie, ale kiedy zapadała cisza, słyszała, jak pod jej stopami chrzęści śnieg, suną sanie, a czasem nawet z hukiem karabinowego wystrzału pękają odległe bloki lodu, które ścisnął coraz większy mróz. W mroku każdy odgłos zdaje się głośniejszy niż w rzeczywistości. Poza tym słyszała też - przypominający chrzęst rozbitego szkła - odgłos ocierającej się o jej skórę bielizny i innych części garderoby, bo pot nie parował na zimnie, tylko wsiąkał w tkaninę i zamarzał. Po piętnastu minutach marszu jej koszula i spodnie były już sztywne, a po pół godzinie zamarzały zupełnie wzdłuż linii tysięcy różnych fałd i załamań. Coraz trudniej było jej się schylać, a kiedy zgięła kolana, na nogi i piersi sypał się deszczyk igiełek lodu, które zbierały się na wysokości jej pasa i mankietów nogawek spodni, wpuszczonych w wysokie cholewki. Pewnego razu popełniła błąd, zdejmując rękawiczkę, by wyciągnąć kompas, bo ta jedna chwila wystarczyła, żeby doznała odmrożeń opuszek wszystkich pięciu palców. W nocy, w namiocie, musiała najpierw odczekać, aż jej odzież trochę się rozmrozi, żeby się rozebrać. Patrzyła potem, jak ubranie leży na podłodze, parując, opada co raz niżej fałda po fałdzie i szeleści cicho, w miarę jak tkaninę zmiękcza dodatnia temperatura. Ubranie nie zawsze wysychało do rana, więc czasem, kiedy wychodziła z namiotu, od razu znów zamarzało. Nauczona przykrym doświadczeniem, starała się teraz zwijać namiot od razu jeszcze stojąc w zaprzęgu, odkąd pewnego ranka za-

marzła na niej koszula, zmuszając ją do niewygodnego skrętu szyi w lewo. Musiała wytrzymać potem cały dzień w takiej pozycji, bo nie było żadnej możliwości, by mogła zdjąć z siebie ubranie i doprowadzić je do porządku. Zmuszona była więc ciągnąć sanie z głową odwróconą nieco w bok, dopóki nie zatrzymała się osiem godzin później, by znowu rozstawić namiot.

Powierzchnię zatoki na przemian zespałały i gruchotały niezliczone kolejne zlodowacenia. Przypominała opadającą i wznoszącą się łąkę, którą tu i ówdzie przecinają strumienie pęknięć i szczelin. Niektóre były na tyle wąskie, że mogła przez nie przejechać, ale nie wszystkie. Zbliżając się do tego rodzaju przeszkody, zawsze najpierw wydłużała uprząż, odpinała narty i podchodziła, by sprawdzić, czy zdoła przeskoczyć szczelinę. Jeśli uznawała, że nie (co często się zdarzało), ruszała w stronę jej węższego końca, aż do miejsca, w którym rozpadlina brała swój początek - czasem był to lity lód, a czasem jakby mostek z ubitego śniegu.

Szybko nauczyła się rozpoznawać odgłos, jaki tego rodzaju „mosty” wydawały pod jej stopami - było to głuche dudnienie świadczące o tym, że pod warstwą śniegu jest pustka. Ciągłe się bała, że „most” załamie się pod nią, kiedy będzie próbowała przejść na drugą stronę. Jednak nigdy się to nie zdarzyło, a chociaż niejednym razem zapadała się w śnieg po kostki lub nawet po kolana, zawsze udawało się jej wyciągnąć nogi i bezpiecznie pokonać przeszkodę.

„Płatwy” były maksymalnie wysunięte i sanie swobodnie prześlizgiwały się ponad szczelinami, gdy Laura znów zaczynała je ciągnąć. Przychodziło jej to jednak z coraz większym trudem. Męczący mróz, dwanaście (a czasami więcej) godzin, dzielących śniadanie i obiad, czyli dwanaście godzin przerwy pomiędzy jednym posiłkiem a drugim i niekończący się mój marszu poprzez śnieżne wydmy - wszystko to podkopywało jej siły. Słabła z każdym dniem, pętały się jej nogi. Zaczęła mieć problemy z oddychaniem.

Piątego dnia pieszej wyprawy - po ośmiu dniach od opuszczenia stacji - nad lodem zaległa gęsta, ciemna mgła. W takich warunkach latarka okazała się bezużyteczna, bo światło odbijało się po prostu od nieruchomej białej ściany, wracając do punktu wyjścia. Mgłę wieńczyła maleńka niczym guziczek, matowa czapeczka bladego księżyca, którego światło było zdecydowanie za słabe, by dotrzeć do Ziemi. Laura w ogóle by go nie zauważyła, gdyby przypadkiem nie spojrzała w zawieszony nad jej głową niebo.

Przez długie godziny parła więc naprzód na oślep, próbując badać teren stopami, żeby odgadnąć jego ukształtowanie, bo wyczuwała go przez podeszwy butów. Czy szelf wznosi się teraz, czy opada? Jak sypki jest śnieg albo jak gęsto ubity? Czy to, co Laura wyczuwa w danej chwili pod nogą, to krawędź głębokiej szczeliny w skorupie lodowej, czy tylko bruzda w śniegu? Co kilka minut zerkała na kompas, chcąc się upewnić, że nie zboczyła zbyt daleko z wyznaczonej trasy. Starła się iść przed siebie, w linii prostej.

Była już niemal po całym dniu marszu w zaprzęgu, gdy w górze pojawił się klin czystego nieba. Wyłonił się z formy okrągłej jak filiżanka, w której czeluści Laura dostrzegła kilka słabo świecących gwiazd, ale potem otaczająca je mgła rozstała się, co wyglądało, jakby ktoś rozpiął olbrzymi zamek błyskawiczny. Wokół rozlał się jasny blask księżyca. Energicznie odpychając się kijkami, Laura ruszyła w stronę światła najszybciej, jak potrafiła. Mgła wokół niej zrzędnęła i powietrze stało się przejrzyste, a sanie wydały się jej zbędnym ciężarem. Gdyby tylko mogła, zrzuciłaby uprząż - pozostawiła sanie i pobiegła, gdzie oczy poniosą. Cienką warstwę kruchej, lśniącego szkła, czyli lód kryjący szczelinę, zauważyła dopiero na ułamek sekundy, zanim na niego weszła. Nie miała już jednak dość czasu, żeby się zatrzymać.

Powiedziała coś głośno: chyba „Czekaj!”, tak jej się zdawało, ale może nawet „Kurwa mać!”, a potem lód zatrzęszczał, pękł na tysiąc kawałków i Laura poczuła, że spada.

Zawisła na uprzęży. Szyję miała wykręconą do tyłu i nie mogła złapać tchu. Gdzieś w pobliżu słychać było jakiś dziwny klekot, a przed jej oczami migotały w ciemności białe ćmy albo motyle.

Odzyskała oddech dopiero po kilku sekundach. Dyndała swobodnie w uprzęży. Zaczęła machać nogami w poszukiwaniu jakiejś lodowej półki czy chwytu, czegokolwiek, ale przeciwległe ściany szczeliny musiały dzielić co najmniej trzy metry, bo ledwo dosięgała jej drugiego końca, miotając się rozpaczliwie i wyciągając nogi najdalej, jak mogła - zawsze jednak ześlizgiwała się z powrotem i zaczynała się kołysać w przód i w tył. W końcu otarła się o coś, co wzięła za rysę albo wgłębienie w ścianie, ale nie zdażyła w niej zakotwiczyć nóg, bo w tej samej chwili znowu zaczęła spadać.

Nie od razu zmiarkowała, co się dzieje - czyli że do szczeliny zsuwają się za nią sanie. Kilka chwil później obsunęła się aż o półtora metra, zatrzymała się na moment, wirując w uprzęży w powietrzu, a potem spadła jeszcze o pół metra niżej.

Czekała, dopóki się nie upewniła, że już nie spada. Wtedy podniosła wzrok. Wykręcała szyję tak mocno, że aż zrobiło się jej słabo, ale starała się nie zwracać na to uwagi. Widziała jedną z „płetw”, wystającą ponad krawędzią szczeliny. Jej sylwetka rysowała się na tle nieba, a między potężnymi, czarnymi ścianami pęknięcia Laura zauważyła strumień gwiazd. Nie widziała jednak drugiej płetwy. Sanie najprawdopodobniej utkwily w jakiejś bruździe albo wydmie śnieżnej, a płozy wygięły się w bok i zapewne dzięki temu nie zsuwała się niżej. Na razie.

Ostrożnie wyciągnęła nogi w stronę ściany, której była teraz bliżej mniej więcej o trzydzieści centymetrów. Uprząż trzymała mocno. Lód okazał się twardy i śliski, i nie było na nim ani trochę śniegu, zwiększającego przyczepność podczas wędrówki po szelfie. Zbadala go dokładnie przez rękawiczki, ale nie wyczuła żadnych nierówności. Bała się, że jeśli szarpnie zbyt gwałtownie, pociągnie sanie dość silnie, by

pokonały przeszkodę, na której się zatrzymały, a wtedy runą razem z nią w głębinę. Ściany szczeliny były zbyt szerokie, żeby płetwy mogły powstrzymać upadek, co oznaczało, że pojazd albo zmiotłby Laurę, spadając, albo wyprzedzi ją w locie i pociągnie za sobą w straszliwym pędzie w dół. Jak głęboka może być ta rozpadlina? Nie zdziwiłaby się, gdyby sięgała samego oceanu, czyli płytkiej warstwy wody, wciąż niezamarzniętej, pomimo olbrzymiego naporu lodu; ta woda jednak pozostawała niemal całkowicie nieruchoma, bo nie było w niej żadnego życia.

Istniały więc trzy możliwości. Laura mogła zamarznąć na śmierć, spaść i skreślić kark albo się utopić.

Ale była i czwarta - jedyna, na której zdołała skupić myśli. Mogła się wspiąć na górę po uprzęży i wydostać na powierzchnię. Mogła się uratować.

Albo i nie. Musiała przyznać, że kusiło ją, by odpiąć uprzęż i rzucić się w dół. Tak byłoby tysiąc razy łatwiej. Nie musiałaby więcej ciągnąć sań, męczyć się, łudzić się nadzieją ani wspominać. Wyobrażała sobie śmierć jako cudowną odwilż. Wtedy zimna krew Laury znów by się rozgrzała. Zrobiłoby się jej o wiele cieplej. Nikt by jej nigdy nie znalazł i nie dowiedział się, co się z nią stało, ale co z tego? Świat i tak już się skończył. Laura nigdy więcej nie spotka żywej duszy.

Gdzieś w głębi serca wiedziała jednak, że nie może sobie na to pozwolić - nie może spaść. Musiała walczyć dalej, z tego samego powodu, co wszyscy, a ściśle rzecz biorąc, wszyscy, którzy znaleźli się przed nią w podobnej sytuacji. Pomyślała, że odpięcie uprzęży byłoby z jej strony oszustwem.

Znowu podniosła wzrok. Płetwa wisiała wciąż nad brzegiem szczeliny. Laura zrozumiała, że jeśli ma się wydostać na powierzchnię, musi natychmiast zacząć się wspinać, bo zaraz zaśnie i straci resztki sił. Szła w uprzęży

długości czterech i pół metra, więc będzie musiała wspiąć się najwyżej na taką właśnie wysokość. Wsunęła rękę do kieszeni, żeby schować latarkę, i wtedy zdała sobie sprawę, że już jej nie ma - widocznie upuściła ją podczas upadku. Spojrzała w dół, między nogi, w poszukiwaniu szpileczki światła pomrużującego gdzieś na dole, ale pod nią była tylko ciemność.

Straciła latarkę. Teraz jednak nie mogła się tym martwić.

Spróbowała mocno chwycić linę, ciasno oplatając ją palcami. Rękawiczki chrzęściły i trzeszczały, bo pękała pokrywająca je od wewnątrz lodowa skorupka. Sądziła, że chwyt jest mocny, ale kiedy próbowała dźwignąć się w górę, lina wyslizgnęła się jej z rąk. Ponowiła próbę, ale i tym razem bez powodzenia. Rękawiczki były za sztywne i za śliskie, stało się zatem jasne, że jeśli naprawdę chce wydostać się z pułapki, musi to zrobić gołymi rękami. Zdjęła rękawiczki i wsunęła je głęboko do kieszeni. Podszewka przylepiła się jej do rąk, ale chwilowo nie zwracała na to żadnej uwagi. Znowu chwyciła linę. Natychmiast zakłuły ją koniuszki palców, jakby wsunęła ręce w kępę ostów, lecz już po kilku chwilach straciła w nich czucie. Zdołała jednak wspiąć się o kilkanaście centymetrów wyżej, chociaż myślała, że jej mięśnie lada chwila rozerwą się na setki zwiędłych włókien. Na szczęście sanie ani drgnęły. Na razie więc wszystko szło dobrze. Podciągnęła się jeszcze trochę wyżej, wtedy jednak opuściły ją siły i lina ponownie wyslizgnęła się jej z rąk.

Znowu dyndała w uprząży nad przepaścią. Kręciło się jej w głowie. Chwyciła linę i zaczęła wspinać się raz jeszcze. Podczas upadku cały lód, który utworzył się pod jej ubraniem, popękał i rozpadł się, i teraz czuła jego igielki, gromadzące się jakby w dwóch ciężkich worach wokół kostek jej nóg i na brzuchu, na wysokości pasa. Przypominały jej gazowe pierścienie, tworzące się wokół niektórych olbrzymich planet.

„Co chyba czyni ze mnie olbrzymią planetę” - pomyślała.

Może Saturna.

Słyszała gdzieś, że jeśli człowiek opuści się na dno studni, to z kręgu prześwitu między kamiennymi ścianami wprawdzie zniknie słońce, ale przez cembrowanie zawsze będą się przebijać gwiazdy niczym stalowe nitki, nawet w środku dnia. „Szkoda, że nie odwrotnie” - pomyślała. Szkoda, że słońce nie może przepalić nieba w środku nocy. Podniosła głowę i ujrzała te same gwiazdy, co poprzednio, a także płaczącą się wśród nich nić jutrenki.

Straciła czucie w rękach. Oczy zaszyły jej mgłą, więc chwyciła się kurczowo liny. Utrzymywała się na niej tylko dlatego, że wrzynała się w jej ciało, a jednak centymetr po centymetrze posuwała się wyżej - za nic nie chciała puścić liny, której spora pętla w pewnej chwili opadła jej pod nogi. W pół drogi na górę popełniła błąd, wsuwając stopę w pętlę i próbując wykorzystać ją jako punkt podparcia, bo wtedy sznur wysunął się jej z rąk i Laura ponownie spadła niżej, na całą długość uprząży. I znowu zaczęła się wspinać. Każdy dźwięk grzechotał wśród ścian jak kamyk w blaszanej puszcze. Wreszcie podczas czwartej albo piątej próby zdołała wsunąć czubek buta w maleńkie pęknięcie w ścianie, które zauważyła już wcześniej. Wierciła w nim nogą tak długo, aż wreszcie wsunęła w szczelinę cały nossek buta.

Z ulgą poczuła, że w końcu ma pod nogami twardy, chociaż bardzo niepewny grunt. Odpoczęła chwilę, a potem wsparła ciężar całego ciała na jednej nodze i szarpnęła się w górę najwyżej, jak mogła.

Dzięki temu skokowi zyskała prawie trzydzieści centymetrów. Lina rozkołysała się szerokim łukiem, dziewczyna więc obijała się o ściany rozpadliny i nieomal rozluźniła chwyt, ale mimo to trzymała się mocno tak długo, dopóki w końcu nie znieruchomiała. Krawędź szczeliny znajdowała się teraz w zasięgu ręki. Dźwignęła się o kilka centymetrów, zaczerpnęła głęboko tchu, a potem znów ruszyła w górę. I tak pięć razy, aż dosięgnęła wreszcie krawędzi szczeliny i znalazła w niej chwyt. Nie zdołała jednak wyjść na powierzchnię, bo lód pokruszył się jej w rękach i znowu spadła w czeluść.

Straciła oddech, w ciemności przed jej oczami zatańczyły jakieś białe kształty. Słyszała, jak sanie suną coraz bliżej krawędzi, ale po chwili stają z chrzęstem płóz.

Długo odpoczywała, wirując powoli w uprzęży dookoła własnej osi. Nie chciała tu umrzeć - postanowiła, że tu na pewno nie umrze - więc chociaż była zeszywniała, zmarznięta i osłabiona, zaczęła wspinać się po raz kolejny.

Wreszcie po dwóch dalszych próbach, dzięki pogłębionemu nogą pęknięciu w ścianie rozpadliny, wygramoliła się po linii na górę, opadła na śnieg i odczołgała się od krawędzi szczeliny, bo bała się, żeby lód znów się pod nią nie załamał. Potem położyła się na plecach i spojrzała w niebo. Zaczęła płakać. Łzy przymarzały jej do twarzy, ale nie mogła ich powstrzymać. Ogarnęła ją ogromna ulga, bo znów poczuła twarde grunto pod nogami. Jej uwagę zwróciła jakaś wyjątkowa, biała, pękata gwiazda, świecąca na ciemnym niebie z jasnością żarówki. Pozwoliła swoim oczom błąkać się dłuższą chwilę po jej jakby poranej i poobijanej powierzchni, próbując złapać oddech. Nawet nie wiedziała, kiedy się w końcu zorientowała, że owa gwiazda to księżyc.

Niewiele brakowało, żeby straciła przytomność z wyczerpania, co oznaczałoby zamarznięcie na śmierć. Dlatego zmusiła się, żeby wstać, i na chwiejnych nogach podeszła od tyłu do sań. Miała problem z otwarciem bagażnika. Przylegające wciąż do jej rąk podszewki rękawiczek podarły się na strzępy podczas wspinaczki, więc teraz oderwała kilka z nich zębami. Nie chciała patrzeć na ręce - nie chciała wiedzieć, co się z nimi stało, ale nie mogła unikać ich widoku zbyt długo. Okazało się, że ma zdartą skórę na poranionych dłoniach, przypominających teraz zgniłe brzoskwinie, a czubki wszystkich dziesięciu palców są odmrożone i czarne. Jezu Chryste! Manipulowała jednak przy zatrasku i w końcu udało się jej go otworzyć, bo na szczęście księżyc oświetlał sanie dosyć jasno. Opatrzyła rany kremem antyseptycznym i owinęła ręce bandażami, które znalazła w apteczce, po czym znów naciągnęła rękawiczki i odwróciła dłonie grzbietami w dół, przyglą-

dając się zarysowi każdego palca z osobna, by sprawdzić, czy któryś z nich nie jest złamany albo spuchnięty w stawie. Psiakrew, wszystkie były pozbawione czucia.

Rozstawienie namiotu zajęło jej znacznie więcej czasu, niż przypuszczała. Wbiła kołki w śnieg, zamknęła się w środku i czekała, aż ciepło grzejnika rozejdzie się stopniowo po całym wnętrzu.

Po kilku minutach poczuła, że zaczyna tajać, a z brwi i włosów spływa woda. Spodnie i kurtka stopniowo traciły sztywność, opadając swobodnie wokół ciała. Wiedziała, że powinna się rozebrać przed wejściem do śpiwora, ale po prostu nie miała na to siły.

Tej nocy od strony gór przyszedł wyjący wiatr, a kiedy się obudziła, na zewnątrz ciemniał śnieg, piętrzący się potężną falą i uniemożliwiający wyjście z namiotu, nie wspominając już o ciągnięciu sań. Przez trzy następne dni wyłącznie spała i jadła, czekając, aż skończy się burza śnieżna. Nasłuchiwała szelestu śniegu niesionego na skrzydłach wichru, a krew powoli zaczynała żywiej krążyć w jej żyłach, wywołując na całym ciele pieczenie, od którego aż kulila się w sobie. Jej dłonie i ręce stopniowo się goiły.

Trzeciego dnia z niezrozumiałych dla niej powodów zaczęła wspominać mały osiedlowy park w pobliżu apartamentowca, w którym mieszkała. W centrum tego parku, na placu z czerwonej kostki, wytyczonym na przeoranej korzeniami ziemi, stały żelazne ławki, gdzie ludzie przychodzili czytać książki, spacerowali z psami i apelowali o podpisywanie rozmaitych petycji. Przeżyła w tej dzielnicy cztery zimy, ale nie pamiętała, by kiedykolwiek odwiedzała park, kiedy leżał w nim śnieg. Było to miejsce wiosenne i letnie, a może nawet jesienne, ale przede wszystkim wiosenne. Promienie słońca zawsze ogrzewały tu kostkę chodnikową i żelazne ławki, a drzewa, czyli kilka cienistych dębów i sosen, bez względu na porę roku zdawały się wypuszczać świeże listki i pączki.

Park tak różnił się od jej namiotu, stojącego w oku burzy śnieżnej i będącego jedynym zacisznym miejscem na wiele kilometrów wokoło, że mo-

że dlatego Laura rozmyślała o nim tak uporczywie: bo namiot zapewniał jej schronienie przed śnieżycą, a park przed rzeczywistością. Mogła w nim odpoczywać, nie zważając na trzaskający mróz i szalejącą wicher.

Przypomniała sobie młodych ludzi na wrotkach, których tam widywała, sunących szybko i zgrabnie między przechodniami, rozjeżdżających się, a potem znów dołączających do siebie wdzięcznymi, zwinnymi i impulsywnymi ruchami, przywodzącymi na myśl stadko ptaków. Na brukowym płaskowyzu w pobliżu ulubionej ławki Laury cztery starsze kobiety grały zwykle w madżonga. Siedziały na składanych krzeselkach turystycznych, które przynosiły ze sobą do parku. Zawsze krzyczały na wrotkarzy, gdy przejeżdżali zbyt blisko, wygrażały im pięściami i wołały coś w jakimś obcym języku. Jedna z nich przyprowadzała czasem do parku swoją wnuczkę, małą dziewczynkę, okrągłą jak melon, która potrafiła spędzić cały dzień, radośnie ssąc gładką kostkę do gry. Pewnego razu, już opuszczając park Laura pochyliła się nad dzieckiem, żeby wypłatać je z becika, a wtedy mała zdumiewająco silnie chwyciła ją za palec, po czym przyciągnęła go i wcisnęła do ust.

- Czy ktoś mógłby mi pomóc? - zwróciła się Laura do kobiet grających przy stoliku w madżonga. - Halo!

Ale kobiety nie zwróciły na nią najmniejszej uwagi, tylko jeszcze głębiej pochyliły się nad swoimi kostkami. W końcu wyciągnęła palec z ust dziewczynki bez niczyjej pomocy, ale kiedy się odwróciła, żeby odejść, stanęła twarzą w twarz z jakimś mężczyzną, który jakby tylko na to czekał. Był na rowerze, ale teraz stał nieruchomo, opierając się na lewej nodze. Laurze wydawało się, że się śmieje, więc sama zaczęła się śmiać, a mężczyzna podał jej bandanę, żeby wytarła w nią zaśliniony palec. „Proszę!” - powiedział. Kiedy zapytał, czy któregoś dnia będzie mógł ją zaprosić na drinka, odpowiedziała, że tak.

Mężczyzną tym był Mike Hargett, ostatni z tych jej chłopaków, z którymi spotykała się tylko przelotnie - ten sam, który powiedział, że Laura używa szminki takiego koloru, że miałby ochotę odgryźć jej usta.

Poza tym kiedyś podarowała pudełko zapalek jakiemuś człowiekowi, którego nigdy wcześniej nie widziała na oczy mężczyźni w traperach i eleganckim garniturze - był to drobiazg, o którym nigdy jednak nie zapomniała. „Nie masz przypadkiem ognia?” - zapytał mężczyzna. Ona wprawdzie nie paliła, ale przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru wzięła pudełko zapalek z restauracji. Przebiegł ją nawet maleńki, elektryczny dreszcz emocji, kiedy zaczęła szukać ich w torebce. Ucieszyła się, tak jak niegdyś w dzieciństwie, że może wyświadczyć komuś jakąś przysługę. „Niech pan je sobie weźmie” - powiedziała, a mężczyzna zapalił zapalniczkę, przytknął płomień do koniuszka papierosa i odszedł.

Właśnie skończyła się ostatnia wojna i wydawało się, że w parku zebrało się dosłownie całe miasto. Jakaś kobieta przerzucała z ręki do ręki gumową piłeczkę. Nieznajomy mężczyzna prowadził na smyczy psa. W pobliżu kręciło się paru policjantów, a tu i ówdzie Laura dostrzegała żółte kołnierze funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Biologicznego, których zawsze można było spotkać w większych skupiskach ludzkich. „Agencja Bezpieczeństwa Biologicznego - tak się przedstawiali. - Będziemy musieli przeszukać pani torebkę”. Mała dziewczynka z przewieszoną przez ramię skakanką starannie układała kępki sosnowych igieł wokół gałązki, którą wbiła w ziemię. Dwaj nastoletni chłopcy trzymali się za ręce, szepcząc coś do siebie. Na ławce przysiadła staruszka, zzuła buty i zaczęła pomrukiwać coś pod nosem po włosku, rozprostowując palce u stóp. Laura zauważyła też jakiegoś mężczyznę, niosącego transparent z napisem JEZUS NADCHODZI. NIE DAJCIE SIĘ OSZUKAĆ. Dalej autor napisał też Z WYRAZAMI SZACUNKU, jak gdyby podpisywał list, bo niżej figurowało także jego nazwisko.

Usiłowała je sobie przypomnieć, ale nie mogła. Carter? Carlson? Karlsbad. Jaskinia. Stalaktyt. Stalagmit. Stalag. Gułag. Obóz śmierci. Bóle porodowe. Narodziny. Życie. Kreacja. Wydawało się jej, że nazwisko mężczyzny z transparentem brzmiało jakoś dziwnie, może Carter albo Carlson, a może jednak Kreacja. W każdym razie pierwszą głoską na pewno było „k”, nie mogła jednak sobie przypomnieć nic więcej. Ścianki namiotu lekko

się wydeły, kiedy wiatr na dłuższą chwilę ustał, a potem znów zaczął dmuchać. Leżała w śpiworze, wpatrując się w ciemną pustkę.

Carmen. Kevin. Kermit.

Na litość boską, jak się podpisał ten facet na transparencie?

Kiedy przestała się nad tym zastanawiać, morzył ją już sen.

TLR

— ROZDZIAŁ JEDENASTY —

Zmiany

Do miasta przyszła zima i wszędzie zalegał śnieg: na jezdniach, na chodnikach, w fontannach, na ławkach parkowych, nawet na drzewach i liściach - a w każdym razie na tych, które nie przechylały się na boki. Lindell Trimble musiał teraz brnąć każdego ranka przez wysokie, zbite zaspę tego białego gówna tylko po to, żeby wyjść ze swojego apartamentowca na ulicę, ale poza tym śnieg czyhał na niego wszędzie. W tej dzielnicy na jezdniach i na chodnikach biały puch w większości rozpuszczał się pod kołami aut i nogami przechodniów, potem jednak znów zamarzał po zachodzie słońca, tworząc przypominającą szybę warstewkę lodu, którą dało się zauważyć tylko dlatego, że działała trochę jak szkło powiększające, i na której co chwila ktoś się wykladał jak długi. Trimble stawał czasem w drzwiach i przyglądał się przechodniom lądującym na tyłkach, a każdy kolejny upadek wydawał mu się idiotyczniejszy od poprzedniego. Przechodnie przypominali mały albo szmaciane lalki, nie ludzi, i dlatego myślał, że on sam mógłby wyglądać równie żałośnie i że jakiś gogusiowaty skurwysyn w trzyczęściowym garniaku mógłby się przypatrywać, jak Lindell ślizga się na lodzie i pada, wydawała mu się przerażająca. Dlatego wybierał zawsze drogę przez śnieżne zaspę leżące przy krawężniku, nie zważając na przykre konsekwencje tej decyzji dla swoich butów i spodni.

Tego ranka przeciskał się akurat przy jakimś porzuconym samochodzie, kiedy znów napadł go ten cholerny żebrak - ten natręt, którego nigdy nie udawało mu się p0_ zbyć. Facet od razu zaczął swoje, jak zdarta płyta: „Ma pan dla mnie parę groszy na mleko dla dziecka? Hej, przyjacielu, weź no, posłuchaj chwilę. Wyglądasz na bogatego i ustosunkowanego człowieka. Na pewno masz parę groszy, którymi mógłbyś wesprzeć bliźniego w potrzebie, co nie?”.

I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej.

Żebrak jak zwykle pojawił się niespodziewanie niczym grom z jasnego nieba, a kiedy zrozumiał, że Lindell mu nie odpowie, zaczął krzyczeć i wymachiwać rękami.

- Co z tobą, koleś? Że niby jesteś lepszy ode mnie, tak? Wielkie z ciebie panisko, ale nie potrafisz nawet spojrzeć człowiekowi w oczy. Myślisz, że jesteś ważniakiem, bo masz skórzaną teczkę i chodzisz do fryzjera, gdzie płacisz sto dolarów za wizytę?

Mężczyzna ruszył w ślad za Lindellem na drugą stronę ulicy. Obaj ślizgali się niezdarnie na lodzie jak osły, a kiedy dotarli do zwałów brudnego śniegu przy przeciwległym krawężniku, biegnący za nim żebrak chwycił go za rękaw. Lindell odepchnął mężczyznę.

- Hej - powiedział żebrak. - Hej, spoko.

Wyciągnął przed siebie ręce w pojednawczym geście.

Nosił charakterystyczne czarne rękawiczki bez palców, będące rozpoznawalnym na całym świecie znakiem miejskiej biedoty. Ale co, czy Lindell miał dojść do wniosku, że takich jak on nie stać na rękawiczki z zakrytymi palcami? Czy o to tamtemu chodziło?

- Hej, człowieku, przepraszam. Po prostu chciałem wydebić parę groszy - powiedział żebrak. - Wiesz, jak jest, nie? Ale musisz zrozumieć, że jestem twoim kumplem, co nie, koleś? A kumple powinni sobie nawzajem pomagać, prawda? Więc może zajrzałyś jeszcze raz do kieszeni? Na pewno masz coś, czym mógłbyś wesprzeć kumpla.

Lindell zdał sobie sprawę, że jego tradycyjna strategia, polegająca na sfabrykowaniu jakiejś wygodnej wymówki (w takich chwilach udawał na przykład, że zauważył kogoś znajomego na ulicy albo że właśnie dzwoni jego telefon) i oddaleniu się dostojnym krokiem, tym razem nie okaże się skuteczna. Szedł jednak dalej, brnąc nogą za nogą w śnieżnej zmarzlinie.

- Słuchaj no - warknął. - Nic ze mnie nie wydusisz, więc odczep się nareszcie, do jasnej cholery!

Żebrak natychmiast przystanął, wydając zduszony chichot.

- Tak, panie. Tak jest, wasza wysokość - powiedział. - W tej chwili, wasza królewska mość na waszym zasranym złotym tronie!

Podniósł dwa palce do czoła, jakby salutował. Lindell oglądał się za nim tak długo, aż wreszcie spostrzegł, że żebrak rozgląda się za następną ofiarą.

Czasami myślał, że jest w nim coś takiego, co już z daleka przyciąga do niego tego rodzaju ludzi. Czy wiecie, że są na świecie zwierzęta, które przemierzają wiele kilometrów w poszukiwaniu najczystszej wody, żeby się wypróżnić? No więc Lindell uważał, że on jest właśnie takim najczystszym miejscem, a żebracy to jakby dzikie zwierzęta. Było w tym niemal coś niesamowitego. Na każdym dworcu albo w centrum handlowym to zawsze on ciągnął za sobą, powiedzmy, długi szereg członków pewnej znanej sekty religijnej, eksplodujący za jego plecami jasną flarą podgolonych łbów, pomarańczowych szat i krótkich „kucyków”. Wariaci, oszuści, narkomani i schizofrenicy: wydawało się, że zawsze i wszędzie potrafią go wytropić. Nawet tutaj, w tym mieście, dopadał go ten żebrak ze skołtunioną brodą i opowieściami o swoim ciężkim życiu albo ter drugi wariat, ten z tymi transparentami, cierpiący na obj sesję na punkcie ptaków i Jezusa Chrystusa.

Wstąpił do kawiarni na filizankę espresso. Była to soboj ta, a w każdym razie dzień, który wszyscy postanowili uznać za sobotę, więc Lindell wiedział, że biura Coca- -Coli będą w większości świecić pustkami. Recepcjonista nie poda mu poczty, a zespół marketingowy nie zbierze się na zebraniu. Popijał kawę na stojąco, przy wysokim kontuarze, wyglądając na ulicę, w zaułek i pokryte śniegiem boisko do koszykówki, na którym z obu metalowych obręczy zamiast koszy zwisały lodowe żyrandole. Pomyślał, że przy pierwszym celnym rzucie piłką lód popęka na tysiące ostrych jak sztylety sopli. „Siup, trzask, łup” - i na boisku następnego dnia na pewno zabraknie paru graczy.

Dopił kawę i ruszył pasażem do budynku po drugiej stronie Erendira Street. Wszedł wejściem dla dyrekcji - miał własny klucz - i zamknął je za sobą. Na dole było ciemno i cicho, wokół panowała dziwna, teatralna atmosfera, i Lindell poczuł, że - tak jak we wszystkich biurowcach w weekendy - otacza go wielka pustka, niczym w górskim kanionie. Wjechał windą na siódme piętro. Dokument, którego szukał, leżał w górnej szufladzie. Wiedział od kilku tygodni, że nie należy zostawiać go na wierzchu, ale dopiero przedwczoraj, kiedy sączył szkocką i słyszał kocię muzyki, którą nastawił na cały regulator jakiś dupek z jego bloku, zdecydował się, co powinien z nim zrobić. Jak dotąd nie więcej niż dziesięć osób wiedziało, o co chodzi (a raczej miało o tym jakieś takie pojęcie, bo choć jego koledzy byli bez wyjątku ekspertami w swoich dziedzinach, nikt w firmie nie potrafił skojarzyć wszystkich faktów i nie wiedział wszystkiego). Poza tym wszyscy się zgodzili, że nie ma żadnego powodu, by mieli dzielić się swoją wiedzą z innymi. Po co wywoływać wilka z lasu i robić problemy tam, gdzie panuje spokój i niewiedza, skoro spokój w zasadzie oznacza niewiedzę, a niewiedza - spokój?

Lindell do ostatniego tchu będzie zaprzeczał, że jest w jakikolwiek sposób winien temu, co się stało. To nie on. Do jasnej cholery, on nie mógł nic zmienić. Fakty jednak wyglądały tak, że ten, kto wyprodukował wirusa, zrobił to zaledwie kilka miesięcy po tym, jak Lindell i jego dział PR rozpoczął tak zwaną kampanię białego proszku, więc oczywiście przyszło mu do głowy, że może to ona sprowokowała wszystkie późniejsze wypadki - a nawet że były one po prostu reakcją na nią. Dział obsługi klienta dostał mnóstwo skarg w dniach najciekawszych przesłuchań w Kongresie i największej wrzawy medialnej, w tym przynajmniej jeden pisany odręcznie list, którego autor obwieszczał koniec świata. Lindell wiedział jednak z doświadczenia, że świat roi się od wariatów i nieudaczników, którzy robią sobie kozła ofiarnego na przykład z takiej czy innej międzynarodowej korporacji, bo mają kiepską pracę, są brzydki i nikt ich nie kocha, a poza tym nie mają nic lepszego do roboty, więc telefonują tylko z pogrózkami albo piszą

listy. Ale tacy ludzie rzadko mają dość jaj, by spełnić swoje groźby, zostali bowiem pokonani jeszcze przed walką.

Mimo to ktoś postanowił wykorzystać Coca-Colę jako centrum dystrybucji wirusa. Co do tego nie było wątpliwości. Pozostawały jednak dwa inne pytania: kto to zrobił i dlaczego?

Pracownicy działu PR byli na przykład przekonani, że to robota islamskich fundamentalistów, jakichś anarchoekologów, a może nawet - chociaż był to właściwie tylko po-nury żart - Pepsi-Coli.

Lindell uważał jednak, że ten, kto wyhodował wirusa nie miał właściwie nic konkretnie przeciwko Coca-Coli. Chodziło mu po prostu o wykorzystanie produktu o możliwie najszerszym zasięgu na rynku, produktu, dzięki któremu wirus rozprzestrzeniałby się zdecydowanie najszybciej - i w tym wypadku okazało się zatem, że „Coca-Cola to jest to!”.

Okolo dziesięciu lat wcześniej, w reakcji na spadające ceny transportu z jednej strony i coraz większe zanieczyszczenie wody z drugiej, firma postanowiła przenieść całe swoje przetwórstwo do jednej fabryki, zbudowanej na północnym wybrzeżu Wenezueli, Było taniej filtrować wodę do wszystkich napojów chłodzących firmy w jednym miejscu i wysyłać je potem na cały świat, niż prowadzić produkcję w pięćdziesięciu oddalonych od siebie zakładach i próbować oczyszczać wodę w każdym z nich z osobna. Lindell nigdy nie był w wenezuelskiej fabryce, nie znał więc jej układu, ale podejrzewał, że ktoś włamał się do budynku, gdzie znajdowały się maszyny i urządzenia przetwórcze, i wpuścił wirusa bezpośrednio do zbiorników z syropem. Tam też mieszało go z wodą, nasycano dwutlenkiem węgla, rozlano do butelek i rozesłano po całym świecie. W ten sposób wirus trafił do konsumpcji.

Oczywiście w większości były to z jego strony tylko domysły. Lindell jako jedyny delegat z działu PR wziął wprawdzie udział w pierwszym spotkaniu jednego z dyrektorów wykonawczych firmy z przedstawicielami Agencji Bezpieczeństwa Biologicznego, ale jej funkcjonariusze

mogli stwierdzić z całą pewnością tylko tyle, że rozkład zakażeń wskazuje, że rozprzestrzenianie się wirusa ma związek z dystrybucją coca-coli i że Agencja zamierza monitorować zaistniałą sytuację.

Rozmowa była bardzo krótka i Lindell zapamiętał ją w całości.

- Ile osób zostało zarażonych? - zapytał dyrektor. - Kilka czy kilkaset tysięcy?

Jeden z funkcjonariuszy Agencji spojrzał na drugiego i obaj zmarszczyli brwi.

- Co? Czyżby kilka milionów? - dopytywał się dyrektor.

- Wolelibyśmy nie domyślać się prawdy, proszę pana.

- Jeszcze więcej?

- Proszę pana, jak już powiedziałem...

- No więc co mamy robić? Chcecie, żeby firma wycofała z rynku wszystkie swoje produkty? Swoją drogą, mam nadzieję, że pracujecie nad jakimś lekarstwem, to znaczy nad antidotum albo czymś w tym rodzaju...

- Ten wirus jest zabójczy. Tylko tyle wolno nam powiedzieć - odparł jeden z agentów, ścisząc głos. - Ja mogę jedynie dodać, że rozprzestrzenienie się chyba bardzo szybko, i to nie tylko wśród konsumentów coca-coli.

Dopiero po chwili dyrektor pojął, co to w istocie znaczy: że jest za późno na podjęcie jakichkolwiek działań. Że sytuacja wymknęła się spod kontroli. Że wszyscy będą musieli przyglądać się meczowi z ławki rezerwowych i żyć wyłącznie nadzieją.

Dyrektor westchnął przeciągle.

- O żeż kurwa jego pierdolona mać - powiedział.

- W rzeczy samej, proszę pana.

Potem funkcjonariusze Agencji Bezpieczeństwa Biologicznego wyszli, a oni siedzieli dalej przy stole konferencyjnym, gapiąc się na siebie tępym wzrokiem, aż wreszcie ktoś złamał milczenie, mówiąc: „Jezu Chryste”, i dyrektor kazał im wszystkim przysiąc, że zachowają tę informację w tajemnicy.

Zaledwie kilka dni później Lindell opracowywał komunikat dla prasy, zaprzeczający jakimkolwiek związkowi Coca-Coli z wirusem, kiedy internetowe serwisy informacyjne doniosły, że choroba rozprzestrzeniła się też drogą powietrzną i wodną. Dzień albo dwa potem Trimble przygotowywał oświadczenie w sprawie sytuacji kryzysowej, które dyrektor firmy miał odczytać na posiedzeniu zarządu, nadeszła bowiem wiadomość, że epidemia dotarła jui do wybrzeży Stanów Zjednoczonych.

Wracając wieczorem do domu swoim samochodem, siedzący za kierownicą Lindell prawie nie widział drogi.

Zmarł nad ranem.

Dokument, którego szukał, leżał dokładnie tam, gdzie go zostawił, za aktami w górnej szufladzie biurka. Była to lista nazwisk dziesięciu osób, obecnych na owym spotkaniu z funkcjonariuszami Agencji, a zatem zdających sobie sprawę z odpowiedzialności firmy za epidemię, a także podpisane przez nich oświadczenie, zobowiązujące wszystkich uczestników narady do milczenia, również wobec licznych innych pracowników Coca-Coli - mieszkających obecnie w dzielnicy pomnika. Na dokumencie widniało dziesięć podpisów, ale na drugą stronę przeszło tymczasem tylko sześć z tych osób. Sześć osób, które zapewne znały tę całą Laurę Ptack, choć Lindell za Boga nie mógł jej sobie przypomnieć. Na pozostałą czwórkę nadal czekano w mieście, jednak tych sześcioro, którzy już tu byli, wiedziało, że minęło na tyle dużo czasu, że tamci prawdopodobnie już tu nie trafią.

Dyrektor uważał, że jako twardy dowód w całej tej sprawie oświadczenie powinno zostać zniszczone, a Lindell w pełni zgadzał się z nim w tej kwestii.

I chociaż nikt niczego Trimble'owi nie nakazał, był prawie pewien - raczej tak niż nie - że pozostali uczestnicy spotkania nie będą mu mieli za złe, że bierze inicjatywę w swoje ręce.

I stało się tak, że w ciemności swojego biura, rozświetlonej tylko lampą na biurku, wrzucił skurwysyna do niszczarki i przyglądał się, jak paski papieru suną w dół pojedynczą, wiotką zasłoną do wyłożonego plastikowym workiem kosza na śmieci. Pomiedzy workiem a ścianką kosza było tyle powietrza, że foliowa gardziel przypominała jakby odbytnicę, a papier osiadał miejscami na powierzchni plastiku niczym płatki taniej karmy dla rybek, unoszące się na powierzchni akwarium. Dlatego Lindell musiał rozepchnąć worek i wycisnąć powietrze z kosza, by paski pociętego dokumentu, swobodnie opadły na dno, ale kilka z nich poszybowało przy okazji na podłogę. Na jednym zauważył napis „Lind”, na drugim „soev”, a na trzecim „ola”. Podnosił je właśnie z podłogi, kiedy usłyszał za plecami ciężkie kroki.

- Rzadko można tu kogoś zastać w sobotę.

Po grzbiecie prostującego się Lindella przebiegł jakby prąd elektryczny. Stał przed nim dozorca budynku.

- Tak, ale my zabieramy czasem robotę do domu - rzucił bez zastanowienia Lindell i otoczył kosz na śmieci ramieniem, obejmując go niczym wielkiego ptaka, któremu chciał uniemożliwić trzepotanie skrzydłami. - Wie pan, jak to jest.

- Nie, nie wiem - odparł dozorca.

- No tak, jasne. - „Zamknij się i idź stąd”. - Pan wykonuje zupełnie inną pracę.

Dozorca wskazał kosz.

- Mam go opróżnić?

- Och nie, nie. Sam to zrobię - odpowiedział Lindell. - Korona mi z głowy nie spadnie. Ale dziękuję. Dziękuję pa_ nu bardzo. - Instynktownie przecisnął się obok wózka ze środkami czystości, papierem i przyborami biurowymi i ruszył w głąb korytarza, gdzie przystanął, czekając na windę, żeby zjechać na dół, do recepcji.

Nie minęły dwie minuty, gdy znalazł się na ulicy z niewielkim metalowym koszem na śmieci w rękach. I co on, do cholery, niby miał z nim zrobić? Nie mógł tak po prostu zostawić go na ulicy, gdzie każdy, kto miałby dość ciekawości, cierpliwości i kleju, mógłby zebrać i scalić dokument z powrotem. Z tego samego powodu bał się też wrzucić kosz do jednego z ponad setki olbrzymich kontenerów na odpadki stojących w całym mieście - bo skąd mógł wiedzieć, kto znajdzie zniszczony dokument? Gdyby zabrał kosz do domu, zobaczyłby go portier, który nosił srebrny krzyżyk na szyi i zadawał zawsze setki pytań: „Jak minął panu dzień? Nie do wiary, ile wczoraj spadło śniegu, prawda? A co pan tam ma, panie Trimble? Kosz na śmieci? A w nim pocięty papier? A o czym tam było? Może coś o Coca-Coli?”. Z kolei gdyby wrócił z nim do biura, musiałby jakoś zmylić czujność dozorca.

Może była to z jego strony tylko paranoja, ale doświadczenie podpowiadało mu, że zawsze znajdzie się ktoś, kto tylko czeka na okazję, żeby udupić bliźniego, i Lindell już dawno postanowił, że zrobi wszystko, co w jego mocy - że będzie nawet kłamał i oszukiwał - aby to on był zawsze osobą udupiającą, nigdy zaś udupianą.

Stał na środku chodnika, ciągle pokrytego śliską warstwą lodu, panował bowiem mróz, i patrzył, jak jeden, drugi, a potem trzeci przechodzień, chcąc go ominąć, traci równowagę i wywija kozła. Wydawało mu się, że uczestniczy w jakiejś niewymagającej żadnego wysiłku karnawałowej grze towarzyskiej. „Brzdęk! Brzdęk! Brzdęk!” - padali jeden za drugim.

Prędzej czy później ktoś jednak niewątpliwie zapyta go o ten kosz, więc Lindell ostrożnie wkroczył na pas śniegu leżącego przy samym krajeźniku i ruszył przed siebie ulicą. Taksówki nie kursowały, bo jazda sa-

mochodem w takich warunkach nie była dobrym pomysłem. Na ziemi zalegał wciąż lód, a słońce nie wyszło zza chmur przez całe przedpołudnie. Co za zaskarany dzień! Może później, kiedy piesz, wyższa temperatura i pierwsi ryzykanci za kierownicą zamienią śnieg na jezdni w błoto, taryfiarze włączą swoje liczniki i ruszą na popołudniowy patrol na miasto. Do tej pory jednak Lindell będzie skazany na poruszanie się wyłącznie na dwóch nogach, z koszem czy bez.

Przypomniał sobie, jak w czasach jego dzieciństwa na ulice wyjeżdżały ciężarówki z solą, kiedy spadało więcej niż kilka centymetrów śniegu. Żałował, że już ich nie ma - tych potężnych wozów i ich potężnych kierowców. Oczywiście, że ich nie ma. Są jedną z miliona rzeczy, które pozostały na tamtym świecie. Winą za to Lindell obarczył Laurę Ptack. Nie znała takich solarek ani ich kierowców, a zatem nie było ich w mieście. Nie znała żadnego programisty komputerowego, więc po tej stronie nie było żadnego przedstawiciela tego zawodu. Znała natomiast mnóstwo drobnych urzędników, ludzi ulicy i umorusane, rozwrzeszczane dzieciaki. Nie znała jednak żony Lindella, jego dziewczyny ani biednej zmarłej matki, więc musiał się obejść bez swojej rodziny.

I popatrzcie tylko, na co mu przyszło - na co przyszło im wszystkim. Na przykład, po drugiej stronie ulicy jakaś kobieta osunęła się na połamaną ławkę na przystanku autobusowym i bawi się czerwoną gumową piłeczką. W oknie mieszkania naprzeciwko inna kobieta podśpiewywała coś pod nosem, wciągając na grzbiet pomarańczową nylonową kamizelkę, jedną z tych, jakie noszą ludzie przeprowadzający dzieci przez jezdnię w okolicach szkół. W restauracji nieznany mu mężczyzna białym plastikowym widelcem jadł coś, co wyglądało na sałatkę z tuńczyka, podaną na sałacie lodowej. Facet zatknął sobie za gors papierową serwetkę, wyglądającą jak śliniak. Co za żałosne typy!

Z nich wszystkich jedynie on, Lindell, wykazał się zdrowym rozsądkiem i doprowadził do spotkania mieszkańców, gdy miasto opustoszało.

Co robi człowiek, kiedy ziemia usuwa mu się spod nóg, a on pragnie zwrócić na siebie uwagę? Chwyta za broń i strzela.

Można by przypuszczać, że znajdzie się ktoś na tyle inteligentny, kto wpadnie na ten pomysł. Ale nie.

Jakiś facet rozdawał na rogu gazetę. Lindell usiłował go ominąć, gość jednak zastąpił mu drogę.

- Okropną mamy ostatnio pogodę, co?

„Cudownie”, pomyślał. Jeszcze jedna rozmowa o pogodzie.

- Owszem.

- Czy mogę zapytać, co pan ma w tym koszu?

- Nic ważnego. I nic niezwykłego.

Facet uśmiechnął się od ucha do ucha i zrobił szeroki gest ręką.

- Nagłówek: „Mężczyzna wlecze po śniegu kosz na śmieci. Nie chce wyjaśnić dlaczego”.

W tej chwili do gazeciarza podeszła jakaś kobieta z dwoma styropianowymi kubkami w rękach i pocałowała go w policzek.

- Mieli tylko bezkofeinową, więc przyniosłam ci gorącą czekoladę - powiedziała.

Lindell wybrał tę chwilę, żeby dać nogę, a gazeciarz i jego dziewczyna nie próbowali go zatrzymać, przebiegł więc na drugą stronę Park Street i ostrożnie wspiął się na schodki nieco powyżej ulicy, między zwałami śniegu otaczającymi placyk, na którym wokół pomnika rosło kilka samotnych drzew. Okazało się, że z koszem w rękach trudno jest balansować na śliskiej nawierzchni. Gdyby się poślizgnął w innych okolicznościach, rozrzuciłby ręce na boki, żeby odzyskać równowagę, ale ponieważ niósł kosz, musiał wykorzystywać łokcie i barki, przechylając się to w jedną, to w drugą stronę. Na pewno wyglądał jak kompletny idiota, lecz gdy tylko wdrapał

się na górę, zszedł ze ścieżki na trawnik, a świeży śnieg przyjemnie zachrząścił mu pod nogami. Pomnik wznoszący się nad białym polem i czarnymi ścieżkami dla pieszych przypominał szpilkę wbity w olbrzymią mapę - którą, jak pomyślał, miasto w zasadzie w pewnym sensie jest.

Na placyku kręciło się kilkadziesiąt osób, w tym facet, który próbował jeździć po śniegu na rowerze, dwóch obserwatorów ptaków i grupka tych parapsychologicznych maniaków, których od niedawna widywał w mieście coraz częściej - sześcioro obłąkanych kretynów stojących w koło, trzymających się za ręce i usiłujących skontaktować się telepatycznie z Laurą Ptack. Udało mu się ich ominąć, przemykając wzdłuż stojącego dalej kręgu ławek i stołów piknikowych. Przeszedł tak cały park, pozostawiając za sobą perforację śladów swoich butów w śniegu i czegoś, co przypominało kształtem odcisk talerza - bo czasami stawiał kosz na ziemi, żeby podciągnąć spodnie.

Od kilku tygodni prowadził w myślach długie rozmowy na temat końca świata. Były to zwykłe dyskusje, które - jeśli pozwolił sobie na nieostrożność - degenerowały się szybko we wściekłe kłótnie, a potem w przebiegające gwałtownie wyimaginowane debaty, w których różni ludzie - czasami sędziowie, czasem prokuratorzy, a niekiedy tylko anonimowe głosy - oskarżali go o to, że ponosi winę za rozprzestrzenienie wirusa. Twierdzili z uporem, że powinien był podjąć jakieś kroki, żeby powstrzymać chorobę, a przynajmniej ostrzec ich, że nadchodzi. „Dlaczego tego nie zrobiłeś?” - dokuczali mu. „Dlaczego nic nie zrobiłeś?”. Ale to nie była jego wina. Nie. Odpierdolcie się ode mnie. Lindell był zwykłym facetem, któremu przypadkiem udało się dostać ciepłą posadkę w dziale PR firmy Coca-Cola. Public relations polega na wygenerowaniu albo wykorzystaniu publicznego zainteresowania daną marką, a potem na odpowiednim skanalizowaniu go. Więc Lindell tylko generował i wykorzystywał społeczne zainteresowanie pewnym produktem - nie robił nic innego. Czy jakkolwiek myślący człowiek mógłby mieć o to do niego pretensje?

To prawda, że Trimble mógł złamać obietnicę, opowiedzieć prasie, co się dzieje i przyznać, że wirus przenosi się za pośrednictwem wyrobów ich firmy - „jest nam bardzo przykro”, i tak dalej - tylko co by to zmieniło? Wirus wymknął się już przecież całkiem spod kontroli. Bez względu na to, czy Coca-Cola jest winna, czy też nie, nie można go było powstrzymać.

Nie rozumiał, jak mógłby uczynić coś, co zmieniłoby w końcu bieg wydarzeń. Bo przecież tego właśnie chcieli od niego jego oskarżyciele, prawda? Zmiany. Zmiany biegu historii. Chcieli, żeby to on do niej doprowadził.

Ale wymagali od niego zbyt wiele. Niech idą wszyscy do diabła.

- Idźcie do diabła - powiedział to teraz na głos.

Schodził po schodkach jakąś boczną uliczką, z której - odkąd załamała się pogoda - mieszkańcy korzystali tak rzadko, że pod śniegiem nie było widać stopni. Trzymał kosz pod pachą, a drugą ręką łapał równowagę, niepewnie ześlizgując się na dół. Potem przeciął uliczkę między dwoma wieżowcami i skręcił w aleję, która musiała być kiedyś główną arterią miasta. Wszedł na chodnik, minął sklep samochodowy z częściami zamiennymi, sklep z zabawkami i biuro handlu nieruchomościami, a potem kiosk prasowy, sklep spożywczy i kafejkę, które opustoszały już kilka dni po rozpoczęciu „ewakuacji”. Im bardziej oddalał się od dzielnicy pomnika, tym mniej przechodniów spotykał, ale za to śnieg był coraz głębszy.

Zorientował się, że idzie w kierunku rzeki, a chociaż wcale tego nie planował, uznał, że to też dobre miejsce, by się pozbyć kosza. Niech woda wyniesie go z miasta, z dala od ulic i gmachów - z dala od wszystkich ludzi, którzy nie powinni go znaleźć - a potem niech kosz zatonie w jakimś jeziorze, oceanie albo większej rzece.

Kiedy był chłopcem, w nudne popołudnia zwykle wyprawiał się nad strumyki i rzeczki, leżące najdalej w odległości pół dnia marszu od domu, i wrzucał do wody wszystko, co tylko znalazł po drodze: plastikowe łyżki, laleczki, ołówki, patyki, kawałki woskowanej tektury - właściwie wszystko,

co pływa - po czym bombardował te przedmioty kamieniami i grudkami błota, próbując je ztopić. Nazywał to „zabawą w bombardowanie”. Pamięta że musiał długo wędrować wzdłuż autostrady w wysokie żółtej trawie, że woda zawsze płynęła szybciej na środku niż przy brzegach i że pewnego dnia złapał na płyciźnie maleńkiego piskorza, po czym wpuścił go do butelki p0 coli, zakręcił zakrętkę i wrzucił na środek rzeki, gdzie nurt był najbardziej rwący. Piskorz próbował uciec i wił się jak oszalały tak, że butelka bezustannie podskakiwała na wodzie w górę i w dół. Lindell poczuł wtedy, że wzbiera w nim fala przerażenia i współczucia - „biedna ryba” - więc zrzucił plecak, wszedł do wody i omal nie utonął, usiłując dosięgnąć tej cholerniej butelki, która oddalała się jednak zbyt szybko i wkrótce stracił ją z oczu. Kiedy dobrnął wreszcie do brzegu, wypluł i wykrztusił z siebie z litr zielonkawej wody, której próbował się też pozbyć z uszu przez następne trzy dni.

Dawniej był po prostu sentymentalnym fiutem.

Zdumiewające, jakie rzeczy człowiek może sobie przypomnieć, pozwalając swobodnie błądzić myślom.

Rzeka płynęła u stóp łagodnego wzniesienia. Lindell brnął w dół przez zasy, kosz na śmieci drżał w jego ramionach, a plastikowy worek wydymał się na wietrze i opadał, kiedy wiatr zamierał. Widział wiszący most łączący oba brzegi - jego liny rysowały się bielą na tle czerni, bo stał pokrywał śnieg. Od rzeki dzieliło go już najwyżej kilkadziesiąt metrów i dało się zauważyć, że zatoczki ze stojącą wodą przy brzegu pokrywa lód. Najpierw pomyślał, że cała ogromna rzeka uległa lodowej krystalizacji, ale kiedy wyteżył słuch, dobiegł go cichy szum i plusk, i gdy bliżej przyjrzał się powierzchni, zobaczył wreszcie ciemny strumień wody płynącej w lodowym kanale.

Doszedł na koniec drewnianego mola i zszedł na dół po drabince. Lód był dość gruby, żeby go utrzymać, i nie pękł ani nawet nie stęknął, gdy

Lindell ruszył na środek rzeki. Zatrzymał się dopiero nad krawędzią szczeliny.

Nikogo nie było widać. Wiał lekki wiatr.

Zawędrował tak daleko, że przyszło mu do głowy, że może trzeba by to jakoś uczcić, ale po chwili zrozumiał, że za tym pomysłem kryje się w istocie ceremonia pożegnalna na cześć jakiegoś zafajdanego kosza na śmieci, i wtedy pomyślał, że gówno, nic nie zrobi. Wrzucił więc kosz do rzeki i patrzył, jak się obraca i trochę zanurza, ale płynie dalej. Z worka wydostało się kilka pasków papieru, które sfrunęły na lód u stóp Trimble'a. Na jednym zauważył „sięgamy” (fragment słowa „przysięgamy”), a na drugim „winni” (fragment słowa „niewinni”). Nogą strącił je z powrotem do wody i rzeka uniosła papierowe strzępy. Kosz dryfował dalej.

Natychmiast ogarnęła go ulga. Czuł się tak, jak zapewne czuje się śluzka, kiedy otwierają się jej bramy, albo jak bomba, której zapalnik już działa. Ten dokument był ostatnim, i o ile wiedział, jedynym materialnym dowodem na to, że miał coś wspólnego z całą tą aferą z końcem świata. Jeżeli on i inni będą milczeć, nikt nigdy się nie dowie, co naprawdę zaszło.

A zatem, w pewnym sensie, nic się nie stało.

Tak to już jest na świecie.

Tymczasem kosz na śmieci zniknął za zakrętem. Lindell stracił go z oczu - nie było już po nim śladu.

Znalazł się nad rzeką przez przypadek i nie miał tu nic innego do roboty, zawrócił więc i po drabince wszedł z powrotem na molo.

W drodze powrotnej pod górę śnieg był równie głęboki jak wcześniej, ale teraz było mu o wiele łatwiej iść, bo obie ręce miał wolne. Zaczął się nagle zastanawiać, dlaczego się męczył z tym koszem, zamiast go wyrzucić byle gdzie, po prostu wyciągnąwszy z niego worek. W ten sposób na pewno oszczędziłby sobie sporo trudu.

Cóż, w tym mieście nie brakowało głupoty. Może okazywała się zarażliwa.

Nie mógł kierować się słońcem, bo nie było go widać na zachmurzonym niebie, ale wydawało mu się, że przebijające się zza chmur światło zaczyna powoli przygasać. Kiedy znowu zauważył pomnik, nad miastem zapadł już wieczór. Zamigotały i zapaliły się latarnie, i wszystko w ich świetle zaśniło: przystanki autobusowe, hydranty oraz miliony liści na tysiącach drzew dźwigających kopczyki białego puchu.

Wchodził już do swojego bloku, kiedy usłyszał za plecami ciche kroki.

- Czy to znów wielkie panisko, któremu się przelewa? Jak się masz, przyjacielu? Czy dzisiejszy mroźny dzień nie ostudził trochę twojego gniewu? I czy w takim razie nie mógłbyś mi pożyczyć paru dolców? Na ciepły posiłek i filiżankę najtańszej kawy. „Najtańszej”, oto najistotniejsze słowo mojej prośby, mam rację? Tak? Tak, widzę, że rozumiesz, co do ciebie mówię.

Lindell pochylił głowę i udawał, że nie słucha.

ZAWSZE TO SAMO. PRZESZEDŁ PIESZO PÓŁ MIASTA, ZAŁATWIŁ WSZYSTKO, CO CHCIAŁ, ZDARŁ ZELÓWKI, BOLAŁY GO NOGI, POZBYĆ SIĘ WSZELKIEGO POCZUCIA WINY, A KIEDY W KOŃCU DOTARŁ DO DOMU I CHCIAŁ WYCIĄGNĄĆ KLUCZE, ZNÓW DOPADŁ GO TEN FACET W CZARNYCH RĘKAWICZKACH, WYCIĄGNAŁ DO NIEGO RĘCE I ZACZAŁ BŁAGAĆ O WSPARCIE.

— ROZDZIAŁ DWUNASTY —

Ptaki

Zapasowego namiotu nigdzie nie było. Laura dokładnie przeszukała bagażnik, ale nie znalazła go wśród narzędzi. Kilka razy przypadkowo gasiła płomień świecy rękawem i musiała ją znowu zapalać. W zamkniętej przestrzeni bagażnika na ściankach tańczyły cienie. Była pewna, że nie wypakowywała namiotu podczas pobytu na stacji. I nie sądziła, żeby pozostawiła go na szelfie razem z innymi rzeczami - chociaż była wtedy tak zmęczona, że prawdę mówiąc, mogła zrobić wszystko. Ale nie miała pojęcia, gdzie on w takim razie, do cholery, mógł się zapodziać? Został w domku? Czy leży gdzieś na dnie jakiejś szczeliny lodowej?

Dopiero kiedy zasunęła zasuwkę, przypomniała sobie katastrofę, jaka przytrafiła się jej po drodze na jezorze lodowca, już podczas wyprawy na stację. Chciała pokonać sporą rozpadlinę, przejeżdżając przez przerzuconą przez nią deskę jak po moście, a potem po omacku szukała w gęsto padającym śniegu wszystkiego, co mogło jej wypaść podczas wypadku. I nagle nabrała całkowitej pewności, że właśnie wtedy zgubiła zapasowy namiot. Ujrzała samą siebie jak w obiektywie kamery - zobaczyła swoje błędzące po śniegu ręce i namiot, który jej dłonie ominęły zaledwie o kilka centymetrów. Widziała tę scenę wyraźnie, czarno na białym.

Zaledwie kilka dni wcześniej, kiedy wspinała się po stromej, śliskiej tafli gładkiego jak stół śniegu, łączącego szelf z kolonią pingwinów, nie przypuszczała, że zaginiony namiot zajmie tak wysoką pozycję na liście jej zmartwień. Bo miała także wiele innych problemów: co się stało z nartami? Czy zdoła obejść urwisko i wspiąć się na wzniesienie? Czy znajdzie na nim nadajnik? A jeśli nawet tak, to czy ktoś jej odpowie?

A wkrótce po wejściu na wzgórze, czyli pierwszej nocy, spędzonej w bezpośredniej bliskości kolonii pingwinów, zepsuł się grzejnik. Kiedy się obudziła, ściany pokrywał szron, którego błękitnoszare kręgi skrzyły się i lśniły w świetle świecy. Pot skuł ją kajdanami lodu pod szyją, w miejscu, z którego ze śpiwora wystawała głowa, i żeby z niego wyjść, musiała skruszyć lód kilkoma gwałtownymi ruchami ramion.

Ubranie zastygło w nocy w jedną masę przypominającą kwiat. Straciła prawie godzinę, próbując rozdzielić odzież i włożyć ubranie. Kiedy w końcu dopięła swego, zwinęła namiot ręcznie, chociaż czynność ta zajęła jej znacznie więcej czasu, niż przypuszczała. Nie mogła dostać się do grzejnika, nie rozrywając tkaniny (wprawdzie i tak nie umiałaby go naprawić, a co najwyżej wymienić), więc spakowała namiot i resztę dnia spędziła na kluczeniu z saniami pośród lodowych szczelin, spadających kamieni i rys powstających pod wpływem naporu wałów lodowych u podnóża urwiska. Zazwyczaj udawało się jej zachować trochę ciepła po przespanej nocy, ale nie tym razem, bo zmarzła bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Nie przypuszczała, że to w ogóle możliwe.

Następnej nocy było gorzej, a później jeszcze gorzej. Dziewczyna ogrzewała się tylko własnym ciałem i przy rozpalonym prymusie, którego starała się używać nie więcej niż przez kilka godzin dziennie, bała się bowiem, że wkrótce skończy się paliwo. Nastaly najmroźniejsze tygodnie zimy i temperatura spadała nawet do siedemdziesięciu stopni poniżej zera. Jej zmrożony pot zamienił śpiwór w sztywne, lodowate pudło. Nie wiedziała, ile czasu zabierało jej odmrażanie go co wieczór, żeby wejść do środka, ale na pewno nie mniej niż godzinę. Wbijała stopy w otwór i powoli wsuwała się do wnętrza, zatrzymując się co kilka chwil, by rozmasować mięśnie, ponieważ łapały ją kurcze w nogach, aż wreszcie udawało się jej rozpuścić w lodzie tunel. Ale i tak wciskała się do środka tylko z najwyższym trudem.

W końcu zasypiała, chociaż raczej z wyczerpania niż dlatego, że było jej ciepło i wygodnie. Spała źle i nic się jej nie śniło - sen nie był może płytki, ale urywany, i nigdy nie trwał dłużej niż sześć godzin. Często budziła się w nocy, bo drżała na całym ciele, a kurcze chwytaly ją stopniowo to tu, to tam: w nogach, w brzuchu, w ramionach... Potem przychodził czas, gdy uznawała, że nastał już ranek, i zaczynała kolejny dzień, wyczołgując się ze śpiwora i zatykając wejście do niego zapasowym ubraniem, żeby znów nie zamarzło.

Wędrówka na lęgowisko pingwinów ze skraju szelfu zajęła jej cztery dni, czyli trzy dni dłużej, niż się spodziewała. U stóp urwiska ziały rozpadliny i szczeliny lodowe, ostre skały wielkości stodoły i wyrastające nagle z płasni lodu zbocza wystrzelały w górę niemal pionowo. Za każdym razem, kiedy wydawało się jej, że szczyt jest już tuż-tuż, drogę zagrażała jakaś nieprzebyta przeszkoda i musiała zawrócić.

Często zasypiała podczas marszu, budząc się dopiero, gdy potykała się o własne nogi, wpadała na skałę albo zaczynała osuwać się w jakąś szczelinę. To cud, że nie zginęła.

Od czasu do czasu, kiedy ustawał wiatr, słyszała przenikliwe nawoływania pingwinów, przypominające porykiwania osłów albo tysiące otwieranych drzwi na zardzewiałych zawiasach. Chwilami myślała, że są już bardzo blisko w odległości najwyższej kilku metrów, po chwili jednak natykała się na stromą ścianę lodu albo znów zrywał się wiatr zagłuszający ptaki.

Wreszcie czwartego dnia, po kilku godzinach marszu w uprząży, kiedy wciągała sanie coraz głębiej w wąwóz, którego ściany, jak jej się wydawało, powoli się zamykały („kolejna ślepa uliczka”, pomyślała), zauważyła na zboczu urwiska otwór prowadzący chyba do jaskini. Wyżej był przesłonięty zaśnieżonym nawisem, otwór okazał się jednak dość szeroki, by mogła się w nim zmieścić razem z saniami.

Królicza nora.

Pochyliła głowę, wyszła z wąwozu na otwartą przestrzeń z drugiej strony i okazało się, że jest w kolonii pingwinów. Nie mogła w to uwierzyć.

Ptaki zauważyły ją jednak pierwsze. Zaczęły klekotać i bić skrzydłami o boki, a cały ten zgiełk odbijał się echem od lodowej ściany. Pingwinów było pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt, a może nawet sto - nawoływały się i kiwały z boku na bok jak pękate, czarne metronomy. Nie zbliżały się do niej, ale i nie cofały. Pomyślała, że przyzwyczały się już do obecności ludzi. Ostatecznie całe zespoły naukowców badały ich życie już od ponad stu lat. Ujrzała, jak jeden z ptaków wskakuje do morza, którego długi, zakrzywiony paluch sięgał lodowej zatoczki. Po chwili pingwin wynurzył się, kłapiąc dziobem, w którym najwidoczniej trzymał coś do zjedzenia, a potem poczłapał z powrotem do stada. Wiatr niósł ostrą, przenikliwą woń ptasich odchodów, której mróz prawie wcale nie osłabiał.

Ostatniego żyjącego na wolności wieloryba widziano w tej okolicy ponad trzydzieści lat temu, mniej więcej wtedy, gdy Laura przyszła na świat, a uczeni zgadzali się powszechnie, że zwierzęta te najprawdopodobniej już wymarły, jak wcześniej słonie, goryle i inne wielkie ssaki. Niewykluczone, że na tych rzadkich i niewielkich obszarach oceanu, jeszcze niezagospodarowanych pod produkcję żywności, żyło wciąż kilka samotnych osobników, ale były to tylko niczym niepotwierdzone domysły. W każdym razie Laura nie widziała na Antarktydzie ani jednego z tych zwierząt, mimo że poszukiwanie wielorybów należało do jej obowiązków służbowych. Kontynent zamieszkiwały jednak nadal stada lampartów morskich i wielkie skupiska wydryków, chociaż w zatoczce nie było ani jednych, ani drugich, dlatego najlepiej żyło się tu pingwinom, miały bowiem mnóstwo pożywienia w postaci kryła, którego nie pożerały

wymarłe już wieloryby. Ptaki istotnie były tak ogromne, jak słyszała Laura, że nie zdziwiłaby się, gdyby niektóre z nich ważyły ponad pięćdziesiąt kilogramów.

Czarny skalny szczyt częściowo zasłaniał księżyc, ale było jeszcze dość jasno, aby mogła się rozeznąć w otoczeniu. Była zmęczona i ociężała - nagle poczuła się jak stara kobieta, zamrożona w swoim starym ciele, i nie chciała nic więcej, jak tylko położyć się i zamknąć oczy. Wiedziała jednak, że jeśli to zrobi, zaśnie, a na to nie mogła sobie pozwolić. Jeszcze nie.

Ruszyła naprzód z zapasową anteną w rękę. Tu prawie nie było widać sypkiego śniegu. Może od razu lodowaciał albo wiatr zmienił kierunek i wywiał go nad morze. Tak czy inaczej po chwili znalazła to, co pozostało z miejscowego domku - stos połamanego plastiku, desek i pogiętej blachy, wciśnięty w płytkie zagłębienie skalne.

Wyglądało na to, że domek został zmiażdżony przez serak albo lawinę, że spadła na niego ogromna masa lodu i śniegu, która oderwała się od zbocza góry, a następnie roztrzaskała się na kawałki. Jeżeli istotnie tak było, to siła upadku musiała być straszliwa. W promieniu dziesięciu metrów od domku Laura zauważyła krąg ostrych, lodowych szczerb powstałych podczas potężnego upadku, którego huk zabrzmiał niewątpliwie niczym wybuch bomby. Mogła sobie tylko wyobrażać, jaki popłoch musiał wywołać wśród pingwinów, i pomyślała, że pewnie całe stado rzuciło się wtedy w panice do oceanu.

Nagle poczuła się nieskończenie zmęczona. Jej powieki opadły mimo woli i z trudem zmusiła się, żeby otworzyć oczy. Czego to ona szukała? Aha, tak, radia.

Stąpiła ostrożnie wśród pogruchootanych desek, plastiku i zgniecionej blachy w poszukiwaniu nadajnika. Nie natrafiła jednak na jego szczątki, znalazła tylko aluminiowy panel, który mógł, ale nie musiał być fragmentem obudowy. Niewątpliwie radio roztrzaskało się na tysiąc kawałków, gdy domek został zniszczony, to zaś oznaczało, że cała jej podróż przez lodowy szelf, upadek w lodową szczelinę, odmrożenia i długie dni w zaprzęgu nie zdały się na nic.

Absurd. Pustka. Bezsens.

Sens. Sen.

Spać, spać, spać, spać.

Odrzuciła zapasową antenę na rumowisko, ale po chwili zastanowienia zabrała ją stamtąd. Na co mogła jej się teraz przydać? Żeby mierzyć poziom wody albo głębokość pokrywy śnieżnej? Albo skuwać lód? Nie wiedziała, ale nie chciała jej wyrzucić. Prawdę mówiąc, niczego nie chciała wyrzucić. Przez całe życie zbierała różne niepotrzebne pamiątki: na przykład bibeloty, stare czasopisma i gałązki odłamywane z umierających drzew. Od czasu do czasu oglądała je, brała do rąk, a nawet obracała w palcach, nie mogła sobie jednak przypomnieć, skąd ma te wszystkie przedmioty. Były jak zmumifikowane obrazy z jej wczesnego dzieciństwa, które czasami przychodziły jej do głowy, kiedy to pozwalała swobodnie błądzić myślom, nie łącząc ich z niczym, co mogłoby umieścić je w szerszym kontekście. Oto Laura wchodzi do jasno oświetlonego pokoju, a grzywka łaskocze ją w czoło. Oto ojciec wyciąga z szafki jakiś wielki słoć. Oto pies z czerwoną kokardą przyklejoną do nosa. Wszystkie te drobiazgi i wspomnienia - skąd ona je ma? Jej mieszkanie było w zasadzie czymś w rodzaju opuszczonego miasta bezużytecznych przedmiotów: żołędzi, plastikowych kluczy i dziesięciu tysięcy innych rzeczy, które do niczego nie mogły się przydać. Musiała jednak przyznać, że lubiła mieć je obok siebie. W pewnym okresie życia, kiedy masz czternaście albo piętnaście lat, a więc zanim osiągasz wiek dojrzały i zaczynasz rozumieć, kim naprawdę jesteś, musisz się zdecydować, czy będziesz osobą, która wszystko, co spotyka i znajduje, nawet najbardziej trywialne drobiazgi, zachowuje zazdrośnie dla siebie, czy raczej kimś, przez kogo świat po prostu jakby przepływa. Ludziom, którzy byli gotowi wypuścić z rąk to i owo, żyło się łatwiej, ale Laura uznała, że należy do tej pierwszej kategorii, czyli do ludzi, którzy nigdy z niczego nie rezygnują, starała się więc, jak mogła, by udowodnić, że taka właśnie jest.

Nie było żadnych poszlak, które wskazywałyby na to, że Puckett i Joyce dotarli aż do kolonii - nie zauważyła porzuconego sprzętu ani śladów sań. Co prawda, nie sądziła, że jeszcze ich kiedyś zobaczy, ale o tym wiedziała właściwie już od dawna.

Rozbiła namiot na płacie twardego lodu - wyładowała śpiwór, kuchenkę i pozostałe utensylia kuchenne. Miała tak zdrętwiałe i przemarznięte dłonie, że nie mogła wbić śledzi, użyła więc czterech kamieni, których stos znalazła u stóp urwiska, żeby przycisnąć nimi do ziemi skrzydła namiotu od wewnątrz.

Nie mogła opędzić się od myśli o zabawie w „tajemną fortecę”, którą wymyśliła pewnego lata jako dziesięcioletnia dziewczynka - chociaż ową „tajemną fortecę” była po prostu toaleta publiczna, stojąca w ogrodzonej części nabrzeża, sprzedanej kiedyś przez miasto deweloperom. Jednak przez kilka miesięcy, dopóki toalety nie wyburzono, aby wzniesić na jej miejscu biurowce, Laura i jej najlepsza przyjaciółka Minny Rings chodziły tam niemal każdego popołudnia, by gadać o chłopakach, kryć się

przed rodzicami i snuć piany na przyszłość. Czasami wyobrażały sobie, że są dorosłymi kobietami i mają rodziny, pracują jednak przy tym jako szpiegdy, koszykarki albo oceanografki. Laura ciągle pamiętała też dzień, kiedy dostały się na teren budowy przez dziurę w płocie i znalazły cegły, glazurę oraz porcelit z „fortecy”, zmiecione na zdumiewająco niewielki stos. Szczątki domku wyglądały tak krucho i żałośnie, że można by pomyśleć, że nigdy nie mogły tworzyć zwartej konstrukcji i chronić cokolwiek, nawet szeregu ubikacji, metalowych umywalek i suszarek do rąk, a tym bardziej owych niesłychanie skomplikowanych światów, które obie tworzyły w wyobraźni. Właściwie tamte ruiny wyglądały jak szczątki tego domku tutaj, i pewnie dlatego w ogóle zaczęła o tym wszystkim myśleć.

Ale zanim „forteca” została zburzona, Laura i Minny odwiedzały ją niemal codziennie przez cały czerwiec i lipiec, wyjąwszy jeden tydzień, który Laura spędziła na obozie. Zwykle spotykały się u Minny, zaraz za sklepem spożywczym skręcały w las, a potem szły długą, szarą wstęgą ścieżki wiodącej nad rzekę i ostrożnie, na palcach, przekraczały biegnące wzdłuż brzegu kamienie. Od strony ścieżki „fortecę” osłaniał pas mieszanego lasu, więc jeśli dziewczyny postarały się, by nikt ich wcześniej nie widział, mogły niepostrzeżenie wślizgnąć się na teren budowy przez dziurę w płocie. Zresztą wyglądały po prostu na dwoje dzieci bawiących się nad rzeką. Tu nikt im nigdy nie przeszkadzał. Drzwi „fortecy” były zawsze otwarte, podobnie jak wysokie, uchylne okna, więc nie miały problemów z dostaniem się do środka.

- Co wolisz, lato czy zimę? - pytała Minny. Uwielbiała zadawać takie pytania. - Powiedzmy, że jest pogodnie. Nie pada deszcz ani śnieg, ale słońce już zaszło.

- Nie wiem. Chyba wolałabym zimę. Gdybyś mnie o to zapytała w zimie, odpowiedziałabym, że wolę lato, a jeśli w lecie, że zimę.

- Ja też wybrałabym zimę - odparła Minny. - Ale mam dla ciebie inne pytanie. Kogo wolisz, swoją mamę czy tatę?

- Nie wiem. Ale to chyba jest tak, jak z tą zimą i latem. Wolę to nich, którego nie ma przy mnie w danej chwili. - Laura wskoczyła na brzeg umywalki. - Powiem ci jednak, że jeżeli chodzi o twoich rodziców, to wolę twoją mamę niż tatę.

- Ja też - powiedziała Minny. - Mój tata to dupek. Wiesz, co on wczoraj zrobił? Specjalnie zrzucił popielniczkę na dywan, a potem kazał mi posprzątać. Ja jej nie wywaliłam i właśnie to mu powiedziałam: „Ja tego nie zrobiłam”. A on mi na to: „Nie pytałem, czy to zrobiłaś, czy nie, tylko kazałem ci posprzątać dywan, młoda damo”.

Mój tata ciągle robi takie rzeczy. Pewnego razu... - Minny przechyliła głowę na bok. - Hej, słyszałaś?

- Co?

- Posłuchaj.

Laura wyteżyła słuch i wtedy usłyszała niemal niedosłyszalne, niskie, basowe brzęczenie, wprawiające powietrze w gwałtowne drgania. Zeskoczyła z umywalki. Brzęczenie dobiegało ze świetlika w suficie, na środku pomieszczenia. Stała pod oknem i zadarła głowę, a Minny podeszła do niej. Za szybą tłukła się osa. Jej skrzydła były ledwo widoczną, rozmazaną brązową plamą, a żądło kołysało się statecznie poniżej odwłoka niczym dzwon do nurkowania przy burcie statku badawczego.

- Tamtędy nigdy się nie wydostaniesz na wolność. - Laura zwróciła się do osy, chociaż dobrze wiedziała, że owad jej nie zrozumie. Do Minny zaś powiedziała: - Powinnyśmy jej pomóc.

- Nie ma mowy. W życiu nie dotknę osy.

- Nie musisz jej dotykać. Nawet nie musisz się do niej zbliżyć. Otwórz tylko drzwi, a ja się zajmę resztą.

Minny spojrzała na świetlik.

- Jeśli chcesz, żeby cię użądliła, to nie będę ci przeszkadzać. Ale nie rozumiem, po co oni w ogóle zrobili tu to okno. Przecież właściwie wcale nie daje światła.

Podeszła do drzwi i otworzyła je, kryjąc się natychmiast za nimi w kącie, więc jej głos dobiegał teraz z trójkąta zamkniętej przestrzeni.

- W porządku, jestem gotowa:

- Boisz się - stwierdziła Laura.

- Niech ci będzie - odparła Minny. - Ale przynajmniej nie użądli mnie osa.

- Mnie też nie. Przecież próbuję jej pomóc.

Wiedziała, że zachowuje się jak głupia, a jednak nie

mogła na to nic poradzić. Bardzo współczuła tej osie, która przecież tylko chciała się wydostać z pułapki i wrócić na słońce, a tymczasem tłukła się bezradnie o szybę. Musiała ją stamtąd wywabić: to byłby pierwszy krok, okno znajdowało się jednak zbyt

wysoko, nie mogła go więc dosięgnąć. Pomyślała, że zdejmie koszulkę i przegoni osę spod sufitu, przestraszyła się jednak, że jeśli tak zrobi, to jej białe, nieopalone piersi i brzuch staną się celem, któremu owad nie będzie mógł się oprzeć. Dlatego urwała papierowy ręcznik z leżącej pod zlewem rolki, zgmiotła go w kulkę i najdelikatniej, jak umiała, rzuciła w osę, która zafurkotała skrzydełkami i gniewnie podwinęła żądło pod siebie. Po chwili Laura rzuciła papierową kulką po raz drugi, a potem jeszcze raz, celując w sam środek szyby.

Po kilku kolejnych próbach zdołała przepędzić osę spod okna, tyle że wylądowała ona dalej na suficie, a potem sfrunęła kilka centymetrów niżej i znowu przysiadła dokładnie w tym samym miejscu. Laura postanowiła przemówić jej do rozsądku.

- Posłuchaj, próbuję ci pomóc. Po prostu zaufaj mi, to cię stąd wypuszczę.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale ona cię nie rozumie - odezwała się Minny zza drzwi.

- Tak? Prawie każdy ci powie, że koty też nie rozumieją, co się do nich mówi, a przecież ty ciągle gadasz do swojego.

- Koty są inteligentne. A osy to kretynki.

- Nie wszystkie koty są inteligentne, więc może nie wszystkie osy są kretynkami.

Ta osa jednak najwyraźniej była kretynką. Laura próbowała ją skierować w stronę otwartych drzwi, ale owad dwa razy przysiadł na szybie, gdzie trzepotał się, drżał i kołysał na boki, dopóki nie zapędziła go z powrotem na środek sali. Czasami osa pikowała wprost na nią, więc dziewczyna uchylała się i osłaniała twarz rękami.

- Nie użądł mnie, nie użądł mnie, nie użądł mnie!

I osa za każdym razem wzbijała się spiralą pod sufit, nie robiąc dziewczynce krzywdy.

W powietrzu unosiła się słaba woń amoniaku, która stawała się coraz silniejsza nad kratką ściekową w podłodze na środku toalety. Był to widocznie nieprzyjemny, niemal trujący zapach dla os, a w każdym razie dla tej, bo starannie omijała to miejsce. Ilekroć osa rzucała się w jej stronę, Laura wycofywała się w kierunku kratki i nastniczka omijała ją szerokim łukiem.

W końcu, kiedy zużyła już chyba kilkadziesiąt papierowych ręczników, osa znalazła drogę do drzwi budyneczku jakby przypadkiem - i w jednej chwili zniknęła.

Bzyczenie ustało, kiedy wleciała między gałęzie drzew, gdzie zagłuszył je wiatr.

Laura osunęła się na ścianę. Pot zrosił jej czoło.

- Możesz już wyjść - odezwała się.

Głos Minny zza drzwi zabrzmiał niezwykle cicho.

- Mówisz do niej czy do mnie?

- Do ciebie.

Minny zamknęła drzwi. Podeszła do Laury, pochyliła się i położyła jej rękę na ramieniu.

- To trwało całe wieki.

Od tamtej chwili minęło tyle lat, a Laura ciągle pamiętała swoją odpowiedź:

- Może nie całe wieki, ale dosyć długo.

„To świetne epitafium” - pomyślała teraz.

Była strasznie daleko od „fortecy”, strasznie daleko od ludzi i wszystkich znanych miejsc. W namiocie zrobiło się niesamowicie zimno, a gdy dygotała, na jej pierś i brzuch spadały maleńkie wisiorki lodu w kształcie łez. Musiała je szybko z siebie strącać, zanim się rozpuściły. Wystarczyło jednak, żeby się poruszyła, aby natychmiast usłyszeć trzask i chrzęst - zmrożonego śpiwora albo własnego ciała, nie była tego pewna. I prawdę mówiąc, czuła się zbyt zmęczona, żeby się nad tym głowić.

Wiedziała, że przynajmniej chwilami zapadała w sen, bo pamiętała, że coś jej się śniło, a przecież komuś, kto nie śpi, nic się nie może śnić, prawda? Była jednak tak wyczerpana z sił i przemarznięta, że granica między jawą a snem stała się dla niej płynna, więc oba te światy zaczęły się na siebie nakładać i coraz trudniej je odróżniała.

Śniło się jej na przykład, że siedzi w swoim biurze w gmachu Coca-Coli, przyglądając się skośnej smudze słonecznego światła na podłodze, z czego by wynikało, że jest to późne wiosenne popołudnie. Tylko dlaczego jest jej tak zimno i co ona właściwie robi w śpiworze? W pracy nie wolno spać. Za coś takiego mogliby ją zwolnić. Pomyślała, że może jest chora. Może nauczycielka posłała ją do szkolnej pielęgniarki, a ta kazała się jej położyć na materacu, który powoli wypełniał się lodem. Wszędzie dookoła było tyle lodu, że pościel zamarzała, a jej skryształizowane fałdy wyglądały jak łuski. Laura leżała w łóżku, przeziębiona, a matka karmiła ją rodzynkami wrzuca-

nymi jeden po drugim do szerokiej, długiej i wijącej się jak wąż słomki, której koniec Laura trzymała w ustach. „Otwieramy tunel - powiedziała matka. - Jedzie pociąg z daleka... Puf-puf-puf-puf-puf... Iiiiiii!". Ale te rodziniki żyły - bo to wcale nie były rodziniki. Laura nie wiedziała, co to takiego, ale wyraźnie nie chciało wpaść do jej ust i wyciągało dziesiątki czarnych, zakończonych kleszczami odnóży, żeby spowolnić upadek. „Dzięki Bogu, że mam uprząż i linę" - pomyślała. Ściany szczeliny były bardzo śliskie i strome. Kto może wiedzieć, jak jest głęboka? A namiot przypominał napęczniony gorącym powietrzem balon i ledwo trzymał się ziemi. Wiedziała, że musi jeść, jeżeli ma wyzdrowieć. Musi zażywać ruchu i staranniej dbać o swoje ciało. Tak powiedziała mama. Płatki owsiane. Surowe warzywa. Rower. Śniło się jej, że ćwiczy na mechanicznej bieżni i czuje, że w butach grzechocze coś okrągłego i twardego, zdejmuje je więc i wysypują się z nich jak kamyki palce jej stóp. Kiedy się obudziła, wcale nie była zdziwiona treścią snu.

Dawno już straciła czucie w kończynach, a mróz zniszczył nawet jej nerwy zębowe. Nie wiedziałyby, że zaciska zęby, gdyby nie cienkie, otoczone kręgiem ucisku igielki bólu w dziąsłach. Kiedy po powrocie z wyprawy w ruiny domku zebrała się wreszcie na odwagę i sprawdziła, czy nie ma jakichś odmrożeń, okazało się, że palce jej lewej stopy przypominają ohydne, szaroczarne węzły - nie było żadnych szans, żeby je uratować. Podobnie wyglądał czwarty i piąty palec prawej stopy. Czubki palców u rąk też miała w złym - a prawdę mówiąc, w fatalnym stanie - tak jak prawy policzek i całe lewe ucho. Te części ciała mogła jednak posmarować maścią, pobudzającą krążenie krwi, opatrzyć je, zabandażować i mieć nadzieję, że po pewnym czasie się zagoją.

Nie wyobrażała sobie jednak podróży powrotnej do stacji badawczej. Bez pomocy nigdy nie uda się jej pokonać szelfu. A skąd, na litość boską, mogłaby się spodziewać pomocy? Radio było zepsute, sanie też, a cały świat opustoszał.

Na dodatek nie zadbała o to, żeby przygotować sobie drogę odwrotu.

Właściwie już było cudem, że w ogóle dotarła do zatoczki. Nie była pewna, czy trafi z powrotem na stały ląd, wędrując w labiryncie szczelin i wybrzuszeń otaczających kolonię, a cóż dopiero mówić o podróży na drugi brzeg Wyspy Rossa. Do diabła, w nocy ledwo potrafiła znaleźć wyjście z namiotu. Czasami rozgorączkowana wyczłogiwała się ze śpiwora i niezdarnie szukała po omacku wyjścia.

Zastanawiała się, kim jest. Nikim wyjątkowym. Kiedy umrze, nikt o niej nie będzie pamiętał. Banalna prawda wyglądała tak, że wyczerpały się jej siły (albo połączenie tężyzny fizycznej, szczęścia i mocy woli, pchające ją z domku do stacji, a potem ze stacji na otwarty lód i dalej, na drugą stronę zatoki). Zabrakło jej sił. To koniec.

Koniec. Konie. Krowy. Świnie. Klopsiki.

Zaśmiała się cichutkim, przypominającym sapanie śmiechem, ale z wysiłku rozboleł ją żołądek.

Słyszała krzyczące pod lodową ścianą pingwiny cesarskie. Kiedy ostatnio wyszła na zewnątrz, żeby unieruchomić niesforny róg namiotu, ptaki stały zbite w grupie tyłem do wiatru. Większość trzymała jaja na płetwiastych łapach, osłaniając je przed mrozem bezpiecznymi od spodu, miękkimi, okrągłymi brzuskami, ale niektóre opiekowały się troskliwie tylko małymi, martwymi przedmiotami, zastępującymi im prawdziwe jaja - kawałkami lodu. Laura czytała kiedyś, że pingwiny mają tak silnie rozwinięty instynkt opiekuńczy, że wysiadują wszystko, co chociaż trochę przypomina jajo. Kamienie, kawałki lodu, grudki śniegu - nieważne. Co chwila jakiś pingwin, wysiadujący prawdziwe jajo, zostawiał je bez opieki i rusza! do morza na łowy, a wtedy inne ptaki porzucały swoje kamienie albo kawałki lodu i zaczynały bić się między sobą, aż wreszcie zwycięzca wpychał sobie zdobycz dziobem pod brzusek. Pingwiny zawsze wołały prawdziwe jaja, co mogło oznaczać, że używały substytutów wyłącznie dla własnego komfortu psychicznego - jak matki, które po śmierci swoich dzieci ściskają w ramionach ich poduszki albo pluszowe zabawki, wtulając w nie twarze i przygarniając je do piersi, żeby przywołać wspomnienia.

Pewnego razu jakiś uczony behawiorysta podrzucił jednak pingwinom lśniący, plastikowy pojemnik w kształcie fluorescencyjnej, pomarańczowej kuli, pełnej kawy rozpuszczalnej, a wtedy ptaki - wszystkie, w jednej chwili - porzuciły swoje jaja i zaczęły walczyć o ten tajemniczy obiekt. Uczony spekulował w swoim dzienniku, że widocznie sądziły, że znalazły najpiękniejsze jajo na świecie, jajo, na które najwyraźniej zawsze czekały. Jajo przyszłości.

Ochryple głosy pingwinów nagle umilkły, a potem na chwilę znowu zabrzmiały głośniej i powoli ucichły. Leżąc w namiocie i drżąc z zimna, Laura słyszała wyraźnie, jak ptaki trzepoczą skrzydłami. Była głodna, a w każdym razie zdawało się jej, że powinna odczuwać głód, nie mogła się jednak zmusić, żeby wyjść ze śpiwora. Wokół jej szyi; utworzył się gruby lodowy kołnierz, z którym musiałyby stoczyć straszliwą walkę.

Wiedziała, że jeżeli nie zamrze na śmierć, to niemal z całą pewnością umrze z głodu.

Na nagrobku znajdzie się jej nazwisko, „Laura Ptack”, a poniżej data jej narodzin i śmierci. „Laura Ptack. Żyła może nie całe wieki, ale dosyć długo”.

Na podłodze namiotu rysowały się włókienka szronu i śniegu, które przeciąg układał w linie proste. Większość śniegu dostała się do środka, kiedy otworzyła wejście do namiotu, ale szron był jej zmrożonym oddechem, który w zetknięciu z powietrzem zmieniał się w biały proszek, po czym opadał na podłogę niczym długi pióropusz dymu.

„Biały proszek”. Coca-Cola zaczęła swoją kampanię reklamową, ochrzczonej mianem „kampanii białego proszku”, zaledwie mniej więcej na miesiąc przed wyjazdem Laury na Antarktydę. Było to wkrótce po ostatnim alarmie biologicznym, który ogłoszono, gdy kilka tysięcy osób w całym kraju, mieszkających w większości w małych domkach w pobliżu poszarzałych autostrad, zaczęło dostawać paczki z bladym, niemal bezbarwnym proszkiem, zawierającym zarazki ospy, wąglika i szkarlatyny. Przesyłki te przestały przychodzić zaledwie po tygodniu równie nagle, jak się pojawiły, chociaż nikogo nie aresztowano ani nie zatrzymano w związku z tą sprawą. Nie minęło jednak wiele czasu, kiedy już nie tysiące, ale miliony obywateli zaczęły dostawać pocztą sztywne, tekturowe koperty, z których po otwarciu wysypywał się adresatom do rąk biały proszek. Policja, szpitale i rozmaite ośrodki kryzysowe nie mogły wprost nadażyć z odbieraniem telefonów. W tysiącach miast i hrabstw miejscowe władze ogłosiły stan zagrożenia terrorystycznego i uruchomiły sygnalizację alarmową. Szybko okazało się jednak, że owa tajemnicza substancja to całkiem nieszkodliwy proszek do prania, a koperty zawierają również kupony loteryjne następującej treści: „Zmywaj naczynia i wygrywaj w loterii Coca-Coli. Kup jedną dwulitrową butelkę coli, a drugą dostaniesz za darmo”.

Za ten niebezpieczny pomysł loteryjny firma została zbesztana zarówno przez obie Izby Kongresu, jak i na łamach prasy. Coca-Cola opublikowała wtedy oświadczenie, w którym przepraszała za niepokoje, jakie mogła wywołać tego rodzaju kampania reklamowa, zapewniając jednocześnie, że nie takie były jej intencje. Ale sprzedaż coli w dwulitrowych butelkach potroiła się po tym incydencie w ciągu kilku tygodni, a sprzedaż innych produktów firmy wzrosła dwukrotnie.

Nazywało się to „reklamą partyzancką”.

Laura widocznie znowu zapadła w sen, bo kiedy otworzyła oczy, zrozumiała, że wcale nie słucha dyskusji o „kampanii białego proszku”, nie siedzi na sali konferencyjnej przylegającej do jej gabinetu i w ogóle nie znajduje się w siedzibie Coca-Coli, tylko leży w namiocie. Gdy spała, wokół jej oczu rozpuściła się warstewka lodu - ale tak jasno w namiocie nie było od kilku miesięcy. Widziała wszystko z wyjątkową ostrością: srebrzysty krąg kuchenki pokrytej zaschniętym, jasnobrazowym syropem, szron, który utworzył na ściankach wzory przypominające wachlarze, i podwójny szereg czarnych szwów biegnących przez całą kopułę namiotu niczym procesja mrówek. W rogu leżała nadgryziona kostka pemikanu, na którym było widać ślady jej zębów, a obok zamknięta torebka z batonami. Wokół suwaka śpiwora utworzył się sopel, wyglądający jak ziarenko prażonej kukurydzy.

Była zaskoczona nie tylko tym, że tak dużo i wyraźnie widzi, ale i słyszy. Nie przypuszczała, że światło wyostrza zarówno wzrok, jak i słuch, niewątpliwie jednak tak właśnie było. Słyszała na przykład pingwina, delikatnie muskającego dziobem swoje pióra. Głuchy łopot namiotu na wietrze. I gigantyczną ławicę kryla, przepływającą pod lodem.

Słyszała nawet bicie swojego serca, silne i regularne, jak gdyby wstrzymywała oddech głęboko pod wodą. Im uważniej słuchała, tym jego rytm stawał się głośniejszy, aż w końcu zaczął przenikać całe ciało.

Czuła go wszędzie - w palcach u stóp, w żołądku, a nawet w koniuszkach uszu. Było to zupełnie zdumiewające.

Zamknęła oczy i wyteżyła słuch. Działo się z nią coś dziwnego. Miała wrażenie, że całe jej ciało ciasno otula serce jak naprężona skóra bęben albo jak idealnie szczelna membrana, nieustannie pulsująca rytmicznymi uderzeniami. Ciepłota wytwarzana przez jej krew krążyła w niej milionami fal, których ciało dziewczyny nie mogło pomieścić - a przecież je mieściło. Nie rozumiała, jak to jest możliwe, że tak się strasznie rozrosła. Stała się ogromna niczym las albo miasto, a jej serce było wielkości jeziora, w którym teraz pływała. Nie słyszała już w ogóle nic innego. Odgłos bijącego serca wypełnił ją całą, aż zaczęła drżeć, potem wypełnił namiot, a później - cały świat.

— ROZDZIAŁ TRZYNASTY —

Bicie serca

Minny znów nie mogła zasnąć. Ileż to razy kładła się wieczorem do łóżka obok Luki, muskając przedramieniem jego plecy i czekając, aż ciemność wciągnie ją w sen? Może nie co noc, ale dość często. Ludzie radzili jej różne środki nasenne - melatoninę, czerwone wino, gimnastykę albo herbatkę rumiankową - nic jednak nie pomagało. Owszem, jej ciało robiło się senne, ale umysł nie, a trzeba przyznać, że problem stanowił właśnie on, który przypominał jakby koło ruletki, bezustannie szumiące i wirujące. Minny wydawało się, że stoi nad nim i przygląda się, jak jaśnosrebrzysta kulka jej świadomości przeskakuje z jednej przegródki do drugiej.

Ostatecznie bezsenność jest właśnie czymś w tym rodzaju - jakby nadwyżką czy nadmiarem życia oraz świadomości. Odkąd sięgała pamięcią, życie było dla niej kwestią aktu woli, wyznawała bowiem dość powszechny pogląd, że jeśli tylko się naprawdę chce, to można zrobić i osiągnąć wszystko - nie potrafiła jednak zmusić się do zaśnięcia. Jedynym sposobem, żeby zapaść w sen, było nie myśleć o tym, czy zaśnie, czy też nie - więc w tym przypadku należało raczej wyłączyć wolę. Większość ludzi uważa, że najpierw się zasypia, a potem ma się sny, ale zdaniem Minny było zupełnie odwrotnie — bo człowiek najpierw zaczyna śnić na jawie, a dopiero później temu zasypia. Ona nie mogła jednak zacząć śnić, nie potrafiła bowiem przestać myśleć o tym, że wciąż nie śpi, a z kolei wszystko, co uświadamiała jej bezsenność, sprawiało, że nie mogła pozbyć się myśli o bezsenności, i wtedy natychmiast rozbryzgiwały się w niej miliony śnieżnych kropli zdenerwowania - nie mogła więc zacząć śnić i nie mogła zasnąć.

Co za koszmar!

Nasłuchiwała, jak Luka oddycha w powolnym rytmie przez sen. Słyszała ten oddech już tyle razy, że z łatwością rozpoznałaby go po nim wśród innych mężczyzn, na przykład podczas okazania na policji. „Niech pani uważnie się wsłucha. Proszę się nie śpieszyć. Czy tak oddychał mężczyzna, którego pani szuka?”. „Tak, to on, panie władzo. Mówi, że mnie kocha, ale nie wiem dlaczego”.

Tak odpowiedział jej Luka, kiedy spytała go, dlaczego ją kocha.

- Nie wiem. Po prostu cię kocham, i tyle. Czy to ci nie wystarczy?

Powinno było wystarczyć, ale to pytanie ciągle nie dawało jej spokoju.

„Raz, dwa, trzy - śpij!” - powiedziała do siebie, co oczywiście nic nie pomogło.

Niepokój i pułapka, jaką dla myśli Minny stał się własny umysł, przypominały trochę miasto, prawda? Bo wszyscy cierpieli tu jakby na zbyt wyostrzoną świadomość i byli chyba nieco nadpobudliwi. Tak brzmiała jej diagnoza. Mieszkańcy miasta egzystowali gdzieś na granicy między życiem a śmiercią, w przejściowym półmroku po wygaszeniu świateł, ale jeszcze przed snem.

Oto miasto ludzi czekających, aż zaczną wreszcie śnić.

Miasto ludzi cierpiących na bezsenność.

Zataczała nogami w powietrzu powolne, zachodzące na siebie kręgi w nerwowym odruchu, którego nabawiła się mniej więcej w czasie rozvodu rodziców, kiedy skończyła piętnaście lat i zaczynała chodzić do liceum. Dzięki tarciu rozgrzewała stopy, w które zawsze było jej trochę za zimno, a monotonne kołysanie działało na nią uspokajająco. Matka, przechodząc koło jej sypialni i widząc, że Minny miarowo kołysze się pod kołdrą, karciała ją: „Jeżeli nie umiesz szanować innych mieszkańców tego domu, to przynajmniej szanuj swoje ciało, kochanie”, a ona zawsze wybuchała wtedy śmiechem. Kochała matkę i nadal odwiedzała ją raz albo dwa razy w tygodniu. Od czasu do czasu widywała też ojca - jedzącego obiad w kafeterii

albo gdzieś z dala od zgiełku, na przykład w jakiejś bocznej sali w takim czy innym barze, kiedy próbował zbalansować talię kart na brzegu szklanki. Zawsze witał ją z tą samą zaskoczoną, a zarazem przerażoną miną i natychmiast uciekał, nie dając jej ani chwili, żeby mogła się do niego odezwać. Niedługo po rozwodzie przystawił sobie pistolet do piersi i popełnił samobójstwo. Zapewne sądził, że ucieka od całego świata, a już na pewno się nie spodziewał, że zobaczy jeszcze kiedyś córkę.

Nie miała do niego pretensji za te ucieczki.

Wiedziała, że jest w lepszej sytuacji niż wielu innych mieszkańców. Weźmy na przykład Lukę, on nie widział rodziców od chwili swojej śmierci, a w każdym razie, odkąd go poznała - spotkał tylko dwóch czy trzech sąsiadów i garstkę studentów, których uczył owego krótkiego lata spędzonego z Laurą.

Usłyszała, jak mruczy coś przez sen i przewróciła się na bok, wspierając głowę na zgiętej w łokciu ręce, wciśniętej między ucho i poduszkę. Przez chwilę myślała, że ktoś puka do drzwi, ale zaraz pojęła, że to bicie jej serca - i natychmiast sobie uświadomiła, że jej serce przecież nie może już bić.

Nie należała do mieszkańców, którzy krążyli po mieście w rytm odgłosu bijącego serca, i zawsze podejrzewała, że ludzie ci ulegli po prostu jakiejś halucynacji, skupiając myśli na tym, czego im brakowało albo co wspominali (Luka wysiliłby się na szyderczą grę słów: „... i czego pragnęli od serca”). A potem, hokus-pokus, wyobrażali sobie, że ich serca wciąż biją.

Nie mogła się jednak mylić. Bum bum. Bum bum. Bum bum.

Leżała i słuchała tego dźwięku przez kilka godzin, a kiedy wreszcie otworzyła oczy, za oknem wstało słońce i był już niewątpliwie poranek.

Bicie serca nie ustawało. Minęło kilka dni, a Minny wciąż je słyszała.

Okazało się, że nie ona jedna - słyszeli je wszyscy mieszkańcy. Zdawało się wisieć w powietrzu jak delikatny deszcz popiołów, tak lekkich, że unosił je nawet najdelikatniejszy powiew wiatru, i tak eterycznych, że ledwo czuła ich dotyk. Wszędzie widziała ludzi w zamyśleniu kładących ręce na piersi, kiedy samotnie czekali na kogoś w kinie albo rozmawiali w zatłoczonych restauracjach. Wiedziała, że pragnęła poczuć znajomy rytmiczny puls. i Luka pewnego dnia napisał o tym niezwykłym zjawisku w gazecie, a nagłówek jego tekstu brzmiał: SERCE BIJE, LUDZIE SŁUCHAJĄ. Był to tekst oparty na rozmowach z kilkoma przechodniami, którym Luka zadał dwa pytania: co może oznaczać ten odgłos i jakie jest jego źródło. Zdania były oczywiście podzielone. Pewien facet, który przedstawił się jako Martin Campbell, powiedział, że ten rytm brzmi znajomo i coś mu przypomina - ale nie wiedział co. Był pewien tylko tego, że wywołuje senność. Niejaka Linda Terrell odpowiedziała: „Naprawdę nie wiesz? Pod stacją metra pogrzebane jest gigantyczne serce. Zdejmij buty, a poczujesz jego pulsowanie w palcach stóp”. Inny mężczyzna oznajmił, że jest to odgłos bicia jego serca, choć nie potrafi! wyjaśnić, jak to możliwe.

„Bez względu na to, jak wygląda prawda - pisał Luka - wasz reporter nie wierzy, by ten stopniowo narastający odgłos i jego powtarzalność były nieistotne, chociaż o jego wadze czytelnik musi rozstrzygnąć samodzielnie”.

Jedno było pewne - a mianowicie, że wszystkich to zainteresowało. Po raz pierwszy, odkąd poznała Lukę, rozdali tamtego ranka wszystkie gazety, a odchodząc sprzed kawiarni, znaleźli w pobliskim koszu na śmieci zaledwie kilka zmiętych egzemplarzy „Dziennika”.

Potem, ale przed powrotem do domu, postanowili zjeść wspólnie śniadanie u Bristowa. W restauracji było pełno ludzi, więc Luka czekał w szat-

ni, a Minny weszła do toalety. Kiedy wróciła, rozmawiał z jakąś kobietą o stanie nawierzchni ulic.

- Powiedziałałabym, że odkąd zaczął padać śnieg i pojawił się lód, codziennie widzę co najmniej jeden wypadek - mówiła kobieta. - Ba, nawet po drodze tutaj widziałam, jak ktoś uderzył samochodem w skrzynkę pocztową. Ach, ten zgrzyt dartej blachy! Miałeś kiedyś wypadek samochodowy?

Oczywiście, że tak. Tamtej nocy, kiedy się poznali i kiedy sądzili jeszcze, że są jedynymi ludźmi w mieście - to znaczy oni i ślepiec - Luka opowiedział jej, jak zginął w wypadku samochodowym na autostradzie. Powiedział, że stracił panowanie nad kierownicą i poczuł, jak jakaś siła wyrywa go przemocą z ciała. Minny nigdy nie zapomniała dreszczu, który ją przeszył, gdy o tym opowiadał. Ale tej kobiecie Luka odpowiedział:

- Nie, nigdy w życiu. Chyba miałem szczęście.

- No widzisz, za to mnie ciągle się zdarzają takie rzeczy - odparła kobieta. - A to mi wysiadzie pedał gazu, a to psują się biegi i mogę jeździć tylko na wstecznym. Nie umiem ci powiedzieć nawet w przybliżeniu, ile dostałam mandatów. Kiedyś wjechałam nawet komuś w kufer, bo chciałam sprawdzić, z jaką szybkością musi poruszać się auto, żeby pęd powietrza strącił z przedniej szyby konika polnego. Wiesz, ludzie zastanawiają się czasem nad takimi rzeczami. W każdym razie policjant był sympatyczny, ale powiedział, że mimo wszystko musi wypisać mandat.

- Przykro mi to słyszeć - oświadczył Luka.

Zwolnił się właśnie stolik, więc zostawili tę kobietę przy drzwiach. Bristow, właściciel, wskazał im wolne miejsca i nalał wody do szklanek. Złożywszy zamówienie, Minny zapytała:

- Dlaczego nie powiedziałaś jej o swoim wypadku?

Luka zagrzechotał kostkami lodu w szklance.

- To obca i moim zdaniem zupełnie stuknięta osoba. Pamiętasz, jak zginąłem? Ten wypadek był jednym z najważniejszych zdarzeń w moim życiu. W hierarchii ważności wymieniłbym je chyba na drugim miejscu, zaraz za moimi urodzinami, nie chcę więc mówić o tym byle komu.

- Ale mnie opowiedziałeś tę historię tego samego dnia, kiedy się poznaliśmy.

- Faktycznie, ty też byłaś wtedy dla mnie obca - przyznał Luka. - I także jesteś stuknięta, nigdy nie byłaś jednak byle kim.

Często wyrażał się w taki sposób - wiązał zdania w supelki tak ciasne, że przypominały kauczukowe kulki tkwiące w piłeczkach golfowych, a kiedy tylko Minny próbowała je rozplątać, rozpryskiwały się gradem sprzecznych znaczeń. O co mu właściwie chodziło? Czy mówił poważnie, czy może chciał być zagadkowy i błyskotliwy, ot po prostu, tak sobie? Nie wiedziała. Z kolei Luka traktował rozmowy z nią jako coś w rodzaju pełnej czułości gry, którą Minny czasami podejmowała, chociaż nie była w tym dobra, o czym oboje wiedzieli. Czowała się przy nim jak ćwok, jak niezdara. Dlatego zazwyczaj zamiast podejmować tę grę, próbowała wymyślić inny temat, który odmieniłby atmosferę i skierowałby rozmowę na spokojniejszy, powolniejszy tor, po którym, jak sądziła, umiałyby się poruszać. „Chcę iść na spacer, nie tańczyć”, myślała. I był to jeden z bardzo licznych powodów, dla których nie mogła przestać pytać Luki, dlaczego ją kocha.

- Albo jeszcze inaczej - Luka zmodyfikował swoją odpowiedź. - Wprawdzie byłaś obca, ale interesująca. - Roześmiał się.

- Mówiłam ci, że znów spotkałam wczoraj naszego ślepcę?

Pytanie przyniosło pożądany efekt: uśmiech Luki zgasł, a w jego oczach pojawił się wyraz pospolitej ciekawości.

- Nie. A gdzie?

- Kłócił się o coś pod kasą kina z kasjerem. Przystanęłam i zapytałam, czy wszystko w porządku, a on odpowiedział, że ma już dość pamiętania

tego, co chce zapomnieć, i zapominania tego, co wolałby pamiętać. Dokładnie tak się wyraził, słowo w słowo: że ma już dość pamiętania tego, co chce zapomnieć, i zapominania tego, co wolałby pamiętać. Wydawało mi się, że należę raczej do tych osób, które wolałby pamiętać, ale on o mnie zapomniał, bo kiedy się przedstawiłam, odpowiedział, że miło mu mnie poznać.

- Tak, mnie ostatnio też nie mógł sobie przypomnieć. Więc jak wygląda aktualny wynik? Sześć punktów dla mnie, osiem dla ciebie?

- Zdobyłam już dziewięć punktów, bardzo mi przykro.

- A zatem niech będzie dziewięć do sześciu dla ciebie.

Ślepiec wycofał się z powrotem w swoją samotność

wkrótce potem, kiedy trafili do dzielnicy pomnika, i od tamtej pory widywali go jedynie przypadkiem. Założyli się o to, które z nich pierwsze zobaczy ślepcę dziesięć razy z rzędu, a zwycięzca miał prawo w wybranym przez siebie momencie zażądać od strony przegranej spełnienia jednego, ale nieokreślonego na razie życzenia. Ślepiec był jednak trochę samotnikiem, a w każdym razie wędrował chyba zwykle po innych ulicach niż oni, bo czasem między jednym a drugim spotkaniem mijały długie tygodnie. Minny nie była zdziwiona, że ślepiec jej nie pamiętał. Kiedy myślała o tamtych pierwszych dniach z Luką, nim usłyszeli strzały, kusiło ją, by wyobrazić sobie, że ślepiec w ogóle nie istnieje. Luka był Adamem, Piętaszkiem i Mistrzem, a ona Ewą, Robinsonem Crusoe i Małgorzatą. A w żadnej z tych trzech historii nie było przecież miejsca dla osób trzecich.

Po drugiej stronie sali ujrzała rodziców Laury - pana i panią Ptack, jadających na śniadanie grzanki i jajecznice. Pani Ptack jadła lewą, a pan Ptack prawą ręką. Jego lewej i jej prawej dłoni, splecionych w uścisku, nie było widać, bo zasłaniały je solniczka i pieprzniczka. Przypominali dwoje onieśmiałonych nastolatków na pierwszej randce, a zarazem parę starszków trzymających się za ręce tak długo, że już nie pamiętali, czy w ogóle był taki czas, gdy się nie dotykali. Wyglądali uroczo.

Minny widywała ich dość często, odkąd przybyła do miasta, a nawet machała do nich, ale oni jej nie poznawali, co zresztą było całkiem zrozumiałe. W końcu zmieniła się o wiele bardziej niż oni od tamtych czasów, kiedy była najlepszą przyjaciółką Laury.

Kiedy się nad tym głębiej zastanowiła, zdała sobie sprawę, że jako osoba dorosła najprawdopodobniej nie myślała o Laurze więcej niż piętnaście czy dwadzieścia razy. Nigdy nie była kimś, kogo dręczyłyby wspomnienia z przeszłości, w każdym razie zanim pojawił się wirus i zanim zobaczyła w telewizji zwłoki leżące w rozkołysanej wiatrem, zielonej trawie. Potem jednak umarła, dowiedziała się o przelotnym romansie Laury z Luką i teraz myślała o niej przez cały czas. Niewiele pamiętała - wracało do niej zaledwie kilka przypadkowych scen z ich wspólnej zabawy w dom i chodzenie po wymyślonej linii. Poza tym pamiętała jeszcze coś o jakimś motylu i fortecy.

Facet, w którym się kochała, i jej najlepsza przyjaciółka z której...? Trzeciej klasy?

Było to bardzo dziwne.

Skończyli, zapłacili i zwolnili stolik dla jakiegoś faceta w butach trekkingowych i garniturze. Znowu padał śnieg, a kiedy wyszli na mróz, Minny wsunęła ręce do kieszeni.

Luka objął ją w pól i przyciągnął do siebie, wsunąwszy rękę pod poję jej kurtki, kiedy przechodzili przez ulicę.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Mhm.

- Wydawałaś mi się dość milcząca.

- Wiem, myślałam.

- O czym?

- O tobie. I Laurze.

Luka oparł rękę na jej biodrze, chcąc przez to powiedzieć: „Nie powinnaś się tak tym przejmować”. Ale głośno powiedział zupełnie co innego:

- „Mężczyzna kocha kobietę, a kobieta kłopoty”.

- Ja wcale nie kocham kłopotów. - Minny pociągnęła nosem.

- No to „Mężczyzna kocha kobietę, a kobieta cierpienie”.

- Cierpienia też nie kocham.

- „Mężczyzna kocha kobietę, a kobieta kawę”.

Swawolnie oparła się o niego barkiem.

- I co ja mogę na to odpowiedzieć?

W niektórych miejscach śnieg leżał tak wysoko, że prawie sięgał dachów zaparkowanych na ulicy samochodów, których szeregi ciągnęły się wzdłuż krawężnika dziwnymi, identycznymi, bryłowatymi kształtami przypominającymi kręgi w kręgosłupie. Obludzone chodniki były śliskie. Na każdej większej ulicy leżały zwały śniegu i Minny wydawało się czasem, że mieszka w mieście tuneli, wśród innych ludzi-kretów. Przekonanie to nachodziło ją szczególnie często w takie szare, ponure dni jak dzisiaj, kiedy słońce nie wychylało się zza chmur.

Wkrótce potem, gdy zdecydowali się zamieszkać razem i przenieśli redakcję wraz z całym wyposażeniem do nowej siedziby, Minny i Luka wytoczyli ciasny krąg swoich ulubionych sklepów, budynków i restauracji. Żadne z nich już od dawna nie zapuszczało się dalej niż dziesięć czy piętnaście przecznic od apartamentowca, ale dotarły do nich te same wiadomości, co do wszystkich: śnieg odciął dzielnicę pomnika od reszty miasta. Luka sam o tym pisał w specjalnym, podwójnym wydaniu „Dziennika Simsa”. Jeden bok dzielnicy wyznaczała rzeka, a pozostałe trzy wąska wstęga parku i dwie sześciopasmowe ulice. Dalej zaspasy sięgały tak wysoko, że właściwie

uniemożliwiały poruszanie się. Widać było tylko kilka billboardów i górne piętra paru wyższych budynków. Wyglądało to tak, jakby miasto trawiło samo siebie.

Mężczyzna dźwigający transparenty z hasłami o religijnej treści minął teraz Minny i Luke, trzymając tablicę z napisem Z OBFITOŚCI SERCA USTA MÓWIA^{*2}. Przystanął i zapytał, czy słyszeli już ten dziwny dźwięk.

Minny uznała, że nieznajomy mówi o biciu serca.

- Ja tak - odpowiedziała.

- Oczywiście - rzekł mężczyzna. - Wszyscy go słyszeliśmy, bo jest to bicie Jego Świętego Serca.

- Naprawdę?

- On wkrótce powróci. Przyniesie mi moją Biblię.

- To wspaniale - powiedziała Minny.

Mężczyzna wzdrygnął się, gdy wyciągnęła rękę, żeby go poklepać po ramieniu, wsunęła ją więc z powrotem do kieszeni.

- Trzymaj się ciepło - rzuciła, a potem wyminęła go zrećnie, przebiegła wraz z Luką na drugą stronę ulicy i weszła do apartamentowca.

Przez resztę popołudnia Luka pracował nad najbliższym wydaniem gazety, a Minny czytała jakąś powieść przy świetle lampy w salonie. W przeciwieństwie do nocy, dni mijały szybko i zanim się obejrzała, skończyła książkę, a Luka wyskoczył po obiad do koreańskiej restauracji, mieszczącej się na tej samej ulicy, i teraz oboje stali przy kuchennym bufecie, zając z woskowanych, tekturowych pudełek makaron z kimchi. Luka był dziennikarzem i hołdował dziennikarskim zwyczajom żywieniowym, a ponieważ Minny nigdy nie nabrała w tym względzie żadnych własnych, stałych przy-

^{2*} Ewangelia św. Mateusza, 12, 34. Wszystkie cytaty z Pisma Świętego według Biblii Tysiąclecia (przyp. tłum.).

zwyczajów - higienicznych, i owszem, podobnie jak czytelniczych, bez wątpienia tak, ale nie żywieniowych - przejęła bez oporu jego nawyki, gdy zamieszkali razem.

- Co wolisz: przeszłość czy przyszłość? - zapytała kilka minut później, kiedy Luka chował resztki do lodówki.

- Nie, przestań, tylko nie to...

- Przeszłość czy przyszłość? - nie ustępowała.

- Zachowujesz się jak optyk dobierający klientowi soczewki: „Czy teraz lepiej? A teraz?”.

- Więc nie chcesz mi odpowiedzieć?

- Cóż, moim zdaniem wybór jest bardzo trudny. Ale powiedziałbym chyba, że wolę przyszłość, chociaż moja odpowiedź naprawdę brzmi: teraźniejszość.

- Ja też. To znaczy, ja też wolę przyszłość. A który wolisz świat: ten czy tamten?

- Pytasz takim tonem, jakby to była sprawa życia i śmierci... - zażartował.

- Ten czy tamten?

- Ten - odpowiedział. - Bez dwóch zdań.

Zamknął lodówkę i mrugnął do Minny, postępując dwa duże kroki naprzód.

A potem zrobiło się późno, Minny położyła się do łóżka i chociaż raz natychmiast zasnęła. Ale już następnego dnia leżała z otwartymi oczami długo w noc i myślała, jak by to było, gdyby mogli mieć dziecko? (Tutaj pojawiała się pytanie: gdyby mogła przekazać swojemu dziecku choć odrobinę z każdej ze swoich pięciu pozytywnych cech, do których zaliczała zdrowie, serdeczność, inteligencję, urok i urodę, to w jakim stopniu i w ja-

kich proporcjach cechy te przejęłoby ich potomstwo?). Z kolei następnej nocy myślała o hotelu, w którym umarła, o kwarantannie na skraju parkingu i o ciepłym światełku automatu z napojami w recepcji.

Nie była pewna, którego dnia ustało bicie serca.

Może kilka dni później, w nocy, kiedy wstała o drugiej, żeby pospacerować po zalanym błękitnym półmrokiem mieszkaniu i usłyszała, że gdzieś kapie woda. Okazało się, że to za oknem topią się sople lodu. A może stało się to dopiero następnego ranka, gdy po raz pierwszy od wielu tygodni na niebie pokazało się palące słońce, a ptaki porzuciły swoje kryjówki i powróciły do miasta. Serce mogło jednak także przestać bić dzień później albo dwa, albo nawet dzień wcześniej. Wiedziała tylko jedno: że ostatecznie przyszła taka chwila, kiedy się zorientowała, że już nie słyszy pulsującego dudnienia, które towarzyszyło jej, nie wiedzieć od jak dawna, i nagle poczuła, że coś skończyło się nieodwołalnie.

A było to tak: rozdawała z Luką gazety, gdy nagle ruch uliczny zamarł na moment i zrobiło się cicho, a ona zauważyła, że wokół panuje absolutny spokój. Od razu zorientowała się, że coś jest nie w porządku - że czegoś jakby brakuje - i ścisnął ją w dołku niepokój.

- Posłuchaj - powiedziała do Luki.

Milczał przez chwilę, po czym wyszeptał:

- Czego?

- Już nie słychać.

- Czego?

Podpowiedziała mu:

- Bum bum. Bum bum. Bum bum.

Wyraz jego twarzy zmienił się trzykrotnie: najpierw odmalowało się na niej osłupienie, następnie podejrzliwość, a w końcu, kiedy ułożył sobie wszystkie elementy układanki, pełne zrozumienie.

- Hej, masz rację. Ucichło.

- Wiem. Od początku wiedziałam, że tak będzie.

- Wiedziałaś o tym od początku? Co to ma znaczyć?

Minny najłatwiej byłoby odpowiedzieć, że miała na myśli początek tej rozmowy i nic więcej, ale tak naprawdę chodziło jej o coś głębszego, coś, czego nie umiała do końca uchwycić - a nie chciała kłamać.

- Nie wiem. Szczerze mówiąc, powiedziało mi się tak mimo woli.

- To zrozumiałe - odrzekł Luka - Więcej: rozumiem cię.

Najpierw się uśmiechnęła, ale potem do oczu nieoczekiwanie napłynęły jej łzy. Odwróciła się, by tego nie zauważył. Poczowała, że nic nie jest wieczne, że nic nie może trwać bez końca, i chyba dlatego ogarnął ją taki smutek. Serca przestawały bić, a ludzie przykładali sobie broń do piersi. Nigdy nie zdoła poznać nikogo i niczego tak dobrze, żeby zapewnić trwanie znajomym ludziom i rzeczom. W ostatnich latach życia zajmowały ją głównie takie myśli: że ma za mało czasu, by kogokolwiek naprawdę dobrze poznać. Prawie każdy uznałby tę myśl za idiotyczną, co dobrze rozumiała - bo przecież miała dopiero trzydzieści parę lat. Ilekroć spotykała jednak kogoś nowego, człowieka, którego historii nie znała już na pamięć, prędzej czy później ten ktoś zaczynał opowiadać o swojej przeszłości, a wtedy ogarniało ją smutne, mdlące poczucie, że człowiekowi temu przydarzyło się tymczasem tak wiele, że ona nigdy nie zdoła go dobrze poznać. Zresztą jak mogłaby mieć nadzieję poznać kogoś, dla kogo całe dotychczasowe życie jest już tylko wspomnieniem? I vice versa: jak ktoś mógłby dobrze poznać ją? Uważała, że może powiedzieć (i modlić się, żeby to była prawda), że zna i sama jest znana tylko przez te osoby, które stały się częścią jej życia, gdy była jeszcze dzieckiem - a przecież z większością z nich

w ogóle się nie kontaktowała. Z tamtych czasów została jej tylko matka i jedna czy dwie przyjaciółki. Co do innych znajomych, to... Hmm, ich przeszłość była zwykle nazbyt mroczna, a przyszłość zbyt niejasna. W tym tkwił problem, którego nie mogła rozwiązać żadna siła na świecie. Ludzie mówią często o miłości jako o świetle rozjaśniającym otaczające każdego człowieka ciemności. I owszem, potrafiła kochać, ale co z tego? Jeśli się nie myliła, jej miłość nigdy nie przyniosła nic dobrego ani jej samej, ani nikomu innemu, więc po co właściwie kochać? Nigdy nie mogła polegać na swojej miłości niewartej funta kłaków. Dopiero kiedy umarła i poznała Lukę, perspektywy czasu otwarły się przed nią na nowo i zaczęła myśleć, że może mimo wszystko zdoła poznać kogoś równie dobrze, jak siebie - i że jej miłość może okazać się coś warta.

Czasami jednak znów zaczynała wyczuwać śmierć w otaczającym ją świecie, dawne wątpliwości wracały potężną falą i ogarniał ją straszny, znajomy strach, że nic się nie zmieniło. Nikt nigdy nie pozna jej do końca i ona nie pozna nikogo. Od początku wiedziała, że tak będzie.

- Wszystko w porządku? - zapytał Luka, a kiedy skinęła głową, dodał:
- Zdawało mi się przez chwilę, że jesteś myślami gdzie indziej.

- Nie, nic mi nie jest - odparła.

Nie chciała mu zadawać tego pytania. Nie mogła się na to zdobyć.

Na ulicach panował znów duży ruch, nie było więc dość cicho, by mogli nasłuchiwać bicia serca. Rozdali ostatnie gazety, po czym ruszyli do domu mokrymi ulicami, po zdeptanych trawnikach i pośród zasp topniejącego śniegu.

Tego dnia Minny znów czytała i wyglądała przez okno, zapominając zupełnie o całym świecie. Zazwyczaj Luka chciał, żeby towarzyszyła mu podczas dziennikarskiego zwiadu w poszukiwaniu informacji, które mógł później wykorzystać w gazecie, ale nauczyła się już wyczuwać, kiedy woli być sam, i wiedziała, że dzisiaj jest właśnie taki dzień. Kto jak kto, ale ona

dobrze rozumiała, że spacer po ulicy w towarzystwie wyłącznie własnych myśli też może być przyjemnością.

Gdy Luka wyszedł, otworzyła okno, żeby wywietrzyć pokój, a wtedy dały się słyszeć odgłosy ciurkania i kapania topniejącej- masy śniegu i lodu, dobiegające jakby ze wszystkich stron naraz. Gdyby zamknęła oczy, wyobraziłaby sobie chyba, że stoi pośrodku jaskini w jakimś tropikalnym kraju i że wilgoć lasu deszczowego przesącza się przez nieskończenie grube pokłady kamienia, tworząc na dnie groty setki niewielkich kałuż - trzymała jednak oczy szeroko otwarte. Kilku przechodniów zdjęło kurtki i przewiesiło je sobie przez ramię. Z drzew i samochodów zsuwały się kiście śniegu, zdumiewająco białe w świetle słońca. Na parapecie przysiadło kilka ptaków, które po chwili odleciały. Minny widziała w śniegu hieroglify odcisków ich łapek.

Wróciła na kanapę i zasnęła, a kiedy się obudziła, pochylał się nad nią Luka, który położył jej rękę na czole. Zdarzało się czasami, że w środku dnia, kiedy nie miała już nic do roboty, przysiadła gdzieś na kilka chwil, żeby odpocząć, a gdy znowu otwierała oczy, okazywało się, że przespała nawet pół popołudnia. Był to jeden z ubocznych skutków jej bezsenności.

Nie uniosła powiek. Wiedziała od razu, bez zastanowienia, co powie Luka, bo powtarzał to samo już wiele razy wcześniej:

- Zbudź się, Śpiąca Królewno.

- Która godzina? - zapytała.

- Jeszcze wcześniej. To był spokojny dzień dla reportera... Tylko dwa tematy: bicie serca i pogoda. A skoro już mówimy o pogodzie, to pomyślałem sobie, że może wyjdziemy nacieszyć się trochę słońcem.

Poczuła ruch powietrza i wsparła się na łokciu, żeby zobaczyć, skąd wziął się przeciąg w mieszkaniu.

- Zostawiłam otwarte okno - powiedziała, po czym zwróciła się do Lukki. - Czy mogę cię o coś zapytać?

- Aha.

- Nie, nie, to nie to, co myślisz. Dwa najważniejsze wydarzenia w twoim życiu to najpierw narodziny, a potem ten wypadek samochodowy. A co umiejscowiłbyś na trzecim miejscu? Tego nigdy mi nie powiedziałeś.

Na chwilę zapadło milczenie. Luka usiadł, delikatnie ujął dziewczynę pod rękę, podniósł ją i pozwolił, by ułożyła się z powrotem z głową na jego kolanach. Zachowywał się tak, jak gdyby znowu zadała mu to swoje pytanie: „Dlaczego mnie kochasz?“, a on postanowił odpowiedzieć, jak zawsze, czyli nic nie mówiąc.

Przez kilka chwil gładził ją po głowie grzbietem dłoni, a potem zgarnął włosy na czoło, aż zakryły jej twarz niczym ciężka zasłona.

- Wyglądasz jak jaskiniowiec - powiedział.

Zabrzmiało to absurdalnie i po prostu musiała się roześmiać. Luka zawsze mówił takie rzeczy - w najmniej spodziewanych chwilach i miejscach. Nikt wcześniej nie potrafił jej tak rozśmieszyć. I nikt wcześniej tak bardzo się o to nie starał. Nikt nie znał jej tak dobrze.

Żaden człowiek.

— ROZDZIAŁ CZTERNASTY —

Kulki

I przyszła wiosna. Na horyzoncie pojawiło się słońce, wiatr roztapiał śnieg, a skuta lodem zatoka trzeszczała niby stary dom w posadach. Ocean przemierzały ławice ryb, których śladem podążały całe stada wydrzyków. Do wody spadały ogromne bryły topniejącego lodowca, odłamki niebieskozielonego lodu sprzed tysiąca lat. Codziennie przez kilka godzin śnieg lśnił w długich promieniach słońca niczym rubin, a potem przez kilka minut, kiedy blask narastał, połyskiwał jak brylant. Wiosna nie wyglądała w ten sposób nigdzie indziej na świecie.

Można by powiedzieć, że nad Antarktydą zapanował zmierzch, choć oczywiście wcale tak nie było. Zrobiło się zdumiewająco ciepło i Laura nie musiała wreszcie szamotać się w śpiworze, żeby się z niego wydostać, bo lód stopniał i pokrywał tkaninę już tylko cieniutką siateczką. Wsparła się na łokciach, a wtedy z jej ramion i barków na podłogę zsunęły się tysiące luźnych nitek. Były tak delikatne, że prawie ich nie czuła, a kiedy musnęła je ręką, pomarszczyły się i rozdzieliły, ustępując pod jej palcami jak woda. W dole pod nią przepłynęła jakaś ryba. Laura pomyślała, że mogłaby przebić podłogę namiotu, zanurkować, rozepchnąć nici własnym ciałem i krążyć wokoło, dopóki się nad nią nie zamkną; że mogłaby zapadać się coraz niżej i niżej, aż wreszcie zapomniaby, że tonie niczym kotwica opadająca na dno - ale w końcu otworzyła drzwi i wyszła z namiotu na biały, chrzęszczący śnieg.

Pingwinów nie było widać ani słyszać, chociaż kiedy dłużej się nad tym zastanowiła, zdała sobie sprawę, że jednak słyszy, jak kłapią nerwowo dziobami, i że dostrzega ptaki zbite w stadko u stóp urwiska - a zatem mimo wszystko było je także widać. Wykluły się im już młode, które rodzice ogrzewali w fałdach swoich brzuszków.

Słońce opisywało na skraju horyzontu wąski łuk z jednej strony, a księżyc nieco szerszy z drugiej. Laure owiewały delikatne podmuchy wiatru. Nie miała na sobie kurtki, rękawic, butów, skarpetek, spodni ani koszulki - odnosiła wrażenie, że jest naga - a mimo to nigdy w życiu nie było jej cieplej ani wygodniej. Zastanawiała się, dlaczego w ogóle było jej kiedyś zimno - i dlaczego postanowiła marznąć. Pomyślała, że była to bardzo dziwna decyzja z jej strony. A świat, ten świat, to przecież w gruncie rzeczy wybory, jakich dokonujemy.

Dobrze było rozprostować kości. Wygięła ręce, przeczesując nimi włosy. Na wskazującym palcu lewej dłoni wciąż było widać ślad po odmrożeniu, mały krąg śliwkowego koloru, ukształtowany tak idealnie jak plaster opatrunkowy, który odlepiła, pociągając za przypominającą ogonek czerwona nitkę umocowaną u góry, i upuściła pod nogi, gdzie zapadł się w śnieg i zniknął w mgnieniu oka. Podniosła palec do gasnącego światła - wyglądał o wiele lepiej.

Na spłachciu wyglądzanego wichrami lodu otaczającego jej namiot leżały te same, delikatne, puszyste kulki śniegowe, która widziała już w czasie swej pierwszej podróży, kilka miesięcy temu. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tutaj nie zauważyła ich wcześniej. Były wielkości kolorowych kulek do gry - największe nie przekraczały średnicy ćwierćdolarówki. W niektórych można było się nawet dopatrzeć pierzastych, spiralnych wzorów, dokładnie jak w kulkach, których płynna zawartość rozmazuje się zawsze w barwne plamy. Trąciła jedną z nich dużym palcem u nogi i kulka rozpadła się, opryskując śnieżnym puchem najbliższą sąsiadkę, która też się rozleciała w pył. Wydawały się tak delikatne, że Laura nie mogła pojąć, co je spaja.

Od strony zatoki nadciągnął lekki wiatr i pod jego naporem kulki potoczyły się leniwie, zanim zatrzymały się znów w śniegu. Można było odnieść wrażenie, że podlegały jakiejś słabszej grawitacji niż ziemską. Laura pomyślała, że jeden silniejszy podmuch mógłby je unieść w dal, i wystarczyła ta myśl, by tak się właśnie stało, bo wkrótce usłyszała na zboczu westchnienie wiatru, nabierającego prędkości w drodze ku ptasiej kolonii.

Przyglądała się, jak kulki drżą, kiedy musnęło je kilka pierwszych włosków wiatru, a potem wznoszą się ponad powierzchnię lodu, opadają i zaczynają toczyć się przed siebie. Chwilę później były już daleko. Poruszały się z dziwną, jakby kontrolowaną spontanicznością, niczym stado ptaków, kołysały się na boki, zbijały się w większe grupki i znów się rozpraszały, ale nieustannie podążały naprzód. „Dokąd one pędzą z taką determinacją? - zastanawiała się. - Gdzie się zatrzymają?”. Chciała to sprawdzić, ruszyła więc za nimi.

Toczyły się z prędkością zmuszającą ją do dość zwawego marszu i wkrótce kolonia została daleko w tyle. Metaliczne głosy pingwinów oddalały się z wolna, aż wreszcie całkiem umilkły, jeśli nie liczyć cichuteńkiego chrypienia, pozostającego na granicy słyszalności.

Kulki toczyły się przez zatokę ku słońcu, które - jak jej się wydawało - nigdy jeszcze nie stało tak wysoko i nie wschodziło w tym kwadrancie nieba. Co chwila zmieniały pozycje - te, które były z przodu, przesuwały się na boki, a ich miejsce zajmowały nowe. Najpierw oznaczała swoich ulubieńców imionami, potem numerami, a jeszcze później - barwami. Na przykład, kiedy omijała jakiś śnieżny pagór, kulka czerwona wyprzedziła zieloną, a niebieska stopniowo traciła do nich dystans. Laura uświadomiła sobie, że opuściła obozowisko z pustymi rękami - nie zabrała nawet namiotu - ale odpędziła od siebie tę myśl.

Niczego nie potrzebuje. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by kiedykolwiek miała jeszcze czegoś potrzebować.

Lód w zatoce popękał na olbrzymie płyty kry, rozkołysane łagodnie na głębinie i pochylające się na wszystkie strony niby drewniane baki. Pod naciskiem ich olbrzymich cielsk tworzyły się między nimi ogromne szczeliny i rysy, których boki oblewały cicho fale, ale śnieżne kulki bez trudu prze-fruwały z kry na krę. Laura szła beztrąsko ich tropem, patrząc, jak szczeliny dzielące lodowe płyty zasklepiają się, kiedy się do nich zbliża. Kawałki kry ciężko i precyzyjnie stykały się bokami, uderzając o siebie z głuchym dudnieniem niczym statki przybijające do portowego nabrzeża. Pozostawa-

ły sczepione na tyle długo, by Laura mogła nie przerywać marszu, i dopiero potem znowu się rozsuwały. W ten sposób wędrowała całymi godzinami.

W końcu kulki dostały się w jakąś kieszeń albo wir powietrzny, bo zaczęły kręcić się wokół własnej osi, i dziewczyna stanęła, żeby zaczerpnąć tchu. Obejrzała się za siebie. Ledwo widziała własne ślady w śniegu. Były tak płytkie, że spojrzawszy pod nogi, dostrzegła pusty łuk podbicia swojej stopy, przypominający kształtem hantel. Ślady podbicia i pięciu maleńkich ziarenek palców dzieliła długa, wąska pustka. Wydawało się jej, że wędruje po cienkiej warstwie piasku pokrywającej skaliste podłoże o wyjątkowej twardości. Piasek był niewątpliwie żółty, jak na Saharze. Czuła jego ciepły, nieustający i potężny ucisk pod stopami, które nie były już jednak na tyle wrażliwe, żeby rozróżnić miliony ukłuc pojedynczych ziarenek. Podeszwy stóp stwardniały podczas wielu lat wędrówki przez pustynię, bo Laura była nomadem. Znad równiny przyleciał suchy wiatr, a powietrze zadrzało. Usłyszała trzepot skrzydeł gdzieś od strony słońca, po czym ruszyła dalej w ślad za kulkami, w kierunku wydm.

W piasku tworzyły się fale, jak na arkuszu blachy dachowej. Pewnego razu w lasku za swoim apartamentowcem, niedaleko kortów tenisowych, znalazła na ścieżce arkusz falistej blachy. W jej zagłębieniach zebrał się piach i Uście, a tu i tam porastało ją jakieś zielsko, przypominające szpilki, bo miało okrągłe łebki i długie łodygi, cienkie niczym igielki. Rok później arkusz całkiem przykryła ziemia i Laura nie mogła już rozpoznać ani jednej fałdy albo krawędzi. Jedynym dowodem, że pod ziemią spoczywa kawałek blachy, był metaliczny chrobot, jaki rozlegał się w tym miejscu pod jej nogami. Dziewczyna na chwilę znów się tam przeniosła, do lasku za swoim apartamentowcem. Była noc i zza konarów drzew, zsuwając się powoli z gałęzi na gałąź, prześwitywały światła samochodu wjeżdżającego na parking. Reflektory najpierw oświetliły dąb nad jej głową, po czym zsunęły się niżej, skoczyły prawie dziesięć metrów w górę i znowu zatrzymały się na pniu jodły. Nie było różnicy pomiędzy „tam” i „tu”, a jeśli takowa istniała, to światło jej nie znało.

Zauważyła kulki toczące się po pokrywających ziemię liściach, zamru-gała powiekami i znalazła się z powrotem na wydmach. W oddali widniała biała, pochylająca się na bok, nieco guzowata formacja skalna. Była to charakterystyczna, wysoka pustynna kolumna, zupełnie zbieła od słońca. Kulki skreśliły w jej stronę, a Laura szła za nimi.

Pot spływał po twarzy, ramionach i plecach dziewczyny, ściekał z jej palców i koniuszków piersi. Skapywał pod nogi, tworząc olbrzymią, przezroczystą lagunę, w której odbijały się setki supełków promieni słonecznych, cieniutkich niczym druciki. W końcu kałuża wystąpiła z brzegów, a pot powoli z niej wyciekł i wsiąkł w żółty piasek. Laura patrzyła, jak znika.

Wiatr wiał jej w plecy - poczuła się dobrze i rześko. Miała wrażenie, że mogłaby podążać tak tropem kulek całymi dniami, nie odczuwając zmęczenia. W nocy, kiedy na pustyni robiło się o wiele chłodniej, skorpiony i jaszczurki wylegiwały się godzinami nieruchomo jak posążki na płaskich, brunatnych skałach, oddając niebu ciepło nagromadzone za dnia. Po wschodzie słońca jaszczurki wpełzały z powrotem w cień, ale skorpiony prawie się nie poruszały. Biała kolumna skalna, ku której się kierowała, okazała się ostatecznie formacją w kształcie łuku. Pomyliła się wcześniej, ponieważ widziała ją z boku. Kulki przeturlały się pod skałą przypominającą odwróconą literę „U” i okrążyły jedną z jej nóg, a potem jeszcze raz, jeszcze raz i znów, niby liście niesione przeciwnie. Po-błyskiwały w świetle słońca jasno i srebrzyście kolorową plamą, pełną jakby tysięcy małych robaczek, wijących się nawet w czarnej, zielonej i szarej kulce.

Dopiero kiedy po raz piąty okrążyły nogę skalnego łuku, Laura też pod nim przeszła, po czym przez rozsuwane, szklane drzwi centrum handlowego wyszła na parking mieszczący się na zamarznętej zatoce, pełnej płyt pogruchotanej kry, zderzających się i ocierających o siebie z metalicznym chrzęstem.

Przeskoczyła lodową szczelinę i szła dalej. Piasek znów zmienił się w śnieg, a kakofoniczne dźwięki klaksonów samochodowych za jej plecami umilkły. Nie wiedziała, jak bardzo oddaliła się od obozowiska, ale było to

co najmniej sto pięćdziesiąt kilometrów. Co chwila zmieniała kierunek, wędrując teraz w ślad za kulkami po wypiętrzonej skarpie lodu. Śnieg chrzęścił pod jej stopami.

Jak okiem sięgnąć, rozciągała się przed nią podskakująca na wodzie kra, przypominająca zwyczajne kostki lodu, wśród których tylko od czasu do czasu widać było górę lodową. Całą powierzchnię zatoki pokrywała sieć krzywych, asymetrycznych pęknięć, w czerwonym słońcu połyskiwała w nich woda.

Była już tak blisko otwartego oceanu, że spotykała stada wylegujących się na lodzie lampartów morskich, które pojękiwały, pogwizdywały, gulgotały i postękiwały. Laura nie wiedziała, czy nawołują się nawzajem, czy może zwracają się bezpośrednio do wszechświata, ale ich głosy wydawały się jej tak rozemocjonowane, że miała wrażenie, że je rozumie.

„Niech ryby wpłyną na swoje utarte szlaki” - powiedział jeden z lampartów.

„Gdzie podział się księżyc? I gdzie są gwiazdy?” - pytał drugi.

„Wszystkie światy stanowią jeden świat” - oznajmił trzeci.

I wtedy Laura zapomniała, że słyszy lamparty morskie, a owe zwierzęce odgłosy znów stały się nieartykułowanym poszczekiwaniami, jak wcześniej. Nie można go było wziąć za szczekanie psa, ale oczywiście psy przyszły jej do głowy - szczególnie te, które znała w dzieciństwie z sąsiedztwa. Przypomniała sobie, że gdy jeden z nich (wszystko jedno, który) zaczynał szczekać - na przykład na samochód dostawczy albo usłyszawszy trzaśnięcie drzwiami - to już po chwili wszystkie przyłączały się do niego w rozlewającym się coraz szerzej kręgu skomleń i warczenia, jak gdyby na świecie żyły wyłącznie psy: psy, które gonią za frisbee, kopią dołki w ziemi, obszczekują rowerzystów albo podbiegają do zraszaczy na miękkiej, zielonej murawie i chłopcą strużki wody, które zapewne przypominały im unoszące się w powietrzu kałuże. Psy te nie wydawały się jej większe niż dawniej,

ale niewątpliwie było prawdą, że teraz szukała drogi w gąszczu psiej sierści i rozchyłała kępy włosów na boki, chociaż nadal wędrowała po krze.

Co oznaczało, że zmniejszyła się zarówno ona, jak i kulki. Zastanawiała się dlaczego. Stała na grudzie lodu będącej jednocześnie elementem psiego kręgosłupa i niewiele brakowało, żeby skrzyła nogę w kostce. Na przyszłość będzie musiała bardziej uważać.

Sierść na grzbiecie psa i wielki, wygięty cypel jego łba zasłaniały widok. Słońce świeciło krótkimi rozbłyskami, przybierającymi pomiędzy pojedynczymi włoskami kształty, jakby okienek w kształcie litery V, otwierających się zaledwie na mgnienie oka, a potem zatraskujących z powrotem. Ilekroć dostrzegła migocące z boku światło, musiała gwałtownie odwracać głowę. Przypominała trochę marionetkę, bo poruszała się właściwie mimo woli.

Pomyślała o ślepcu, który często stał w atrium gmachu Coca-Coli, bez psa i białej laski, nasłuchując, jak po ścianie fontanny spływa woda. On też tak gwałtownie odwracał głowę, z tym samym instynktownym, nerwowym drzeniem, kiedy dochodził go jakiś nowy dźwięk - na przykład kroków zbliżających się po marmurowej posadzce, dzwonka windy zatrzymującej się piętro niżej albo liści drzewek

Zawsze nosił starą skórzaną torbę, którą stawiał sobie pod nogami, gdzie rozchyłała się niczym wędnąca lilia, a ilekroć ludzie wrzucali do niej pieniądze, odprawiał ich machnięciem ręki. „Nie prosiłem o wsparcie. Nie jestem żebrakiem”. Następnie opróżniał zawartość torby do fontanny, do której ludzie wrzucali pieniądze, żeby wrócić w to miejsce. By! kimś, kogo widywała niemal codziennie i o kim natychmiast zapomniała, dopóki nie spotykała go następnym razem.

Pies, na którym teraz podróżowała, nie był jednak ślepy. Pędził przed siebie za czymś, co zauważył na lodzie i Laura musiała trzymać się jego sierści obiema rękami, by nie spaść. Kulki drżały i podskakiwały na jego

białej jak łój skórze, widocznej miejscami pomiędzy korzonkami pojedynczych włosów.

Potem pies się zatrzymał, przechylił łeb na bok, jakby schwytał królika, i przysiadł na tylnych łapach, a Laura ześlizgnęła się z jego grzbietu, spadła i wylądowała pupą na lodzie.

Wstała i otrzepała się ze śniegu, którego kryształki zebrała w dłonie i wsypała do fontanny połyskującej w świetle atrium tysiącami srebrzystych monet. W stojącej wodzie odbijały się przypominające chusty, szale i zasłony kolorowe smugi jutrzeńki. Patrzyła, jak rozwiewają się i migocą ponad monetami, po czym ruszyła naprzód korytarzem łączącym atrium z gmachem działu PR. Kulki ciągle toczyły się w zwartym szyku, chociaż powietrze w korytarzu było całkowicie nieruchome i nawet ona, idąc, nie wprawiała go w drgania, więc nie wiedziała już, co popychało je naprzód - najwyraźniej nie był to jednak wiatr.

Po obu stronach korytarza ciągnęły się drzwi, zza których dobiegały zwyczajne biurowe odgłosy, tak dobrze jej znane, że właściwie już dawno straciły dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Jakaś kobieta dyktowała raport przez mikrofon komputera reagującego na jej głos. Jakiś facet chodził w kółko po swoim gabinecie, rozmawiając przez telefon. Kopiarka kserowała stertę papierów - mechaniczne części urządzenia przesuwwały się tam i z powrotem pod szkłem, z dźwiękiem przywodzącym na myśl zepsuty zamek błyskawiczny. Wszystkie drzwi były jednak zamknięte na klucz, o czym Laura przekonała się, próbując je otworzyć.

Szła dalej. Minęła windy i weszła do wielkiego holu, gdzie stojąca obok kanapy olbrzymia butla z wodą mineralną pluła właśnie rozchwianym bąblem tlenu. Nie mogła uwierzyć, że spędziła w tym budynku - albo w innych identycznych gmachach - tyle lat, krążąc po pokojach zawieszonych dziewięć, dziesięć albo piętnaście metrów nad ziemią, a których ściany, podłogi i sufity zbudowano zaledwie kilka lat wcześniej, gdy w zajmowanej przez nie przestrzeni nie powstała jeszcze ludzka stopa.

Kulka, tocząca się na czele - Laura zapomniała, jaką nadała jej nazwę - skręciła w korytarz prowadzący ku schodom, a stadko pozostałych pośpieszyło za nią. Bez wahania ruszyły schodami na dach, skacząc ze stopnia na stopień. Wyglądały jak kolonia mrówek tworzących żywy most, żeby przekroczyć strumień. Zaczęła się wspinać za nimi. Należało pokonać co najmniej dwadzieścia pięter, żeby dostać się na samą górę, ale Laura wspinała się ze zdumiewającą łatwością. Nie mogła mówić za kulki, ona jednak czuła się silna i pełna energii - można nawet powiedzieć, że jak sportsmenka. Jej ciało było silne, silniejsze niż kiedykolwiek od czasów młodości. Trudno uwierzyć, że brała udział w wielomiesięcznej wyprawie na Antarktydę. W końcu pchnęła drzwi przeciwpożarowe, do których doprowadziły ją schody, i wyszła na dach.

Budynek pod jej stopami zbudowano z wody. Z wody były pokoje, podobnie jak korytarze, a Laura żeglowała po nich na wielkiej lodowej tratwie. Drzwi przeciwpożarowe za jej plecami powoli się zamknęły, zaciskając się z przeciągłym, syczącym wydechem. Usłyszała, jak dobijają do framugi i zatrząskują się. Kulki zbiły się w gromadkę z przodu, na skraju kry. Wyglądały niczym pasażerowie stojący przy relingu na pokładzie statku. Wiatr co chwila pstrykał w nie znad oceanu jednym ze swoich palców, a wtedy dwie albo trzy przeskakiwały swoich współtowarzyszy, lądując na końcu grupy.

Laura postawiła żagle na krze i stanęła przy sterze. Kiedy przekreśliła go prawo na burt, lodowa płyta skoczyła w kierunku gwiazd i otwartego oceanu, więc dziewczyna pociągnęła ster do siebie w lewo i wtedy kra łagodnie i powoli podryfowała z powrotem, w kierunku pogruchotanego lodu otaczającego stały ląd. Minęło kilka godzin, zanim przybiła do portu, wsuwając się między dwie lodowe płyty - puściła ster i zeszła po prostu ze statku, nie rzucając kotwicy. Nowy kawałek kry, na który teraz weszła, zakłyszał się nieznacznie pod jej stopami, ale zdołała utrzymać równowagę, a po kilku krokach okazało się, że stąpa już po nieco pewniejszym gruncie. Kulki podążały teraz za nią, tocząc się i wirując na śniegu, ponad i pomiędzy zygzakowatymi śladami stóp. Od czasu do czasu obijały się z tyłu o jej

nogi i czuła wtedy ich krótki, zimny dotyk. Co chwila jedna albo dwie wyprzedzały ją po ciasnym łuku przypominającym kształtem haczyk na ryby, ale nigdy nie wysforowały się zbyt daleko do przodu.

Słońce i księżyc spoczywały na przeciwległych krańcach horyzontu przez tak długi czas, że nie mogła się zorientować, jaka jest pora dnia, uznała jednak, że nastąpiło popołudnie, było więc popołudnie - późne popołudnie, jak jej się wydawało. Słyszała kiedyś, że późnym popołudniem - około wpół do czwartej albo czwartej - temperatura ludzkiego ciała jest najniższa, i rzeczywiście, kiedy dotknęła ręką czoła, okazało się, że jest zimne jak lód. Całe jej ciało emanowało jakby suchym chłodem metalowej tacy, którą ktoś pozostawił na dworze w zimową noc. Była tak zziębnięta, że skóra przymarzała jej do kości. Mimo to czuła się całkowicie swobodnie, a nawet spokojnie, chociaż ręce i palce u stóp miała całkowicie i cudownie bezwładne, a krążenie krwi w jej żyłach ustało. Dziewczynie wydawało się, że śpi we własnym łóżku, w domu.

Kiedy lodowa płyta, po której szła, zanurzyła się pod wodę, a jej lewy bok rozpadł się na drobne kawałeczki, Laura przeskoczyła na krę kołyszącą się na falach obok. Poruszała się teraz krokiem tancerki, którą przecież zawsze chciała zostać. Szczelina, gdzie majaczył ocean, zmieniła się w kanał dla orkiestry - widziała nawet skrzypków przeciągających smyczkami po strunach instrumentów, bębniarza walącego w ogromny basowy bęben i ruchomą część rury puzonu, czyli tak zwany suwak, który wysuwał się do przodu i zaraz chował z powrotem. Wspięła się na palce, żeby przeskoczyć spory odłamek lodu, a muzyka rozkwitała nad wodą, niosąc się nad zamrożoną zatoką. Przez chwilę myślała, że cała się zagubi w tej muzyce, ukołysana dźwiękiem strun i pogłosem instrumentów dętych (zawsze wiedziała, że mogłaby się zagubić w utworze muzycznym), ale po chwili niepokojący odgłos wibrafonu zabrzmiał jak huk wystrzału, a z lodu poderwało się do lotu stadko hałaśliwych ptaków. Przyglądała się im, jak przechylone na boki odfruwają nad morze w gejerze trzepoczących skrzydeł.

Od jak dawna zdążała w stronę słońca? Miała wrażenie, że minęły już całe tygodnie od czasu, gdy znalazła ruiny domku w pobliżu łęgowiska pingwinów, zasnęła w swoim namiocie, po czym obudziła się w kałuży czerwonych nitek, zrzuciła z siebie ubranie i wyruszyła w drogę w ślad za śnieżnymi kulkami.

Ale może minęło zaledwie kilka minut.

Jasne było tylko to, że coś się stało. Jej poczucie czasu jakby pękło na dwoje i rozpadło się niczym skorupka orzecha.

Spostrzegła, że zaczęła przewidywać, jakimi kolorami zagrają promienie na lodzie - złotem przypominającym pyłek kwiatowy, czy raczej bladą zielenią, na jaką maluje się jajka na Wielkanoc. Z początku kolory wydawały się rozkwitać na chwilę albo dwie, zanim umiała je nazwać, ale kilka kolejnych eksperymentów przekonało ją, że proces ten przebiega jednak w odwrotnej kolejności, że myśl wyprzedza kolor. Była to jakby gra. Wyobraziła sobie kremową, sepiową żółcień swoich ścian w łazience, i pół sekundy później ten właśnie kolor pojawił się na lodzie. Przyszło jej do głowy siedem odcieni błękitu, i już po chwili wędrowała w ich gąszczu. Mogła tasować barwy wedle woli. Przypominało to zabawę w skojarzenia słowne, w której jedno słowo nieubłaganie prowadziło do drugiego w procesie pozostającym w znacznej mierze, chociaż niecałkowicie, pod jej kontrolą, w procesie działania kaprysu, przypadku i improwizacji. Wszystko zależało od fluktuacji myśli, nad którymi nie potrafiła w pełni zapanować.

Oto zasady tej gry. Wreszcie zaczynała je rozumieć.

Kiedy podniosła wzrok znad barwnego lodu, ujrzała coś w oddali, nieco na lewo od słońca: było to błyszczące miasto z gmachami ze szkła, kamienia i stali, wznoszącymi się wysoko ponad ulicami. Widziała krechę czystej rzeki płynącej przez środek metropolii, drewniane doki wcinające się w wodę, a także trawę i drzewa porastające brzegi złączone wiszącym mostem, który z tej odległości przypominał porozrywaną, srebrzystą pajęczynę. Laura stała jeszcze zbyt daleko, żeby zobaczyć, czy na ulicach panu-

je duży ruch, a nawet czy w ogóle jeżdżą po nich pojazdy i chodzą jacyś ludzie, ale pod błękitnym niebem lśniły wyraźnie szprychy torów dworca kolejowego, a między budynkami widać było porozrzucane tu i ówdzie parki i arkady. W powietrzu kołowała ogromna chmura ptaków.

Straciła miasto z oczu, kiedy stanęła u stóp jakiegoś wzgórza. Gdy weszła na jego wierzchołek, skąd mogła znów ujrzeć horyzont, miasto zniknęło. Obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni, ale nigdzie go nie dostrzegła.

Widocznie był to miraż. Zdążyła już zapomnieć, czym są miraży.

Słońce było teraz większe, niż kiedy zaczęła wędrówkę - przypominało straszliwą białą kulę, zajmującą pół nieba. Świeciło tak jasno, że miała wrażenie, że słyszy jego skwierczenie. Był to odgłos smażącego się na patelni jajka, które właśnie zaczynało robić się chrupiące na brzegach, a ponieważ była głodna, zsunęła je na talerz i zjadła nożem i widelcem - nie zjadła jednak słońca i nie przestała iść.

Kulki wyprzedzały ją o jakieś dwadzieścia albo trzydzieści metrów - sto maleńkich, rozkołysanych kulek pod zamkniętym łukiem słońca. Ich cienie zdawały się spalać - za chwilę miały zniknąć.

Musiała przebyć bardzo daleką drogę, skoro słońce stało się tak ogromne.

I chyba była bardzo blisko horyzontu.

Lód w większości już stopniał i wkrótce skakała znów z kry na krę, zatrzymując się jedynie na tyle długo, by poczuć, jak lodowe okruchy kołyszą się pod jej stopami na powierzchni wody. Potem pokrywa lodowa zniknęła całkowicie i dziewczyna szła już dalej po wodzie. Pod jej stopami falowały rośliny o długich, zielonych liściach, a małe rybki śmigały obok w pofalowanym świetle słońca.

Znalazła wreszcie miarowe, rytmiczne tempo marszu i pomyślała, że może iść w ten sposób całą wieczność.

— ROZDZIAŁ PIĘTNASTY —

Przeprawa

Ślepiec wkrótce zrozumiał, że miasto się zmienia. Ptaki powróciły, i to w większej liczbie niż kiedykolwiek przedtem. Przestrzeń wokół niego chwilami jakby się zakrzywiała albo przesuwiała, więc wydawało mu się, że słyszy je wszystkie naraz, nawołujące dokładnie z tego samego miejsca: potężny chór głosów zestrojonych na drzewie albo balkonie. Choć to zjawisko nigdy nie trwało dłużej niż kilka sekund, nie można było go nie zauważyć. Dźwięki, które wydawały ptaki, były ostre i wielotonowe - przypominały nagłe, krótkie gwizdy przesywające się nawzajem jak ciernie.

Słyszał je już kiedyś przedtem. Były to najsmutniejsze odgłosy na świecie: odgłosy istot sądzących, że są wolne, choć od zawsze tłukły się tylko o ściany swojej klatki.

Ptaki mogły być pierwszą oznaką zmian w mieście (a z pewnością pierwszą, jaką on zauważył), choć niewątpliwie dały się dostrzec inne. Resztki śniegu zamieniły się w wodę - no i przestało padać. Któregoś dnia wiatr przybrał na sile, potem zmienił kierunek, a wreszcie w ogóle przestał wiać. Zdarzyło się też, że ślepiec przypadkowo kopnął jakiś kamyk, który wpadł do studzienki kanalizacyjnej, nie było jednak słyhać, żeby dosięgnął dna.

Ślepiec domyślał się zatem, że topografia miasta ulega zmianie, nie wiedział jednak, jak ani dlaczego, dopóki z dzielnicy pomnika nie powróciło kilkoro pierwszych mieszkańców. Wtedy rozeszła się wieść, że dalsza część miasta, leżąca za parkiem i rzeką, po prostu przestała istnieć: roztopiła się wraz z resztkami śniegu.

Ślepiec usłyszał o tym od pewnego faceta, który zgromadził wokół siebie słuchaczy w centrum handlowym.

- Pomyślałem, wiecie, że pojedę sobie na wycieczkę. Że trochę zasza-
leję i zobaczę, jaką szybkość uda mi się rozwinąć.

Snuł tę opowieść, siedząc w kucki przy rowerze i kręcąc pedałami, któ-
re szarpał co chwila, żeby łańcuch wskoczył na zębatkę.

- Dojechałem aż do sześciopasmówki na drugim końcu Park Street, ale
zaraz potem musiałem zawrócić, bo droga się skończyła. Chodniki i domy
zniknęły. Ale nie znalazłem w tym miejscu żadnych ruin ani pustego pola.
Ludzie! Nie, tam w ogóle nic nie było.

- A dlaczego nie pojechałeś dalej? - zapytał ktoś. - No wiesz, żeby
sprawdzić, co jest po drugiej stronie?

- Właśnie to próbuję wam powiedzieć... Nie było żadnej „drugiej stro-
ny”. Próbowałem pedałować dalej, ale przypominało to wspinaczkę we-
wnątrz kuli. Wiedziałem, że się poruszam, ale nie posuwałem się do przodu
ani o milimetr.

Nagle w tłumie rozbrzmiał gwar rozmów, przypominający huk eksplo-
dujących petard. Potem na środku placu pojawiło się jeszcze parę osób i lu-
dzie zbili się ciaśniej, a mężczyzna z rowerem zaczął im powtarzać swoją
historię. Ślepiec pomyślał jednak, że usłyszał już dość i poszedł sobie.

Jeszcze tego dnia podobną historię opowiedział jakiś facet, który pró-
bował opuścić dzielnicę po wiszącym moście, a kilka godzin później do-
kładnie to samo mówiła kobieta, podróżująca tą samą drogą, co tamten ro-
werzysta. Kobieta twierdziła, że teraz zniknęła już nawet autostrada i że
miasto kończy się w jakimś ślepym zaułku, na szarym, betonowym placy-
ku, będącym niegdyś najbardziej niebezpiecznym, lewym pasem drogi.

- To wszystko, co tam znalazłam - powiedziała, przesiewając przez
palce kilka niedopałków i - sądząc po odgłosie - okruchy szyb okiennych.
Do wieczora zapewne jeszcze z sześć innych osób odbyło wędrowkę do
granic dzielnicy pomnika i z powrotem. W ten sposób rozpoczęły się regu-
larne pielgrzymki.

Ślepiec wybrał się tam następnego ranka. Szedł po Tan- ganyika Street. Było już sucho, więc jego buty postukiwały o chodnik, a on nie musiał nasłuchiwać rozmów innych przechodniów i niosących się odgłosów ruchu ulicznego. Słyszał własne kroki odbijające się echem od ziemi, ścian i ogrodzeń, i ten dźwięk mu wystarczył, żeby orientować się w terenie.

Od razu wiedział, że dotarł na obrzeża miasta. Z tyłu za jego plecami jakieś dzieciaki słuchały muzyki, podśpiewując i wydając podekscytowane okrzyki. Powietrze nasycali zapachy dobiegające ze straganu sprzedawcy precli i woń tysięcy źdźbeł trawy roztartych pod podeszwami tysięcy butów. Z przodu nie było jednak słyhać żadnych odgłosów ani czuć zapachów, jak gdyby przed ślepcem wznosił się gigantyczny mur pozbawiony normalnych, fizycznych właściwości. Kiedy spróbował go dotknąć, nie napotkał nawet najmniejszego oporu materii, a mimo to nie udało mu się wyciągnąć ręki dalej w lewo niż na odległość kilkunastu centymetrów.

Ponowił próbę, a potem powtórzył ten gest po raz trzeci - z tym samym rezultatem.

Mur był niewyczuwalny, ale nie do przejścia.

Wtedy ślepiec pomyślał, że teraz rozumie, dlaczego w górze krąży tyle ptaków. Nie miały dokąd uciec.

Wracał tą samą drogą, chociaż szedł szybciej niż przedtem, bo wiedział już, gdzie może natrafić na takie czy inne przeszkody, kroczył więc znacznie pewniej i wkrótce znalazł się z powrotem w swojej dzielnicy. Minął wierzbę o tysiącu dyndających swobodnie w powietrzu palców, rosnącą przed opuszczoną biblioteką, a potem skrzynkę pocztową, i powędrował dalej, na drugą stronę ulicy, pod wysoką, prostokątną, szeleszczącą markizę, osłaniającą wejście do kina. Wyświetlano w nim tylko stare, nieme filmy - klasykę - i dlatego kasjer nigdy nie chciał sprzedać mu biletu, chociaż ślepiec tłumaczył tysiące razy, że chce wejść do kina nie tyle po to, żeby oglądać filmy, ile by rozkoszować się chłodem na sali, cichym szumem rozwijającej się taśmy i pustą przestrzenią nad głową - tak ogromną, że jak

sądził, mogłoby w niej się pomieścić całe niebo, razem z chmurami, prądami powietrznymi i atmosferą. Choć może jednak wcale nie tłumaczył tego kasjerowi tysiące razy naprawdę, tylko w wyobraźni - albo może próbował wyjaśnić to wszystko komuś zupełnie innemu. Był już stary, a jedną z ułomności jego leciwego wieku okazało się to, że nie pamiętał wielu rzeczy, które, jak sądził, powinien przecież pamiętać.

Z drugiej strony, pewne rzeczy pamiętał jakby wbrew sobie.

Na przykład na podwórku po drugiej stronie ulicy jakaś dziewczynka skakała przez skakankę, podśpiewując własną wersję rymowanki popularnej w czasach jego dzieciństwa: „Hamburger, paluszki rybne i garsteczka frytek, jeśli byłeś grzeczny, a w niedzielę koktajl mleczny, cola i jabłecznik”.

Jego twarz przebiegł grymas, gdy skakanka uderzyła o ziemię, i mimo woli skulił się w sobie. Przez chwilę zastanawiał się dlaczego. Najpierw pomyślał, że to dlatego, że podczas wędrówki przez pustynię chłostał go piasek posykujący jak wąż, który też w pewnym sensie przypominał skakankę - żywą skakankę, wijącą się między palcami jego rąk jak nylonowa żyłka i ledwo dosłyszalnie szeleszczącą w trawie. Skakanka przywodziła mu na myśl bicz, a przecież jest zupełnie naturalne, że ludzie krzywią się na odgłos bicia, nawet jeśli nikt ich nigdy nie bił. On, owszem, został kiedyś zbity, chociaż nie wychłostany. Zdarzyło się to jednak bardzo dawno temu, a on był teraz o tyle długich lat starszy, że nie mógł uwierzyć, by mogło to mieć jakiś związek z jego obecną reakcją.

Więc dlaczego się skrzywił? I nagle sobie przypomniał: bo ta dziewczynka mieszkała na drugim końcu ulicy w czasach jego dzieciństwa.

Nazywała się Mary Elizabeth. Pamiętał, że nasłuchiwał, jak bawi się z koleżankami w zaułku stanowiącym plac zabaw dla okolicznych dzieci.

- Dlaczego jesteś ślepy? - pytały inne dzieciaki. - Hej, ty, dlaczego jesteś ślepy?

Akcentowały słowo „ślepy”, co jasno wskazywało na to, że się z nim drażnią. Wiedział też, że będą dokuczać mu dalej bez względu na to, co im odpowie, więc lepiej było milczeć.

Ale Mary Elizabeth nigdy nie zadała ślepcowi tego pytania - ani razu.

Nie mógł mieć wtedy więcej niż osiem albo dziewięć lat, ale był w niej zakochany - nie tylko dlatego, że była dla niego miła. Kochał także brzmienie jej głosu, a nawet dźwięk sandała, poklapującego na nodze dziewczynki (choć drugi sandał nie wydawał już takiego odgłosu), oraz zapach masła kakaowego, jaki wydzielalo jej ciało, kiedy skakała przez skakankę i zaczynała się pocić.

Pewnego dnia - nie wiedział dlaczego - zebrał się na odwagę, żeby jej o tym powiedzieć. Popijał ciepłą coca-colę z termosu, który dała mu matka. Wyczuwał na języku rdzawy smak metalu w słodkim napoju i trzymał jeszcze zakrętkę w ręku, a kiedy dziewczynka przechodziła obok z koleżankami, wypowiedział jej imię: „Mary Elizabeth”.

Ale zanim zdążył dokończyć i powiedzieć: „Kocham cię”, jak zamierzał, dziewczynka wpadła mu w słowo.

- Proszę - powiedziała.

Poczuł ciężar monety w zakrętce od termosu, jeszcze zanim usłyszał, jak wpada do niego pieniędzy.

Inne dzieci zaczęły się śmiać, ale Mary Elizabeth kazała im się zamknąć.

- To wcale nie jest śmieszne. Zostawcie tego biedaka w spokoju.

„Biedak” - tak go nazwała.

Pogniewał się chyba na nią albo zrobiło mu się tak przykro, że wybuchnął płaczem. Był bardzo płaczliwym dzieckiem. Ale zapewne pokochał ją jeszcze bardziej za to, że go broniła, bo był również dzieckiem uczuciowym. Stał w bezruchu, zawstydzony, i powoli opuszczała go odwaga, kiedy dziewczynki sięgnęły po swoje skakanki i znów zaczęły śpiewać: „Big Mac, Fish Mac, Wieśmac, frytki, cola, gęsty koktajl mleczny, lody z polewą i jabłecznik”.

To zdumiewające, że zbudował całe swoje życie z takich chwil. Przyszło mu do głowy, że nanizal je na sznurek jak koraliki, ale wybierał tylko te najboleśniej, które pozostawiały na jego palcach szorstki osad niczym papier ścierny.

Tak intensywnie wspominał ten incydent, że nie zauważył, gdy doszedł do skrzyżowania, gdzie przy krawężniku była dziura w jezdni, w której uwięzła mu noga. Niewiele brakowało, a byłby się przewrócił, ale nie stracił równowagi i od razu zrobił kolejny krok. Natychmiast się zorientował, że skręcił nogę w kolanie - niezbyt mocno, lecz wystarczająco, by przez godzinę lub dwie starać się ją oszczędzać. Mimo to szedł dalej, bo nie chciał, żeby ktoś przy nim przystanął i zapytał, czy potrzebuje pomocy.

Pokonał trzy kolejne skrzyżowania, zanim zdał sobie sprawę, że minął już wejście do swojego domu, który pozostał dość daleko z tyłu, tuż za kinem wyświetlającym nieme filmy i biblioteką, przed którą rosła wierzba. Czasami - jak wszyscy mieszkańcy - myślał, że traci rozum.

W następnej kolejności zniknął niewielki odcinek Clapboard Hill Road, dochodzący do rzeki, zakręcający przy brzegu i biegnący dalej pod górę w stronę miasta. Wkrótce potem przyszła kolej na najniższej położoną część pola golfowego, w tym dołek dziewiąty, jedenasty, dwunasty i czternasty. Potem wyparował stary magazyn z materacami sprężynowymi, leżący po przeciwnej stronie dzielnicy pomnika, później niższa połowa M Street, a następnie, po kilku dniach, sama rzeka. Ślepiec zaczął myśleć, że mur jest jakby powoli kurczącą się bańką, zamykającą miasto ze wszystkich stron. Nie miał żadnych dowodów, że tak jest, ale nie mógł się powstrzymać, że-

by nie wyobrażać sobie olbrzymiej bańki, stopniowo zaciskającej się i zmniejszającej swój obwód, a ponadto unoszącej się od spodu i opadającej od góry. Nie miał pojęcia, co się stanie, kiedy bańka skurczy się w końcu do rozmiarów pojedynczego punktu.

Czasami, kiedy ogarniała go nieprzeparta ciekawość, szedł do parku, żeby posłuchać, co o tym zjawisku mówią inni. Nikt niczego nie widział - czyli, inaczej mówiąc, inni mieszkańcy widzieli ni mniej, ni więcej, tylko nic. Niektórzy twierdzili, że regularnie odwiedzają obrzeża dzielnicy, codziennie albo co kilka dni. Inni, że trzymają się możliwie blisko centrum miasta - albo tego, co z niego pozostało. Niektórzy przyznawali, że się boją, większość jednak wydawała się zrezygnowana i trwała w postanowieniu, aby po prostu czekać i zobaczyć, co się stanie.

Poznał pewnego faceta, który powiedział mu, że każdego ranka przed wyjściem do pracy obchodzi całą bańkę dookoła (choć nie użył słowa „bańka”, lecz „krąg”). Człowiek ten twierdził ponadto, że codziennie znika następny fragment miasta, więc jego spacer co dzień trwa coraz krócej. Był dentystą, a kiedy ślepiec otworzył usta, by ziewnąć, zauważył:

- Twoje trzonowce są w okropnym stanie. Powinieneś wpaść do mnie do gabinetu, żebym mógł cię przebadać.

Na odchodnym wręczył mu wizytówkę o całkowicie gładkiej, matowej powierzchni i ślepiec nie wyczuł pod palcami ani jednej litery, wyrzucił więc kartonik.

Po pewnym czasie, gdy rozmawiano gdzieś o znikającym mieście, ktoś zawsze zaczynał wspominać o przeprawie na drugą stronę, sugerując, że całe miasto jest właśnie w trakcie przeprawy i że śni ono jakby samo siebie, odzierając się w ten sposób z realności albo przemieszczając się z jednej sfery bytu do drugiej. Nie była to wprawdzie oczywista, ale powszechnie znana metafora, i dlatego ślepiec sądził, że tkwi w niej ziarno prawdy.

Gdy tylko pojawiał się temat przeprawy, zawsze zaczynał opowiadać o swojej wędrówce przez pustynię. Nie mógł się przed tym powstrzymać. To

przeżycie rozdarło go niemal na strzępy i dlatego był pewien, że należy ono do tych wspomnień, których nigdy nie zapomni.

Pewnego dnia, po całym poranku spędzonym w parku, przechodził koło restauracji i przez otwarte drzwi usłyszał dwóch facetów spierających się o to, czy mieszkańców miasta należy uważać za istoty cielesne, czy raczej niematerialne.

- Oczywiście, że jesteśmy ciałami - powiedział pierwszy z nich. - Ciałami i niczym innym. Słyszałeś kiedyś o duchach, które na lunch zjadają hamburgery i hot dogi z sosem chili albo którym dokuczają w nocy skurcze w nogach?

- Skąd możesz być taki pewny, co duchy mogą robić, a czego nie? Byłeś kiedyś duchem? - zapytał ten drugi.

- Wiem, jak jest naprawdę, bo znam dzieje piśmiennictwa na temat duchów. Ludzie piszą o nich od tysiący lat, Puckett. Jak sądzisz, o czym opowiadają tego rodzaju teksty? Otóż ich autorzy konstruują czy też budują w nich pojęcie ducha. Powiedziałbym, że z biegiem lat dowiedziałem się o duchach tyle, ile tylko mogłem, więc pozwól mi zauważyć, że nie jesteśmy duchami.

Tu rozległ się głuchy, podwojony przez echo dźwięk, oznaczający, że mężczyzna uderzył się pięścią w pierś.

- Ale przecież jest coś, co do czego wszyscy piszący o duchach się zgadzają, a mianowicie, że kiedy człowiek umiera, duch opuszcza ciało - zauważył drugi facet. - To przekonanie leży chyba u podstaw pojęcia ducha, czyż nie?

- A kto może stwierdzić, że nasze duchy nie wstąpiły z powrotem do swoich ciał?

- Ja. Ja tak twierdzę. Ja, który siedzę tu z tobą.

Ślepiec zauważył, że rozmowa tych dwóch opiera się na pewnym nieporozumieniu - mylili oni bowiem pojęcie ducha i duszy. Wielu ludzi używa tych słów swobodnie i zamiennie, jak gdyby nie było między nimi żadnej różnicy, choć przecież duch i dusza to wcale nie to samo. Ciało jest materialnym, a dusza niematerialnym aspektem człowieka, natomiast duch to po prostu łącznik pomiędzy jednym a drugim.

Kiedy był jeszcze chłopcem, nauczył go tego ojciec, pastor Pierwszego Kościoła Boga w Chrystusie, a chociaż ślepiec dawno już stracił wiarę - w każdym razie w naukę Pierwszego Kościoła - to rozróżnienie ciągle wydawało mu się istotne. Kiedy człowiek umiera, łącznik, czyli duch, pęka, a wtedy z jednej strony pozostaje ciało - czyli kupa gliny i różnych pierwiastków chemicznych - z drugiej natomiast dusza. Duch nie jest niczym więcej niż funkcją ich kontaktu, jak zmarszczki, które powstają na powierzchni wody pod wpływem wiatru. Jeżeli usuniemy wiatr i wodę, znikną również fale. A jeżeli nie? Cóż, jeżeli fale nie znikną (była to jednak ze strony ślepeca czysta spekulacja intelektualna), to znaczy, że mamy do czynienia z czymś, co ludzie nazywają zjawą. Zjawą zaś jest czymś, co powstaje z ducha, który istnieje nadal, choć jego czas już przeminął. To fala bez wody i wiatru - łącznik, odseparowany od ciała i duszy. Ślepiec nie był jednak duchem. Co do tego miał pewność.

Przyszło mu do głowy, żeby podejść do stołu, gdzie dyskutowało o tym tych dwóch facetów, i przerwać im, mówiąc: „Panowie, może jestem ciałem, a może duszą, ale na pewno nie duchem”. Tymczasem nieznajomi kontynuowali rozmowę, ale spierali się już o coś innego.

Ślepiec usłyszał szuranie krzesła po podłodze, chrobot pieprzu mielonego w ręcznym młynku, a potem śmiech jakiejś kobiety, która uderzyła otwartą dłonią w stół.

Gdzieś w oddali rozległ się dźwięk dzwonu.

Zaskwierczał tłuszczyk na grillu.

Odgłosy ptaków rozbrzmiewały bliżej niż kiedykolwiek.

Skupił znów uwagę na odgłosach ulicy i szedł dalej. Tej nocy zasnął na wysokim stołku stojącym przy bufecie w jego kuchni. Kiedy obudził się następnego ranka, poczuł na czole chłód plastikowego blatu i bezruch powietrza wokoło. Minęła dłuższa chwila, zanim przypomniał sobie, gdzie jest, i instynktownie wyciągnął rękę po skórzaną torbę, w której za życia przez tyle lat nosił klucze, zapasowe buty i dokumenty tożsamości. Ale oczywiście nie znalazł jej. Była to jedna z wielu rzeczy, jakie stracił na pustyni, obok okularów - i prawie całego rozumu. Właściwie jednak prawie nigdy mu ich nie brakowało.

Wiatr ustał, ale coś trzęsło drzewem za jego oknem, bo słyszał, jak pokryta już pękami dereniowa gałązka delikatnie postukuje o szybę. Był to cichy, wyraźny i rytmiczny dźwięk, podobny do stukania laski o chodnik, który przypominał mu, że ostatnio używał jej wiele lat temu, i to na tamtym świecie. Było to wkrótce po tym, jak Mary Elizabeth wrzuciła mu pieniędzy do zakrętki po termosie, kiedy miał zaledwie osiem albo dziewięć lat. Wysiadł właśnie z gimbusa na rogu ulicy, kiedy usłyszał, że po soczystej trawie ogródka zbliża się ku niemu kilku starszych, mieszkających po sąsiedzku chłopców.

- Dlaczego jesteś ślepy? - zapytali. - Hej, dlaczego jesteś ślepy?

Nigdy nie wiedział, co powinien odpowiedzieć na to pytanie. Wydawało mu się oczywiste, że chłopcy znów się z nim drażnią, ale zawsze istniała możliwość, że są naprawdę ciekawi odpowiedzi, że chociaż raz naprawdę chcą wiedzieć dlaczego, on zaś nie wyobrażał sobie, by mógł im sprawić przykrość i nie odpowiedzieć. Zastanawiał się, dlaczego mieliby go pytać o coś takiego, jeśli nic by ich to nie obchodziło. Bo gdyby ich to nie obchodziło, to by go o to nie pytali, prawda? No bo po co?

Spróbować więc udzielić im odpowiedzi.

- Mama mówi, że oślepiłem tuż po urodzeniu. Leżałem w inkubatorze i podano mi za dużo tlenu.

Na te słowa chłopcy z jakiegoś powodu wybuchnęli śmiechem. Pomyślał, że jednak wcale nie byli ciekawi powodów jego kalectwa. Zaczęli powtarzać słowo „inkubator”:

- Inkubator. Mówi, że jest inkubatorem. Koleś był inkubatorem już w niemowlęctwie. To jest, kurde, chore.

Po chwili umilkli i jeden z nich zapytał:

- No to jak często się inkubujesz? Raz dziennie? A pod prysznicem też? Inkubujesz się pod prysznicem?

Nie wiedział, o co im chodzi.

- Nie, to było tylko wtedy, ten jeden raz - odpowiedział, na co tamci znów wybuchnęli śmiechem, szturchając się nawzajem. Po chwili zaczęli poszturchiwać też jego i ślepiec pomyślał, chociaż wcale nie był tego pewien, że może chcą go w ten sposób zachęcić, żeby się do nich przyłączył i śmiał się razem z nimi, tyle że nie wiedział z czego. Więc zachichotał też cichutko na próbę, ale jego śmiech nie zabrzmiał przekonująco. Był chrapliwy i niski, o wiele niższy niż zwykle.

Nagle poczuł, że musi przełknąć ślinę. Odczekał, aż chłopcy umilkną, a potem powiedział:

- No, muszę już iść do domu.

Jeden z nich zastąpił mu drogę.

- Hej, ale masz fajną laskę. Mogę ją obejrzeć?

- Raczej nie.

- O kurde. - Tu rozległ się odgłos podeszwy buta, którą ktoś tarł o asfalt. - Ten mały mnie obraził. Kumpli nie traktuje się w ten sposób.

- Właśnie. Daj spokój, koleś. Pozwól mu obejrzeć tę laskę. Zaraz ci ją odda - odezwał się inny chłopiec.

- No właśnie. Tylko ją sobie obejrzę.

- Chyba nie chcesz, żebyśmy pomyśleli, że nas nie lubisz, co? - zapytał ostatni z chłopców.

Z początku im nie wierzył - bo niby dlaczego? - ale potem nabrał wewnętrznego przekonania, jak zawsze, bez względu na to, ile razy wcześniej go oszukiwali, że mogą mówić prawdę, i zrozumiał, że jednak pozwoli im obejrzeć laskę. W jego ciele mieszkał jakby mały człowieczek, ściskający go za serce i powtarzający: „Ufaj każdemu człowiekowi. Nigdy nikogo nie krzywdź. Ufaj każdemu człowiekowi. Nigdy nikogo nie krzywdź”, a chociaż czasami próbował go nie słuchać, w końcu mimo woli szedł za jego radą.

- Przyrzekacie zaraz mi ją oddać? - zapytał.

- Dajemy ci na to najświętsze słowo honoru.

- No to w porządku.

Gdy tylko wyciągnął rękę, w której trzymał laskę, jeden z chłopaków wyrwał mu ją z garści.

- Podoba mi się - powiedział, a drugi gwizdnął z podziwem: - Groźnie wyglądasz z tą laską, kurde.

Trzeci zauważył:

- To doskonała laska dla alfonsa.

Na co ten pierwszy odparł:

- Wiem. Dlatego chyba będę musiał zatrzymać ją dla siebie.

Ślepiec słuchał, jak podziwiają jego laskę, przekazując ją sobie z rąk do rąk, jak mu się wtedy wydawało, bez końca, aż wreszcie jej brak zaczął mu doskwierać.

- No dobra, oddajcie mi ją - powiedział. - Muszę wracać do domu.

- Zaraz, zaraz.

- Dokąd się tak śpieszysz?

- Właśnie. A poza tym, kto powiedział, że to twoja laska?

- Słuchajcie, chłopaki... - zaczął się skarżyć, ale uderzyli go laską najpierw w głowę, a potem w tyłek, i kiedy upadł, uciekli. Usłyszał, jak jeden z nich woła „Beęc!” a słowo to wibruje w powietrzu niczym jego laska, kiedy uderzyli go nią w głowę. Potem kilka domów dalej zatrzasnęły się drzwi i chłopcy zniknęli.

Wtedy rozstał się ze swoją laską i nigdy już nie kupił drugiej.

Gdy kilka dni później usłyszał tych samych chłopaków rozmawiających w zaułku, powtarzali z uporem, że nigdy wcześniej nie widzieli go na oczy i nie udało mu się ich przekonać, że jest inaczej.

- Jaka laska? - pytali. - Nie wiemy nic o żadnej lasce. Ale może chodzi ci o maskę? Czy ktoś ci zabrał maskę? Jeżeli ciągle uprawiasz inkubację, to może faktycznie nie powinieneś wychodzić z domu bez maski. Wiesz, co ja myślę? Ze opowiadasz te bajeczki po to, żeby zaimponować dziewczynom.

Nie potrzebował wiele czasu, żeby porzucić myśl o odzyskaniu swojej własności od chłopców. W ciągu kilku następnych tygodni nauczył się orientować w terenie, kierując się odgłosem własnych kroków, wyciągając przed siebie rękę w poszukiwaniu ewentualnych przeszkód i zaprzęgając do pracy intuicję. Zapamiętał topografię okolicznych ulic, stopniowo rozwijając pamięć niby mapę, dopóki nie sięgnęła granic dzielnicy. Unikał tych starszych chłopaków tak długo, jak tylko mógł, aż wreszcie dorośli, zaczęli pracować i pożenili się, choć może po prostu tylko stracili animusz i zapomnieli, jak to jest być dzieckiem.

To właśnie wspominał ślepiec, siedząc w kuchni i nasłuchując, jak dereniowa gałązka postukuje o okienną szybę.

Ale dlaczego pamiętał tylko bolesne zdarzenia ze swojego życia? Dlaczego nie mógł sobie przypomnieć niczego, co sprawiało mu radość albo wywoływało uśmiech na twarzy: dowcipów, które kiedyś słyszał, piosenek, na których dźwięk unosił ramiona, i ludzi, których kochał, i po czyich policzkach wodził kiedyś palcami?

Jeszcze całkiem niedawno był dumny ze swojej pamięci i wyobrażał sobie przeszłość jako idealnie gładki, niestrzępiący się sznur, który rozwija się za nim w linii prostej - wystarczyło, że weźmie go do rąk, pociągnie mocno kilka razy i będzie mógł przyjrzeć się uważnie leżącemu na nim dowolnemu punktowi. Teraz jednak sznur był poplątany i węzłowaty i ślepiec bał się, że nigdy już nie zdoła go rozplątać.

Późnym popołudniem tego dnia usłyszał, jak ktoś powiedział, że zniknęła pozostała część pola golfowego, a także remiza strażacka, arboretum i tylna połówka jednego z biurowców na Erendira Street. Następnego ranka wyparowało muzeum historii naturalnej i większa część centrum handlowego. Kilka dni później pewna kobieta doniosła, że dziwne zjawisko po raz pierwszy przesunęło własne, niewidzialne granice pod ziemię. Opowiadała, że kiedy na stacji kolejki podziemnej pod Christopher Street zatrzymała się na chwilę na peronie, żeby zawiązać sznurowadło, zauważyła, że zniknęły zarówno tory, jak i wykop, w którym zostały kiedyś ułożone. Cofnęła się, a potem podeszła znów na skraj peronu i znów spojrzała w dół - ale nic tam nie było.

Spróbowała wrzucić w pustkę znaleziony na peronie srebrno-czerwony krążek zgniecionej puszki po coca-coli, ale - jak powiedziała - widocznie źle obliczyła parabolę lotu, bo blaszanka spadła jej pod nogi, podskoczyła kilka razy, a potem potoczyła się do tyłu, za jej plecy.

- Wyglądało na to, że między peronami płynie rzeka. Tylko że nic tam nie było. Żadnego mułu ani wody, nie było więc także rzeki. - Kobieta zaśmiała się stłumionym głosem. - Chyba po prostu nie umiem tego opisać.

- Nie musisz niczego opisywać - odpowiedział jej jeden ze słuchaczy. -
Wszyscy widzieliśmy to na własne oczy.

Wszyscy, tylko nie ślepiec.

- Mówisz o czymś, co się zdarzyło na dole - zauważył. - To swoją drogą, ale co dzieje się w górze?

Ślepiec usłyszał szelest kołnierzyków, bo stojący wokół niego ludzie wyciągnęli szyje, żeby popatrzeć w niebo.

- Trudno powiedzieć - odpowiedział któryś z nich. - Z całą pewnością coś się jednak dzieje.

Chmury wyglądały niezwykle, jakby przystrzyżone sekatorem, nikt jednak nie umiał powiedzieć, czy był to skutek kurczenia się bańki przestrzennej, czy może wysoko wiał jakiś dziwny wiatr. Ślepiec słuchał mieszkańców dyskutujących na ten temat. Czyżby naprawdę zniknął narożnik jednego z wieżowców? Czy niebo zawsze miało odcień szarego błękitu? W końcu rozmowę podsumował niski, ochrypły głos:

- Niebo jest może trochę wypłowiałe, ale poza tym, jak mi się wydaje, wszystko wygląda normalnie.

Potem tłum zaczął się rozchodzić, a kiedy ślepiec zbierał się do odejścia, ktoś pukał go palcem w ramię. Poczul słaby zapach lawendy.

- Jak się masz? - Był to kobiecy głos.

- Bywało gorzej - odpowiedział.

- Nie pamiętasz mnie, prawda?

- Nie. Przykro mi.

- Nazywam się Minny Riggs. Poznaliśmy się po ewakuacji. Parzyliśmy razem kawę i piekliśmy słodkie angielskie bułeczki.

- Naprawdę?

- No. Ty, ja i Luka Sims. A zatem prowadzę z nim już dziesięć do sześciu.

Luka Sims? Ślepiec przez chwilę zastanawiał się nad tym nazwiskiem, a potem przypomniał je sobie.

- Wydawca tej gazety?

- Tak jest.

Pamiętał jego oddech: ten człowiek oddychał szybko i nerwowo, co przypominało mu bicie serca królika, którego trzymał kiedyś na kolanach. Pamiętał też, że z ubrania Luki bił ostry zapach farby drukarskiej i że wydawca miał irytujący zwyczaj ujmować go pod rękę, ilekroć przechodzili przez ulicę. Poza tym nic więcej nie przychodziło mu do głowy.

Mimo to wiedział, że lubił tego człowieka, chociaż nie umiałby wyjaśnić dlaczego.

- Moje uszanowanie dla was obojga - zwrócił się do kobiety.

Od jak dawna tkwił w tym samym miejscu, zapuszczając korzenie w resztkach swoich wspomnień? Wydawało mu się, że zaledwie kilka sekund, lecz nie był tego pewien. Czekał na odpowiedź kobiety, ale ponieważ się nie odezwała, uznał, że rozmowa dobiegła końca i ruszył do swojego domu przy rogu Park Street i M Street.

Gdy znalazł się w mieszkaniu, otworzył okno i nadstawił uszu, usłyszał bowiem stado ptaków, które siedziały na pobliskim drzewie. Pogwizdywały i gruchały do siebie, wyśpiewując zgrabne jedno albo dwunutowe melodie, dopóki ulicą nie przejechał samochód z zepsutą chłodnicą, bo potem ślepiec słyszał już tylko chór rozedrganych, piskliwych ptasich głosów. Pod domem przebiegło dwóch chłopców, uderzając w pień drzewa otwartymi dłońmi, i ptaki poderwały się w powietrze z nagłym, przypominającym eksplozję łopotem skrzydeł. Ślepiec pomyślał, że musi to być wspaniałe - wykorzystywać swoje ciało, żeby biec, oczy, żeby widzieć, i skrzydła, żeby fruwać. Czasami sądził, że najradośniejszym dźwiękiem na świecie byłby

odgłos ptaków obejmujących we władanie miasto, opuszczone przez innych mieszkańców.

W połowie następnego dnia zniknął jego apartamento- wiec. Ślepiec stał właśnie pod arkadami, kiedy jakiś mężczyzna, który przez kilka ostatnich godzin krążył po obrzeżach miasta, zatrzymał się na chwilę, żeby zdać ludziom raport ze swojej wędrówki. Powiedział, że zniknęło kilka kolejnych ulic, wśród nich także ta, przy której mieszkał ślepiec.

Kiedy wychodził rano, jego dom stał jeszcze nienaruszony, był tego pewien, zastanawiał się więc tylko, jak szybko wyparował po jego wyjściu.

Obok przejechała grupka wrotkarzy. Jeden z nich upuścił na ziemię gumową piłeczkę.

Ślepiec nie miał w domu nic, czego by naprawdę potrzebował. Zawsze mógł znaleźć sobie jakieś inne miejsce na nocleg, ale trochę go niepokoiło, że na razie nie ma gdzie się podziać.

- Co się stało z twoją laską, młody człowieku? - zapytała go matka tamtego dnia, gdy zabrali mu ją chłopcy z dzielnicy.

A on odpowiedział:

- Już jej nie potrzebuję.

Od dawna zdawało mu się, że na ulicach i w parku spotyka więcej ludzi niż kiedykolwiek przedtem, ale dopiero teraz zrozumiał dlaczego. Miasto się zmniejszało, więc wszyscy ściągali do centrum. Przypominali kawałki kory i pianę wirującą w olbrzymim wodnym wirze.

I wtedy zrozumiał wreszcie, co się dzieje.

Kiedy runie mur i przestrzenna bańka w końcu pęknie, wszyscy skończą właśnie tutaj: tu, między tymi ławkami i szumiącymi drzewami. Stanie się to za kilka dni albo tygodni i w żaden sposób nie da się tego uniknąć. Mieszkańcy zgromadzą się na polance wokół pomnika w liczbie kilku tysięcy czy ilu ich tam zostanie, i będą stali ramię przy ramieniu. Będą słu-

chali nawzajem swoich głosów i oddychali nawzajem swoim tchnieniem, oczekując na tę nieznaną siłę, która pociągnie ich niczym łańcuch w to, co nastanie potem, w ten odległy świat, w którym ich nieszczęsne dusze zostaną wyrwane z przeszłości.

TLR

Podziękowania

Dziękuję moim redaktorom Edwardowi Kastenmeierowi i Anyi Serota, mojej agentce Jennifer Carlson oraz Carin Besser z „The New Yorker” za wnikliwą lekturę pierwszego rozdziału tej książki. Dziękuję również Arkansas Arts Council za hojne wsparcie finansowe, a także Chrisowi Columbusowi, Michaelowi Barnathanowi i Angeli Cheng Caplan za życzliwe zainteresowanie moim projektem. W poszukiwaniu informacji o Antarktydzie, gdzie rozgrywa się akcja parzystych rozdziałów powieści, dotarłem najpierw do antologii *Ice: Stones of Survival from Polar Exploration*, wydanej pod redakcją Clinta Willisa, a dzięki niej natrafiłem na niezrównane wspomnienia z wyprawy arktycznej pióra Apsleya Chery-Garrarda, zatytułowane *The Worst Journey in the World*. Niektóre ich fragmenty wykorzystałem w opisie podróży Laury.